ROK XXIII.
Ogólnego zbioru Tom XCI.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.

1898.

Druk Jana Cotty.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 30 lipca 1898 r.

SPRAWIEDLIWOŚĆ SPOŁECZNA

w teoryi ewolucyi.

Teorya ewolucyi stała się dzisiaj, jak wiadomo, trwałą zdobyczą także i nauk społecznych, a do rozwinięcia jéj i szczegółowego opracowania w tym zakresie przyczynił się bez kwestyi najwięcéj—Herbert Spencer. Wywody Spencera jednak w wielu punktach, zwłaszcza na polu etyki społecznéj, nie mogą zadowolić nauki. Wielki myśliciel angielski jest bowiem, mimo wszystkich swych zasług, jednostronnym i skrajnym indywidualistą, zwolennikiem niemieszania się państwa w życie społeczne. Nic dziwnego, że wobec tego pojawiły się ostatniemi czasy prace, które mają na celu poglądy Spencera uzupełnić. Na jedną z prac takich, wybitniejszą, chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelników „Ateneum".

Jest to praca Böscha — docenta filozofii na uniwersytecie w Zürichu — która wyszła jeszcze w r. 1896 pod tytułem: „*Die entwickelungs-theoretische Idee socialer Gerechtigkeit. Eine Kritik und Ergänzung der Socialtheorie Herbert Spencers.*" Zürich. Speidel, 1896, str. 247 [1]). Autor stara się przedstawić, jak powinien wyglądać ideał organizacyi ekonomicznéj i społecznéj w myśl zasad nauki ewolucyjnéj.

---

[1]) Zaznaczamy przytém zgóry, że w artykule niniejszym nieraz wyjdziemy po za granice pracy omawianéj.

Zaczyna od tego, że w krótkim Wstępie podnosi przedewszystkiém znaczenie, jakiego dziś nabrały idee społeczne. Szerokie masy proletaryatu wyczekują — jakgdyby nadejścia Mesyasza — pojawienia się państwa przyszłości, które ma wszystkie ich pragnienia i nadzieje ziścić. Jak ono będzie wyglądać, nie kłopoczą się o to i nie troszczą: byle tylko raz runęła dzisiejsza organizacya społeczna, którą uważają za źródło wszystkiego złego. Jeszcze przed laty 18-tu mógł Dubois-Reymond w swym odczycie „Historya kultury a nauki przyrodnicze" nazwać poprostu ten nastrój klas niższych „psychozą" i zapewniać, że dzisiejsza organizacya społeczna stoi na dosyć silnych podstawach, aby się porywów szaleńców nie obawiać. Jeszcze przed 20-tu laty, gdy pobita i upokorzona Francya pokonała mimo to tak rychło komunę, można było wmawiać w siebie, że warstwy niezadowolone z dzisiejszego stanu rzeczy poważnéj siły nie przedstawiają. Dziś jednak, gdy ta „psychoza" robi coraz dalsze i dalsze postępy, gdy w stolicy Niemiec przy wyborach do parlamentu na sześć okręgów wyborczych uzyskała większość aż w pięciu, gdy we Francyi oddawna w izbie deputowanych stanowi czynnik, z którym się trzeba liczyć, a w autonomii miejskiéj zdobywa jedno miasto po drugiém, gdy nawet w trzeźwéj Anglii klasa robotnicza, już tak dawno zorganizowana, przestaje być obojętną „dla muzyki przyszłości",—tego rodzaju poglądy nie są już uzasadnione! Uznają to téż dzisiejsze społeczeństwa cywilizowane. Uznają, że nędzy całych klas, stojącéj w jaskrawéj i rażącéj sprzeczności z bogactwem i zbytkiem kultury nowoczesnéj, z dobrobytem „dziesięciu tysięcy u góry", nie można przyjmować poprostu za konieczność naturalną, wynikłą z praw przyrody, któréj odwrócić niepodobna. Uznają, że w skargach „wydziedziczonych", w narzekaniach na wyzysk, chociaż nieraz przesadnych, tkwi ziarno prawdy. Szerokie koła ludzi wykształconych chłoną chciwie literaturę odnoszącą się do kwestyi społecznéj i w części litością, w części roztropnością powodowane, nabywają coraz silniejszego przekonania o konieczności reform społecznych.

Naturalnie, nie braknie téż i zapatrywań przeciwnych, nie braknie takich, którzy częścią z interesu, częścią z pesymizmu, twierdząc, że reformy na nic się nie przydadzą, bo człowiek zgóry i zawsze skazany jest na cierpienia, bronią dzisiejszéj organizacyi gospodarczéj i społecznéj.

Przy roznamiętnieniu, jakie panuje po obu stronach, naturalném jest, że każdego obrońcę dzisiejszego stanu rzeczy przeciwnicy piętnują zaraz mianem egoisty, lub uważają go za człowieka zgryźliwego. Jest to jednak błędném, czego najlepszym dowodem—stanowisko, jakie

zajął w ostatnich czasach w téj wymianie zdań filozof angielski — Herbert Spencer.

Potężny wiedzą, jak olbrzym, wmieszał się między walczące partye i — rozdzielając razy zarówno między socyalnych demokratów, jak i zwolenników reform społecznych — stanął w obronie dzisiejszych podstaw organizacyi społecznéj! Posądzać go o interesowność lub pesymizm niepodobna! Cały jego zawód naukowy, jego poprzednie prace świadczą przeciw temu. Nie wahał się on wypowiadać gorzkich prawd społeczeństwu angielskiemu i jest jednym z tych — dzisiaj rzadkich — pisarzy, z których dzieł wieje optymizm, widoczną jest wiara w lepszą przyszłość ludzkości. Nie można też go uważać za niekompetentnego w téj sprawie; mniemać, że powodowany próżnością zboczył z właściwego pola swych badań naukowych. Owszem, jest on w kwestyi społecznéj jak mało kto inny kompetentnym, bo już przed laty 54 rozpoczął swój zawód naukowy pracą „O właściwym zakresie działania rządu", a jeżeli późniéj zwrócił się na pole filozofii przyrody i biologii, to tylko po to, aby uzyskać szerszą podstawę dla swych poglądów społeczno-teoretycznych. To też śmiało mówi sam o sobie, że poglądy te „są owocem pracy duchowéj całego jego życia", a zastanawiać musi tylko ostateczny rezultat, do którego doszedł: przekonanie, które wypowiada jako wynik swéj filozofii, „że życie gospodarcze reguluje się samo przez się, że współdziałanie gospodarcze ludzi ukształtowuje się bez mieszania się państwa, jakgdyby z konieczności naturalnéj w sposób najkorzystniejszy dla wszystkich, byle tylko państwo postarało się o utrzymanie porządku prawnego!..."

Bösch przyznaje, że i Spencerowi nie udała się obrona téj manchesterskiéj tezy, mimo to twierdzi, że poglądy filozofa angielskiego w całéj téj kwestyi pełne są tak oryginalnych i cennych myśli, że mimo błędów w szczegółach, w podstawie swéj zasadniczéj, w punkcie wyjścia staną się z pewnością trwałą zdobyczą nauki. Godzi się więc w każdym razie poznać poglądy te — wypowiedziane jeszcze raz, najdokładniéj może, w IV części spencerowskich „Zasad Etyki": w „Sprawiedliwości". I do tego też, do przedstawienia zapatrywań Spencera przystępuje Bösch w rozdziale drugim swéj pracy.

Punktem wyjścia poglądów społecznych Spencera jest wedle Böscha [1]) utylitaryzm, czyli pojmowanie, że prawo i moralność mają za cel zapewnić jak największéj ilości członków społeczeństwa, ogółowi — możliwie wielką dozę szczęścia. Temu celowi jedynie mają służyć wszelkie urządzenia prawne, wszelkie przepisy moralne, a zarzut —

[1]) Zdanie to, jak zaznaczymy niżéj, nie jest słuszne.

robiony zwykle utylitaryzmowi — że dla takiego celu trudno uzyskać zgodne współdziałanie wszystkich, bo nietylko różne rasy ludzkie, ale nawet jednostki, każda inaczéj szczęście pojmują, odpiéra Spencer, twierdząc, że urządzenia społeczne nie mają wprost tworzyć szczęścia, mają tylko stworzyć warunki, w którychby każdy bezpiecznie i w spokoju pracą własną mógł urzeczywistniać swój ideał szczęścia. Urządzenia te muszą być daléj tego rodzaju, aby nie znosiły koniecznego czynnika rozwoju — który występuje w rozwoju wszelkich organizmów w przyrodzie, a tak samo społeczeństw ludzkich — naturalnéj selekcyi, pozostawania przy życiu najdzielniejszych, najlepiéj do warunków bytu przystosowanych indywiduów. Ograniczenia prawne wolności jednostek muszą się więc redukować tylko do *minimum*, potrzebnego dla uniknięcia starć i utrzymania porządku, każdy zaś ma w tych warunkach własną pracą, własną dzielnością dobijać się powodzenia, na jakie zasłuży. I w tém właśnie tylko, w proporcyonalności odpłaty do trudu, powodzenia do zasług każdego polega sprawiedliwość społeczna. Skutkiem tego tylko dzielni, umiejący się przystosować do warunków bytu będą pozostawać przy życiu, inni ginąć, a gatunek, rasa będzie się przez to doskonalić, wyżéj rozwijać.

Od téj zasady, że każdy ma sam o siebie dbać i troszczyć się, uznaje Spencer tylko dwa wyjątki: jednym jest pielęgnowanie i wychowanie przez starszych młodego pokolenia, drugim — obrona społeczeństwa na zewnątrz. Wyjątki te widzimy już i u zwierząt, w społeczeństwach ludzkich nabiérają one większego znaczenia. Pierwszy prowadzi do tworzenia urządzeń familijnych, drugi — wojskowych. Uznając doniosłość wojen, walk pomiędzy sobą ras ludzkich, jako czynnika rozwoju na bardzo prymitywnym stopniu kultury, w czasach najdawniejszych, nie staje Spencer wcale w obronie dzisiejszego militaryzmu, wojen dzisiejszych. To, co miały zrobić wojny, w swoim czasie już zrobiły: wytworzyły rasy dzielne i energiczne, gubiąc słabsze, wytworzyły potrzebne dla ładu społecznego stosunki władzy i zależności, dziś są tylko przeszkodą w rozwoju pokojowym społeczeństw, wywołują zdziczenie umysłów, zatracenie poczucia prawa i sprawiedliwości.

Urządzenia familijne i ich formy omówił Spencer szczegółowo już w swych „Zasadach socyologii”, w „Sprawiedliwości” dotyka ich tylko krótko, wychodząc z milczącego założenia, że monogamia jest dla stosunków cywilizowanych i normalnych jedyną odpowiednią formą rodziny, i wskazując, jakie normy winno państwo wydać dla uregulowania stosunków majątkowych małżonków, zabezpieczenia praw dzieci i t. d. Zresztą zaś zaznacza, że właściwe kierownictwo i utrzymanie ładu w rodzinie należy jéj samej zostawić: nie jest to rzeczą państwa. Od-

różnia też ściśle etykę rodzinną od etyki państwowéj. Uznając zaś za cele etyki państwowéj: ochronę jednostki przeciw innym jednostkom, żyjącym w tém samém społeczeństwie, jakotéż przeciw obcym społeczeństwom, bierze w „Sprawiedliwości" jako właściwy temat swych badań tylko — cel pierwszy.

W jakiż sposób ma tedy państwo chronić jednostkę przeciw samowoli jednostek innych, żyjących w tém samém społeczeństwie? Nakładając pewne ograniczenia wolności każdego obywatela, czyli — co na jedno wyjdzie — zabezpieczając mu pewne prawa. Za prawa takie uważa dzisiaj Spencer: prawo do bezpieczeństwa osobistego, wolnego ruchu i zmiany miejsca, używania zasobów przyrody, jak powietrza, światła i ziemi, prawo do własności majątku, własności duchowéj (utworów talentu), prawo darowywania, zapisywania i testowania, wolnego handlu i obrotu majątkiem, wolnego zarobku, prawo wolności wiary i wyznania, wolności mowy i prasy. Charakterystyczném przytém dla dzisiejszych poglądów Spencera jest to, że gdy w r. 1850 w pierwszém wydaniu swéj „Statyki społecznéj" przemawiał za równém prawem wszystkich w społeczeństwie do użytkowania ziemi, za jéj upaństwowieniem i wypuszczaniem w dzierżawę tym, którzy zechcą ją do pracy używać — dzisiaj przyznaje wprawdzie, że odpowiadałoby to ideałowi sprawiedliwości, sądzi jednak, że nie jest to możliwe do zrealizowania. Raz z powodu, że trudno wyśledzić jaką część dzisiejszéj wartości każdego gruntu (już od tak dawna uprawianego i meliorowanego) przypisać przyrodzie, a jaką pracy tak dzisiejszych posiadaczy, jak też ich poprzedników. A przecież tylko do pierwszéj części miałby ogół prawo i to rozumić się za wynagrodzeniem właścicieli! Powtóre samo wykupno gruntów przez państwo zdaje mu się pod względem finansowym ryzykowném. Wreszcie obawia się w razie upaństwowienia ziemi niebezpieczeństw gospodarki urzędniczéj. Odstąpienie to od dawniejszego zapatrywania musi témbardziéj uderzać, że zaraz na początku następującego rozdziału „Sprawiedliwości" (XVI go) przyznaje, że przeprowadzenie równego prawa wszystkich w społeczeństwie do ziemi jest konieczną podstawą dla sprawiedliwego uregulowania prawa własności, a prawo własności uważa za punkt centralny całéj organizacyi społecznéj.

Zabezpieczenie wszystkich praw powyższych jednostce jest ideałem prawnym organizacyi społecznéj, a do tego ideału zbliżały się i zbliżają coraz więcéj prawa pozytywne różnych społeczeństw w swym rozwoju dziejowym. Najbardziéj oddalone od niego są — jak nas uczy historya — państwa i społeczeństwa wojownicze, militarnie zorganizowane, które wymagały zawsze silnego i monarchicznego rządu a zupełnego oddania się, przystosowania obywateli do celów wojennych. Nawet

państwa dzisiejsze, dopóki będą w konieczności bronienia się przeciw nieprzyjaciołom zewnętrznym, nie mogą się oddać w zupełności ochronie obywateli wewnątrz swych granic. Dopiéro gdy nastąpi redukcya wojsk i zmniejszenie ofiar, jakie dziś każdy obywatel ponosi na cele wojskowe, w zupełnie pokojowém państwie odpadną te ograniczenia wolności, które z dobrem obywateli nie mają związku, a państwo takie będzie mogło zabezpieczyć jednostkom wszystkie prawa, których się domaga idealna organizacya społeczna. Państwo to, zdaniem Spencera, będzie jedynie zakazywać jednostkom, czego mają zaniechać, zakréśli im tylko granice, których w działalności swéj przekraczać nie mogą; natomiast nie będzie im nakazywać, co mają czynić, bo dla pokojowéj kooperacyi jednostek nie trzeba żadnego kierownictwa państwowego. Formą główną takiéj kooperacyi jest podział pracy, który występuje raz jako rozdział zadań produkcyjnych w społeczeństwie między różne zawody, gałęzie produkcyi, powtóre jako współdziałanie większéj ilości ludzi w obrębie pewnéj gałęzi produkcyi przy pracy, któréj jeden nie byłby w stanie wykonać. Jedno i drugie powstaje samo przez się, jakgdyby z praw przyrody; kooperacya tworzy się, bo leży w interesie przystępujących do niéj. Tak samo interes prywatny wywołuje, zdaniem Spencera, najlepszą formę wynagrodzenia za pracę. Przy organizacyi państwowéj wynagrodzenia za pracę, przy pensyi, płacy, jaką pobiérają funkcyonaryusze państwowi, miara odpłaty zawisła od opinii ich przełożonych, którzy — o ile nie należą do ludzi baczących wciąż i na każdym kroku na dobro ogółu (a jakże mało jest takich!) — nie mają osobistego interesu postępować jak najsprawiedliwiéj przy wymiarze téj odpłaty, stosować ją ściśle do dzielności, rezultatów pracy podwładnego. Inaczéj przy prywatnéj organizacyi wynagrodzenia za pracę: rzemieślnik np. w miarę tego, czy będzie należycie pracował, dobrego towaru dostarczał, będzie miéć klientów albo nie; do jego dzielności zastosuje się z reguły odpłata. Przy służbie publicznéj więc związek między pracą a odpłatą za nią jest pośredni, sztuczny, przy wynagradzaniu prywatném pracy związek ten jest naturalny, bezpośredni. Egoizm, ten najsilniejszy bodziec działalności ludzkiéj, każe tym, którzy pracują, dokładać jaknajwięcéj starań, bo wiedzą, że wedle tego otrzymają wynagrodzenie, z drugiéj strony każe tym, co płacą, płacić jedynie za dobrą i należytą pracę. Organizacya taka prywatna wynagradzania za pracę będzie jednak mogła dopiéro należycie się rozwinąć w państwie, które straci charakter militarny, w przyszłém państwie pokojowém.

Państwo to zarazem straci charakter oligarchiczny, który odpowiada tylko państwu militarnemu, a przekształci się w organizacyę demokratyczną, zdecentralizowaną, ku czemu już dzisiaj idzie rozwój

społeczny. Spencer przestrzega jednak przed zbyt szybkiém postępowaniem w tym kierunku, występuje zwłaszcza przeciw powszechnemu i bezpośredniemu prawu wyborczemu, po którém wielu spodziéwa się ziszczenia ideału organizacyi prawno-państwowéj, zabezpieczenia jednostkom wszystkich ich praw zasadniczych. Jest to branie środka, który ma dopiéro do celu prowadzić, za sam cel! Wolność wszystkich, uregulowanie takie władzy państwowéj, by tę wolność jak najmniéj krępowała, to bez kwestyi cel ostateczny organizacyi prawno-państwowéj.

Czy jednak do tego celu co innego raczéj nie prowadzi, jak powszechne głosowanie? Doświadczenie Francyi i Ameryki, wyrobienie się w pierwszéj, mimo powszechnego głosowania, rządów biurokacyi, wydawanie zaś w Stanach Zjednoczonych ustaw nieraz bardzo przeciwnych wolności osobistéj (za takie ustawy uważa Spencer przepisy przeciw alkoholizmowi!) przemawiałyby przeciw powszechnemu głosowaniu. Występując tak energicznie przeciw téj instytucyi, nie podaje jednak Spencer ze swéj strony, na czém miałoby polegać najlepsze zabezpieczenie wolności i praw zasadniczych obywateli: wspomina tylko ogólnikowo, że do udziału w rządach powinno się powoływać nie jednostki, ale interesa społeczne, różne zawody i to w stosunku do ich ważności.

Przestrzega daléj przed dopuszczeniem kobiét do praw politycznych. Chce uczynić dostępnemi dla nich wszelkie zawody i zajęcia, godziłby się nawet na przyznanie im pewnego wpływu w administracyi lokalnéj, lecz stanowczo jest przeciwny dopuszczeniu ich do władzy ustawodawczéj i rządu państwa. Dwóch przymiotów, jakich właśnie działalność na tém polu wymaga: zimnéj krwi i patrzenia w dalszą przyszłość, brakuje kobiétom. Ulegają one chętnie urokowi potęgi i siły, mają w sobie skarby uczucia, a tém samém natura wskazała im ich stanowisko. Wybiérając więc za męża człowieka dzielnego i energicznego, zapewniają przejście tych przymiotów na potomstwo, skłonne zaś do opiekowania się tém, co wątłe i delikatne, potomstwo to najlepiéj wychowują.

Jeszcze energiczniéj, niż przeciw przyznaniu praw politycznych kobiétom, występuje Spencer przeciw opiekowaniu się przez państwo „wydziedziczonymi", „ekonomicznie słabszymi". Pomysły odnośne wyszły, jego zdaniem, głównie z egoizmu tych, co téj opieki szukają, i stały się dziś prawdziwą epidemią. Wszystkie ustawy dla ochrony robotników, wszystkie urządzenia dobroczynne ze strony państwa uważa wprost za naruszenia wolności osobistéj obywateli, a nakładanie w tych celach (nawet na oświatę ludową!) podatków za no-

wy rodzaj robocizny, niewoli, którą wolni obywatele muszą dzisiaj znosić!...

Że myśl popierania rozwoju społecznego przez rozszerzanie działalności państwowéj na nowe i coraz nowe zakresy jest sama w sobie błędna, wskazuje, zdaniem Spencera, analogia rozwoju organizmów w przyrodzie. Tam tylko na najniższym szczeblu życia zwierzęcego widzimy, że jeden i ten sam organ spełnia wszystkie funkcye: oddychania, przyjmowania pokarmu i t. d. W miarę, jak posuwamy się w skali organizmów w górę, przekonywamy się, że dla każdéj funkcyi wytwarza się osobny organ.

Miałożby tylko w życiu społeczném być inaczéj, a państwo, zamiast zrzucać z siebie coraz funkcye, które równie dobrze i lepiéj potrafią pełnić organizacye prywatne, wyszłe z inicyatywy jednostek (np. prywatne koleje, banki, stowarzyszenia), miałoby owszem funkcye wszystkie coraz więcéj w ręku swych skupiać?!.. I te funkcye, które musi pełnić, jak: obronę organizmu społecznego na zewnątrz, utrzymanie porządku prawnego wewnątrz tegoż, pełni nieraz niedostatecznie, cóżby było dopiéro, gdyby działalność państwa rozstrzeliła się na liczne pola. Gospodarka urzędnicza ze swemi złemi następstwami, brak dostatecznéj kontroli jéj ze strony ogółu, bo uwaga ogółu musiałaby się kierować na tyle różnorodnych zakresów działalności państwowéj, byłyby tylko skutkiem tego. Utylitaryzm prawdziwie naukowy dedukcyjny — tak nazywa i Spencer swe poglądy etyczno-społeczne — tém się różni właśnie od nienaukowego, płytkiego, indukcyjnego, że nie patrzy na korzyści chwilowe, najbliższe, lecz sięga głębiéj do praw zasadniczych, na których się opiéra życie społeczne. I z praw tych wyprowadza, że cała działalność państwa winna się ograniczyć do zabezpieczenia obywatelowi warunków, wśród których każdy mógłby spokojnie a własną działalnością stworzyć sobie los, na jaki zasługuje, zdobyć sobie swoją pracą—odpowiednią sprawiedliwą odpłatę. Nawet oświata, którą dzisiejsze państwo, zachowując wciąż jeszcze charakter militarny, ujęło w swoje ręce, bo przystosowując wszystko do celów karności, musi w tym kierunku i szkołami kierować, powinna być rzeczą inicyatywy, działalności prywatnéj. Odpadną wówczas wszystkie złe skutki dzisiejszego wychowywania państwowego: urabianie ludzi wedle szablonu, zabijanie w nich wszelkiéj inicyatywy i samodzielności!...

Jednėm słowem — stając w jaskrawéj opozycyi z dzisiejszym duchem czasu — oświadcza się Spencer w swéj „Sprawiedliwości", jako stanowczy zwolennik tak zwanego państwa prawnego, państwa, które ma ograniczyć swą działalność jedynie do utrzymania porządku praw-

nego. Tylko takie państwo, zdaniem jego, potrafi ziścić sprawiedliwość społeczną, nie znosząc koniecznego czynnika wszelkiego rozwoju—selekcyi naturalnéj.

Przedstawiwszy tak zwięźle poglądy Spencera na sprawiedliwość społeczną, przystępuje autor omawianéj przez nas pracy w następnych rozdziałach do ich analizy i krytyki. Podnosi przedewszystkiém zaraz w rozdziale trzecim (zatytułowanym „Sprawiedliwość społeczna i jéj dobroczynne skutki"), jako dowód, że Spencer sam dokładnie i jasno nie zdaje sobie sprawy, czém ma być sprawiedliwość społeczna, to, że w różnych ustępach swych prac różnie ją określa. Raz mówi, że każdy ma dostać odpłatę stosowną do swéj działalności, to znów, że człowiek dzielny nie powinien być pozbawiany przez mniéj dzielnych swego dorobku, wreszcie w „Sprawiedliwości" określa jako ideał organizacyi społecznéj, aby każdy otrzymał rezultat swéj pracy.

Do tak sformułowanego pojęcia sprawiedliwości, które przypomina bardzo „prawo do zupełnego rezultatu pracy", o jakiém marzą socyaliści, nawiązuje Bösch swe dalsze wywody.

W pierwotném stadyum gospodarki ludzkiéj, gdy gospodarstwo każdéj rodziny stanowi odrębną i zamkniętą w sobie całość gospodarczą, która własną pracą, nie rachując na pomoc sąsiadów, stara się zaspokoić wszystkie swoje potrzeby, ideał Spencera jest łatwy do zrealizowania: każda rodzina zbiéra i konsumuje to, co sama wyprodukowała [1]). Ale dziś, gdy tysiące gospodarstw pracuje nietylko obok siebie, ale i dla siebie, przy podziale społecznym pracy, gdy każdy dostaje odpłatę za swą pracę dopiéro po całym szeregu aktów obrotu i za pośrednictwem piéniądza, jakże oznaczyć ów „sprawiedliwy" udział każdego w rezultacie, który wydała zbiorowa praca wszystkich? Prace współdziałających różnią się między sobą nietylko ilościowo (jeden pracował np. dwa razy tyle co drugi), ale i jakościowo? Czyż wynagradzać tak samo pracę genialnego pisarza lub malarza i pracę zwykłego robotnika rolniczego?

Spencer zaznacza w „Sprawiedliwości" ogólnikowo, że gra podaży i popytu uwzględni jedno i drugie, potrafi zastosować wynagrodzenie pracy tak do jéj ilości, jak i jakości; w jaki atoli sposób ma się to odbywać, bliżéj nie wykazuje. Uzupełniając go w tym względzie, stara się Bösch w dłuższym wywodzie rozpatrzéć działanie podaży i popy-

---

[1]) Bardzo trafnie przedstawił ostatniemi czasy ten typ gospodarstwa zamkniętego czasów pierwotnych i jego przemianę w dzisiejsze „gospodarstwo społeczne" Bücher w swéj pracy *Die Entstehung der Volkswirtschaft*. Tübingen, 1893 roku.

tu i dochodzi do rezultatu, że z jednéj strony najlepiéj dokonywują one rozdziału zadań produkcyi między poszczególne gospodarstwa w obrębie jednego społeczeństwa i podziału społecznego pracy, z drugiéj strony wywołują — a przynajmniéj gdyby nie czynniki stające na przeszkodzie — mogłyby wywołać rozdział ogólnego rezultatu produkcyi, odpowiadający ideałowi sprawiedliwości, bo zastosowany do ilości i jakości pracy każdego współpracownika.

Rozdziału zadań produkcyi między poszczególne gospodarstwa dokonywują najlepiéj, bo produkcya stara się zastosować zawsze do potrzeb. W miarę jak zwiększa się popyt na pewien produkt, a tém samém jego ceny i wynagrodzenia pracujących idą w górę, zwiększa się i produkcya; w miarę jak popyt się obniża — a następować to będzie już w części jako dalszy skutek podnoszenia się cen — produkcya obniża się również. Porusza się między pewném *maximum* a *minimum*, około pewnego stanu przeciętnego, od którego daleko nigdy nie odbiega.

Tak samo jednak ma się rzecz z wynagradzaniem pracy, z płacą. W każdym dziale produkcyi najwyższa płaca odpowiada *maximum* produkcyi, najniższa jéj *minimum*, a punkt średni, około którego oscyluje zwykle płaca, odpowiada normalnemu stosunkowi między podażą a popytem, przy którym produkcya potrafi potrzeby społeczeństwa najlepiéj pokryć. Ten punkt średni, płaca przeciętna, normalna, jest znowu w każdym dziale produkcyi, przy różnych rodzajach pracy, różny. Wynagradzanie prac różnéj jakości stosuje się do tego, czy społeczeństwo tego rodzaju pracy więcéj lub mniéj potrzebuje (więc znowu do popytu!), i do tego, czy o kwalifikacye, zdolności do téj pracy łatwo czy trudno (więc do podaży sił i talentów odpowiednich!). Gdy poszukiwanie pewnego rodzaju pracy jest bardzo wielkie, a mało kto jest do niéj uzdolniony, wynagrodzenie pracy — jak to widzimy na honoraryach słynnych pisarzy, śpiéwaków — dochodzi niezwykłych rozmiarów.

Gra podaży i popytu więc sama przez się jest w stanie regulować płace i to przy każdym rodzaju pracy w stosunku prostym do ilości pracy; przy różnych rodzajach pracy zaś w ten sposób, że każda wyżéj kwalifikowana praca otrzymuje tę nadwyżkę, jaka jest potrzebna, aby pokryć najlepiéj popyt ze strony społeczeństwa za pracą tego rodzaju.

Wypowiedziawszy tę tezę, zastrzega jednak Bösch zaraz — przewidując zarzuty ze strony socyalistycznéj i innéj — że przedstawia ona tylko prawdę względną, warunkową. Tak działałaby gra podaży i popytu przy stosunkach gospodarczych jak najprostszych, jak najmniéj skomplikowanych, t. j. gdyby czynnik naturalny produkcyi: ziemia

była do dyspozycyi każdego w ilości nieograniczonéj i gdyby do życia i pracowania wystarczała sama praca i dzielność osobista. Tymczasem w rzeczywistości i w jednym i w drugim kierunku rzecz ma się wprost przeciwnie. I ziemia, ten niezbędny czynnik produkcyi, istnieje tylko w ograniczonéj ilości, a pod względem urodzajności przedstawia całą skalę stopni, i do życia i produkcyi trzeba prócz pracy—kapitału. A to jest powodem, że rozdział rezultatów zbiorowéj produkcyi, któryby przy prostych całkiem warunkach gospodarczych, pod wpływem saméj podaży i popytu, jak najlepiéj się ułożył, komplikuje się, że powstają rodzaje przychodów nie wywołane pracą, jak: renta gruntowa, zysk przedsiębiorczy, procent, które z rezultatu zbiorowéj pracy niemałą część zabiérają.

Zastrzegając, że nie myśli wyjaśniać znaczenia ekonomicznego tych zjawisk, że poddaje jedynie ocenie etycznéj, przystępuje Bösch do téj oceny w ten sposób, że najpierw w tym samym trzecim rozdziale swéj pracy rozpatruje korzyści dla ogółu, jakie przedstawiałaby taka idealna organizacya, w któréj każdy mógłby otrzymać za swoją pracę wynagrodzenie zastosowane do jéj ilości i jakości, następnie zaś w rozdziale czwartym („Sprawiedliwość społeczna a rzeczywistość") bada, czy i o ile korzyści te zmniejszają się przy rozdziale dochodów, jaki się odbywa w dzisiejszym ustroju gospodarczo społecznym.

Zdaniem jego, dopiéro przy idealnéj organizacyi społecznéj osiąga ludzkość w pełni korzyści wynikłe z pożycia społecznego, i otwiéra się jéj droga do dalszego rozwoju na przyszłość. Im pierwotniejszą, im mniéj doskonałą jest organizacya społeczna, tém mniejsze stawia wymagania etyczne swym członkom, ale téż i mniejsze im zapewnia korzyści. Dopiéro przy wyrobionėm bezpieczeństwie prawném mogą się rozwinąć: obrót i podział społeczny pracy i korzyści, jakie stąd płyną dla jednostek. A dopiéro przy zapewnieniu pracującym wynagrodzenia proporcyonalnego do ich pracy będą oni pracować z należytą energią i gorliwością, a produkcya należycie się rozwinie. Niewola, poddaństwo tamują, jak nas poucza historya, produkcyjność społeczeństw, właśnie dlatego, że poddany i niewolnik nie pracują z tą energią i ochotą, co człowiek wolny, pracujący dla siebie, a nadzorujący ich marnują niepotrzebnie na ten cel swoje siły zamiast pracować.

Energia, którą człowiek może w kierunku gospodarczym rozwinąć, jest dwojakiego rodzaju: raz czynna, która polega właśnie na pracowaniu; powtóre, odporna, polegająca na odmawianiu sobie pewnych przyjemności, spożywania natychmiastowego rezultatów swéj pracy, na szczędzeniu. Przez szczędzenie uwalnia człowiek siebie lub drugich od pracy pewnéj na przyszłość, jest to niejako praca z góry, naprzód wy-

konana. Przez szczędzenie można sobie i swojéj rodzinie zapewnić późniejsze pożycie bez pracy: odpoczynek albo możność dalszego kształcenia się, przygotowania do pracy wyższéj, lepiéj płatnéj, wymagającéj wyższych kwalifikacyi. A takie same korzyści płyną ze szczędzenia dla całego społeczeństwa. Mając pokrycie dla potrzeb koniecznych, niezbędnych, które czekać nie będą, zwraca się ono ku pracy w nowych zakresach, nowych działach, może osiągać wyższe zadania cywilizacyjne. Tak więc, jak energia czynna, tak samo dla rozkwitu społeczeństw potrzebne jest szczędzenie, a gdy głównym bodźcem do szczędzenia jest prawo spadkowe, które każdemu zapewnia zatrzymanie tego, co zapracuje, dla jego dzieci i wnuków, przeto okazuje się dla idealnéj organizacyi społecznéj konieczném zachowanie prawa spadkowego. Prawo spadkowe ma wprawdzie i swe ujemne strony, bo przeszkadza naturalnéj selekcyi: nie wiele warci dla społeczeństwa i mniéj dzielni ludzie wskutek odziedziczonego majątku są w stanie utrzymać się przy życiu i miéć powodzenie, gdy dla społeczeństwa byłoby lepszém zostawanie przy życiu i powodzenie tylko dzielniejszych; ale z drugiéj strony korzyści ze szczędzenia wynikłe równoważą te strony ujemne.

Idealna organizacya społeczna, o sprawiedliwym t. j. proporcyonalnym do ilości i jakości pracy rozdziale dochodów [1], a zatrzymująca zarazem prawo spadkowe, dozwoli jednak ludzkości nietylko jak najlepiéj wyzyskać korzyści wynikłe z pożycia społecznego, z kooperacyi w produkcyi. Organizacya ta poprze też potężnie dalszy przyszły rozwój ludzkości.

Przedewszystkiém na drodze psychologicznéj, bo podniecając jak najsilniéj energię do pracy każdéj jednostki, zachęcając ją do szczędzenia, wyrobi rasę skrzętną, zapobiegliwą, rozwijającą swą działalność na coraz to nowych polach cywilizacyjnych. Właściwości te zaś raz nabyte przeniosą się drogą dziedziczności, drogą już fizyologiczną, na dalsze pokolenia. Nie trzeba przytém popadać w błąd, w który zwykle popadają przeciwnicy ewolucyonizmu, a nawet niektórzy jego zwolennicy, jak Nietzsche, i mniemać, że przyjęcie ewolucyi i selekcyi naturalnéj, jako czynnika rozwoju ludzkości, musi się łączyć z coraz większém wyrabianiem egoizmu w ludzkiéj naturze. Słyszymy często, że konsekwencyą ewolucyonizmu ma być przedewszystkiém doskonalenie rasy, gatunku. Nie można bawić się w sentymentalizm, trzeba

---

[1]) Bösch zastrzega przytém wyraźnie, że ten „sprawiedliwy“ rozdział dochodów nie wykluczy nietylko nierówności dochodów, ale i nierówności posiadania i majątku (str. 117 i 118).

uznać, że wyzyskiwanie słabszych przez silniejszych jest rzeczą zupełnie zgodną z prawami natury i słuszną. Niech słabsi, ci, którzy do życia i jego warunków nie mogą się przystosować, giną, a silniejsi tylko, dzielniejsi niech zostają przy życiu!... Tego rodzaju zdania i poglądy, które wypowiadają często przeciwnicy etyki ewolucyjnéj, których oddźwięki rzeczywiście spotkać można u Nietzschego w jego „nadczłowieku", są — wypaczeniem teoryi ewolucyi. Ta bowiem, mówiąc o rozwoju, ma na myśli rozwój człowieka i w kierunku duchowym, coraz szlachetniejsze kształtowanie się życia ludzkości! Nie chce wcale rozwijać coraz i rozniecać egoizmu ludzkiego, owszem chce go ograniczyć jak najdokładniéj i do pewnych tylko celów. Lecz naturalnie— dodaje Bösch [1]) — że teorya i etyka ewolucyi nie może stanąć na stanowisku tych, którzy głoszą braterstwo ludzi w tym duchu, iż nie chcą, aby nikt cierpiał, i myślą wszystkim zapewnić życie i zaspokojenie potrzeb!...

I jeszcze przed dwoma błędami — jako niezgodnemi z teoryą ewolucyi i należytym rozwojem społecznym—przestrzega Bösch, przed chęcią sztucznego regulowania mnożenia się społeczeństw, tak zwanym Nowo-Malthusianizmem i przed komunizmem. W kierunku pierwszym powinny społeczeństwa ludzkie spuścić się na naturę, na to, że ona najlepiéj potrafi zapobiedz tak niebezpieczeństwom przeludnienia, jak wyludnienia. Badania naukowe każą przypuszczać, że w miarę postępu i rozwoju cywilizacyi coraz więcéj energii zużywa się w człowieku na jego życie indywidualne, coraz mniéj na reprodukcyę. Mnożenie się społeczeństw ludzkich na wyższych stopniach cywilizacyi słabnie, zmniejsza się samo przez się. Komunizm zaś — a rozumié przezeń Bösch wszelką organizacyę społeczną, którąby każdemu bez względu na jego pracę i działalność zapewniała dział równy w rezultacie produkcyi zbiorowéj — zabiłby energię wszelką w człowieku, ochotę do pracy. Dział każdego musi być nierówny, bo proporcyonalny do jego pracy, tylko nierówność tę należy zredukować do możliwego *minimum*. Nie ulega bowiem wątpliwości, że im mniejsze są różnice w rozdziale dochodów, tém większe zadowolenie ogólne, suma szczęścia, jaką rozdział ten wywołuje.

Taki rozdział dochodów i organizacyę społeczną, którąby go wywoływała, poleca Bösch jako — ideał, jako sprawiedliwość społeczną. Przy nim ludzkość najlepiéj wyzyska korzyści zbiorowego pożycia, on ją najsilniéj posunie ku dalszemu rozwojowi w przyszłości, rozwojowi

---

[1]) Czytelnicy zechcą pamiętać, że streszczamy wciąż poglądy Bōscha, naszezdanie o tém wypowiemy niżéj dopiéro.

tak materyalnemu jak duchowemu. Ten ideał rozdziału dochodów odpowiada najlepiéj naszemu poczuciu moralnemu, prawu wewnętrznemu, życiowemu, które niezaprzeczenie odzywa się w człowieku...

Jakież to prawo? Odpowiedzią na to zamyka Bösch trzeci, najdłuższy rozdział swéj pracy, poświęcony analizie idealnéj organizacyi społecznéj i jéj korzyści.

Filozofia z czasów po Odrodzeniu, odrzuciwszy Objawienie nadnaturalne, starała się je zastąpić objawieniem naturalném, chciała we właściwościach fizycznych i psychicznych człowieka dopatrzéć praw dla jego zachowania się etycznego, będących niejako wyrazem woli Stwórcy. Coś podobnego znachodzi się jeszcze u Spencera, w jego agnostycyzmie. Uważa on prawa rządzące wszelkiém życiem w świecie, jako wypływ potęgi „niepoznawalnéj”, stojącéj po za światem zjawisk, a sprawiedliwy, odpowiadający etyce ustrój społeczny, za wyraz właśnie téj siły nierozpoznalnéj, siły, którą wierzący uznaje za—Boga. Uczucia moralne w człowieku są oddźwiękiem téj siły w świadomości człowieka [1]).

Bösch podnosi, że zdania te u Spencera, który w całéj filozofii swéj nie zna jakiéjś odpłaty w życiu przyszłém, sprawiedliwości przez Boga wymierzanéj, są tylko frazesem. Przyznaje, że dla wierzącego może zgodność nakazów religii z zasadami sprawiedliwego pożycia społecznego, do jakich dojdzie przez rozumowanie, stanowić tém silniejszą pobudkę do działania etycznego; agnostyk jednak musi szukać kryterym moralnego przedewszystkiém drogą analizy rozumowéj.

Otóż najwyższém prawem życia, prawem dla woli ludzkiéj jest: unikać cierpienia, szukać przyjemności. Każdy chciałby więc właściwie przykroić dla siebie cały porządek społeczny, tak aby zapewniał mu jak najmniéj cierpień, a najwięcéj przyjemności. Wnet jednak musi przyjść do przekonania, że to nie jest możebne, że trzeba i drugich uwzględnić, dla nich porobić ustępstwa, zadowolić się porządkiem społecznym, który nietylko jego dobro, ale i dobro innych ma na oku. Pogodzenie się z takim porządkiem nie jest jednak tylko ustępstwem wymuszoném na egoizmie każdéj jednostki, następuje ono w części i dobrowolnie, ze współczucia, sympatyi dla drugich. Współczucie to u różnych ludzi jest mniéj lub więcéj wyrobione, ale każdy do pewnego stopnia odczuwa i szczęście wszystkich także jako swoje i wprost sobie go życzy.

---

[1]) Por. Spencer. *Justice* (tłóm. francuskie Castelota). Paris, Guillaumin et C., 1893, 3, ustęp końcowy, 35.

Z tych psychologicznych motywów przychodzą ludzie, zdaniem Böscha, do postawienia jako najwyższego kryteryum etycznego: możliwie największego dobra ogółu, a prawdziwość tego możemy stwierdzić ile razy chodzi w życiu o postawienie nowych norm prawnych lub etycznych. Te motywa psychologiczne (szukanie szczęścia a unikanie bólu) uważa téż on za źródła, z których płyną uczucia etyczne w człowieku, uczucia skłaniające go do szanowania urządzeń prawnych i moralnych istniejących (str. 171). Rzuciwszy to ogólnikowe — a jak wykażemy niżéj stanowczo błędne — twierdzenie, nie tłómaczy Bösch bliżéj genezy uczuć etycznych: jest to wedle niego rzeczą psychologii moralnéj. Podnosi tylko jeszcze, że ogół uczuć etycznych, sumienie w człowieku zowią zwykle głosem Bożym, że Spencer nazywa uczucia te oddźwiękiem siły niepoznawalnéj w całéj naturze występującéj i że spencerowski ten pogląd przypomina starożytnych stoików i ich nakaz moralny: żyć w zgodzie z naturą, zastosować prawa pożycia ludzkiego społecznego do praw natury [1]).

* * *

Rozdział czwarty pracy Böscha zajmuje się zbadaniem, o ile zboczenia od idealnego rozdziału dochodów, jakie przedstawia rzeczywistość, dochody nieproporcyonalne do pracy i nią niezasłużone, szkodzą dobru społecznemu.

Za takie dochody uważa Bösch, jak wynika już z tego co wprzód mówiliśmy: zysk przedsiębiorczy, rentę gruntową a poniekąd i procent.

Co do zysku przypomina, że były zawsze przy podziale społecznym pracy jednostki, które nie pozbywały się rezultatu swéj pracy, lecz tylko swéj siły roboczéj. Tę siłę ktoś kupował, zużytkowywał, a rezultat kupionéj tak pracy sprzedawał na swój rachunek. Od wprowadzenia maszyn i rozwinięcia produkcyi przemysłowéj na wielką skalę, która zatrudnia większą ilość robotników, około 50, 100, nieraz 200 przy produkowaniu jednego wytworu w wielkich masach, klasa robocza, pozbywająca tylko swe siły na cudzy rachunek, wzrosła niesłychanie i od tego czasu wyrobił się głównie typ nowoczesnego wielkiego przedsiębiorcy, który, posiadając na własność potrzebne do produkcyi urządzenia fabryczne, maszyny i t. d., stara się o potrzebne surowce,

---

[1]) Że przypisywanie takiego zapatrywania stoikom jest zupełném ich nierozumieniem, wykażemy niżéj.

każe je robotnikom za zapłatę obrabiać czy przerabiać i — na swój rachunek sprzedaje.

Jeżeli rozpatrzymy wydatki tego przedsiębiorcy, widzimy, że polegają one: 1) na zapłaceniu robotników, 2) zapłaceniu surowców, opału, wogóle wytworów pomocniczych potrzebnych do fabrykacyi, 3) na normalném oprocentowaniu włożonego w przedsiębiorstwo kapitału stałego i obrotowego, 4) na opędzeniu kosztów ciągle potrzebnych reperacyi, 5) wreszcie—wedle okoliczności—na amortyzacyi kapitału, włożonego w maszyny. Dochody zaś jego polegają na sumie pieniędzy uzyskanéj ze sprzedaży gotowych fabrykatów i ewentualnych odpadków produkcyi. Dochody te, przewyższając zwykle znacznie wspomniane wprzód wydatki, tworzą zysk przedsiębiorcy przemysłowego, wynagrodzenie za jego pracę, t. j. podjęcie się produkcyi w interesie społeczeństwa, zorganizowanie jéj należyte, kierowanie nią. Obok tego typu przemysłowego przedsiębiorcy występuje jeszcze drugi typ przedsiębiorcy handlowego, który, pośrednicząc w sprzedaży gotowych produktów między producentami a konsumentami, za to sobie zysk liczy.

Otóż, jeżeli rozpatrzymy pracę, za którą jeden i drugi rodzaj przedsiębiorców pobiera wynagrodzenie, zwane zyskiem, przychodzimy, zdaniem Böscha, do przekonania, że praca ta daleko lepiéj jest wynagradzana, aniżeli praca nietylko téj saméj, ale znacznie wyższéj kwalifikacyi w innych zawodach. Praca ta nie stoi wyżéj pod względem wymagań, jakie stawia pracującemu, niźli praca adwokata, inżyniera, lekarza, bardzo często stoi niżéj, a już z pewnością ustępować musi pracy technika-wynalazcy, badacza naukowego. Czémże się dzieje, że praca ta przedsiębiorcy, nie dorównywająca w kwalifikacyi innym, pobiera mimo to wynagrodzenie lepsze? Czemu gra podaży i popytu, którą rozpatrywaliśmy wyżéj, nie wyrówna tego wynagrodzenia przedsiębiorców z wynagrodzeniami innych pracujących? Czemu wszyscy nie stają się przedsiębiorcami i nie obniżą przez konkurencyę zysku przedsiębiorczego? Odpowiedź jest prosta. Bo do tego trzeba miéć własny kapitał! Bez kapitału nie można zakładać przedsiębiorstwa i pobierać zysków przedsiębiorczych, a tak nadaje posiadanie na własność kapitału tym, którzy go włożą w przedsiębiorstwo, możność pobierania dochodów wyższych, aniżeli dochody podobnéj, a nieraz wyższéj pracy, nie wyposażonéj w kapitał. Zysk przedsiębiorczy jest rodzajem monopolu, wynikłego z posiadania kapitału. Otóż, oceniając etycznie monopol ten, wypowiada Bösch przekonanie, że jakkolwiek przedsiębiorcom nalеży się bez kwestyi za ich pracę, jako wymagającą specyalnych i większych kwalifikacyi, wynagrodzenie wyższe, to jednak, o ile wynagrodzenie to przewyższa wynagrodzenie podobnéj, a nawet

wyższéj pracy w innych zawodach, monopol zysku przedsiębiorczego jest szkodliwy dla ogółu. Narusza bowiem zasadę proporcyonalności dochodu do pracy, zmniejsza tém samém ogólne uczucie zadowolenia, szczęścia w społeczeństwie, a wskutek tego osłabia energię do pracy. Naturalnie, podwójnie wystąpią te szkodliwe skutki, gdy przedsiębiorcy starają się zysk swój mniéj godziwemi sposobami podnieść, gdy w drodze zmów między sobą, tak zwanych *trust*ów, *ring*ów, *kartel*i dążą do zgniecenia ekonomicznego słabszych współkonkurentów, aby, zawładnąć wyłącznie targiem, wyzyskują konsumentów, albo obniżają płace robotnikom!...

Jeszcze więcéj niż zysk przedsiębiorczy naraża, zdaniem Böscha, zasadę sprawiedliwego, t. j. proporcyonalnego do pracy rozdziału dochodów w społeczeństwie—renta gruntowa. Jest to dochód specyalny właścicieli gruntów, wynikły stąd, że obszary ziemi — w krajach gdzie wszystka ziemia jest już zajęta na własność, — nie dadzą się powiększać. Tymczasem zaludnienie i jego gęstość wzrasta, środki obrotu i komunikacyi ulepszają się wciąż, popyt więc na ziemię czy do uprawy, czy pod budowy i urządzenia fabryczne, wciąż wzrasta! Stąd ceny produktów rolnych, leśnych i górniczych i ceny ziemi saméj idą w górę. Właściciel ziemi pobiera pewną nadwyżkę dochodu, któréj nie zawdzięcza pracy, a nadwyżka ta, skapitalizowana zgóry, występuje w cenie gruntów, powodując nieraz — zwłaszcza przy gruntach miejskich—już po upływie krótkiego czasu znaczny przybytek w majątku właściciela. Otóż niezasłużony ten dochód z ziemi i niezasłużony przybytek w majątku, spowodowany wzrostem wartości ziemi powinny, zdaniem Böscha, dostawać się w udziale nie jednostkom, lecz ogółowi, całemu społeczeństwu. Dostając się jednostkom, naruszają znowu, i to w daleko wyższym stopniu niż zysk przedsiębiorczy, zasadę proporcyonalności dochodu do pracy, osłabiają tém samém energię do pracy w społeczeństwie i jego rozwojowi szkodzą. Mniéj dzielnym i mniéj wartym członkom społeczeństwa daje to nieraz możność utrzymania się przy życiu i dobicia się powodzenia kosztem dzielniejszych!... Bösch wskazuje, że na téj drodze właśnie i głównie objawia się szkodliwe działanie prawa spadkowego—za którego zatrzymaniem, jak zaznaczyliśmy wyżéj, przemawiał. Gromadzone z pokolenia na pokolenie zyski przedsiębiorcze i przychody z ziemi wytwarzają milionowe fortuny i to najczęściéj w ręku takich, którzy ich użyć z korzyścią dla społeczeństwa, pracować przy pomocy tych kapitałów nie chcą i nie umieją. Szkodzi to, jak łatwo ocenić, selekcyi naturalnéj i tamuje rozwój społeczny, a jeżeli na obronę wielkich majątków i klasy „dziesięciu tysięcy z góry" przytaczają zwykle argument, że wyższa duchowa kultura,

nauka, sztuka rozwinąć się mogą dopiero przy istnieniu warstw majętnych, któreby mogły się im swobodnie oddawać lub je popierać, to ten argument dziś nie jest już na czasie. Nauce oddają się obecnie nie bankierzy i milionerzy, lecz ludzie ze stanu średniego właśnie, a popierać sztukę potrafiłby ogół, społeczeństwo całe, daleko lepiéj niż jednostki, które to czynią dla próżności i nieraz właśnie zły wybór robią. Nadto przy usunięciu monopolu, jaki nadaje zysk przedsiębiorczy, i niezasłużonych dochodów, wynikłych z renty gruntowéj, przy idealnym rozdziale dochodów odpadłyby téż, zdaniem Böscha, małżeństwa zawierane z interesu pieniężnego, które na drodze fizyologicznéj i psychologicznéj rozwojowi społecznemu tylko szkodzą!

Najwzględniejszym okazuje się Bösch dla procentu. Ten, zdaniem jego, stanowi konieczną nagrodę za szczędzenie, a tém samém, jakkolwiek zasadę proporcyonalności dochodu do pracy także narusza, zatrzymać go dziś jeszcze musimy. Wobec obniżania się jednak ciągłego stopy procentowéj w krajach cywilizowanych, wyraża Bösch nadzieję, że z czasem może i ta nagroda za szczędzenie stanie się zbędną, że społeczeństwa tak się przyzwyczają zbierać i szczędzić, że wystarczy jako podnieta do tego minimalna stopa procentowa, np. 1% (str. 114—116).

Przedstawiwszy tak zboczenia dzisiejsze od idealnego rozdziału dochodów, od „sprawiedliwości społecznéj" w swém rozumieniu, stara się Bösch jeszcze pod koniec tego czwartego rozdziału swéj pracy sprostować mylne, jego zdaniem, poglądy Spencera na społeczną sprawiedliwość.

Sprawiedliwości społecznéj nie odpowiada państwo czysto-prawne, jakiego chce Spencer, państwo, które ograniczyłoby swą działalność do zabezpieczenia i ochrony rozdziału dochodów, stosunków posiadania i majątku, jakie z saméj gry podaży i popytu wynikną. Państwo musi działać i pozytywnie: wkraczać i wglądać w sprawy, których przeprowadzenia wymaga dobro ogółu, używać, gdzie tego trzeba, przeciw jednostkom przymusu. I budowa dróg, regulacya rzek i wód, i banki, koleje, ochrona robotników wymagają wdawania się państwa w sferę działania jednostek, a zupełnie błędnie uważa to Spencer za naruszanie wolności indywidualnéj. Dzieje się to właśnie celem zastosowania działu ze zbiorowego rezultatu produkcyi, jaki każdy ma dostać, do jego pracy, dzieje się to dla sprawiedliwości. Tak samo nakładanie ciężarów, podatków dla celów ogólnych: na oświatę ludową, zakłady, urządzenia naukowe, szpitale, domy przytułku i t. p., byle nie przekraczało właściwéj miary, nie sprzeciwia się, owszem odpowiada sprawiedliwości społecznéj.

* * *

Ostatni, piąty rozdział swéj pracy poświęca Bösch zbadaniu, jakie są widoki zbliżenia rzeczywistości do ideału sprawiedliwości społecznéj, który wyżéj przedstawił. Rozdział ten najsłabszy z całéj pracy, bo autorowi zbywa na dostateczném wykształceniu ekonomiczném, przejdziemy krótko.

Do zniesienia z czasem zysku przedsiębiorców handlowych, zysku kupieckiego, doprowadzi zakładanie stowarzyszeń konsumcyjnych. W miarę ich rozwijania ustanie monopol kupców. Stowarzyszenia te będą oczywiście téż wynagradzać swoich funkcyonaryuszy wyższych i niższych, ale tylko tak, jak inną pracę podobnéj kategoryi. Będą mogły sprzedawać zaś taniéj, bo odpadną im liczne wydatki, jakie dziś kupcy muszą ponosić: wysyłanie komiwojażerów, anonse, reklama i t. d.

Zysk przedsiębiorców przemysłowych zaś usuną: najpierw lepsza organizacya kredytu, która ułatwi każdemu chętnemu podejmowanie przedsiębiorstw, powtóre stowarzyszenia produkcyjne, przedsiębiorstwa akcyjne, które już John Stuart Mill słusznie nazwał zjawiskiem społeczném o charakterze demokratycznym.

Wszystko to razem w połączeniu z obniżeniem minimalném stopy procentowéj i upaństwowieniem renty gruntowéj—które téż projektuje, Bösch, jak zaraz zobaczymy—i w połączeniu ze zmniejszaniem się przybytku ludności, zmniejszy nędzę dzisiejszą niższych klas społecznych, podniesie je duchowo i moralnie, nauczy kooperacyi i współdziałania.

Szkoła do takiéj kooperacyi proletaryatu jest już dziś stworzona, są nią stowarzyszenia zawodowe robotnicze.

Przeciw *trust*om, *kartel*om i tego rodzaju nadużyciom samopomocy będzie musiało państwo użyć siły, a niektóre przedsiębiorstwa, których pozostawianie w rękach prywatnych byłoby niebezpieczném, jak koleje, przejąć na siebie. Ochrona robotników musi tak dlugo pozostać, aż rozwijająca się coraz organizacya zawodowa i polityczna stanu robotniczego uczyni ją zbędną.

Rentę gruntową musi państwo stanowczo upaństwowić i grunta wiejskie wypuszczać w dzierżawę tym, którzy na nich zechcą dla siebie i swéj rodziny gospodarować, za czynszem oznaczanym w drodze licytacyi, zatém przez grę podaży i popytu, co usunie, zdaniem Böscha, wszystkie niebezpieczeństwa wynikłe z oznaczania tego czynszu przez władze państwowe. Czynsz ten na téj saméj drodze będzie można co pewien peryod obniżać lub podwyższać. Sam jednak Bösch przyznaje, że niema pojęcia, jakby przeprowadzić to upaństwowienie renty w okolicach, gdzie rolnicy nie mieszkają po wsiach, lecz zdala porozrzucani

od siebie, jak w górach, tudzież, jak w drodze podatku upaństwowić rentę z gruntów miejskich!...

Co się tyczy kollektywizmu zupełnego, to twierdzi Bösch, że w naszych czasach, gdy jesteśmy blizcy wynalezienia statków powietrznych, dających się kierować, i latania, nie można żadnych idei organizacyjnych uważać zgóry za utopię! I kolektywizm jednak, któryby upaństwowił całą produkcyę i pod swe kierownictwo zagarnął, nie mógłby zapewniać wszystkim równego całkiem dochodu: owszem, musiałby, jeżeliby energia i chęć do pracy nie miały zginąć, wprowadzić proporcyonalność wynagrodzenia do pracy i dozwolić dziedziczenia oszczędności z rodziców na dzieci!...

W krótkiém „Zakończeniu" podnosi wreszcie autor, że do czasów Sokratesa filozofia grecka zwracała uwagę tylko na świat zjawisk zewnętrznych otaczających człowieka, a dopiero Sokrates nadał jéj kierunek badania i wewnętrznego, psychicznego ustroju człowieka. Podobnie i nauka nowoczesna w ostatnich dziesiątkach lat zadługo i zanadto wyłącznie zajmowała się badaniem natury, zaniedbując zagadnienia psychologiczne i etyczne. Teraz musimy do tych zagadnień powrócić: możemy i w nich porobić odkrycia, które pod względem dobroczynnych swych skutków dla ludzkości dorównają: parze, elektryczności i postępom chemii!... Będzie to wedle Böscha zadaniem nadchodzącego, dwudziestego stulecia.

*
* *

Praca, którą wyżéj streściliśmy, miała być — jak to sam autor w jéj tytule przyznawał—uzupełnieniem poglądów społecznych Spencera i ich krytyką.

Krytyka, jak widzimy, poszła w jednym tylko kierunku: gdy Spencer, jako przesadny indywidualista, chciał działalność państwa na polu społecznem zredukować *ad minimum*, zostawiając wszystko prywatnéj inicyatywie, konkurencyi i współubieganiu się jednostek, Bösch—przejęty poglądami szkoły tak zwanéj etycznéj w ekonomii społecznéj, zwłaszcza niemieckich pisarzy—chce nadzwyczaj daleko idącego mieszania się państwa, reform społecznych, które graniczą z pomysłami socyalistów. Upaństwowienie renty gruntowéj jest to plan bardzo śmiały, który brać pod uwagę możnaby chyba w odległéj przyszłości, nie w czasach dzisiejszych, w okresie ciągłych przesileń agrarnych, powszechnéj obniżki renty gruntowéj!... Tak ten zaś projekt, jak myśl zniesienia zysku przedsiębiorczego, podnosi autor całkiem ogólnikowo, nie rozpatrując krytycznie możliwości lub niemożliwości przeprowadzenia tych planów,

ani zarzutów, które dałyby się przeciw nim podnieść; nieraz wprost naiwnie przyznaje, że nie zdaje sobie sprawy, jakby to się dało przeprowadzić (str. 243). Czy jest to wynikiem niedostatecznéj znajomości strony ekonomicznéj tych zagadnień?... [1]). Niektóre wywody zdawałyby się do takiego mniemania upoważniać.

Słusznem jest w każdym razie twierdzenie, że kierunek, w którym będzie się głównie posuwać praca na polu reform społecznych, wskazuje już dzisiaj — organizacya zawodowa pracujących. Należało tylko właśnie przynajmniéj zaznaczyć, w jaki sposób organizacya ta — dobrowolna, czy zapoczątkowana przez państwo — może wpłynąć na złagodzenie antagonizmu między kapitałem a pracą, na zbliżenie przedsiębiorców do robotników, na umiarkowanie wreszcie zysku przedsiębiorczego. Autor zastrzegł wprawdzie, że całą kwestyę tego zysku i inne „zboczenia od ideału organizacyi społecznéj" chce rozebrać tylko ze strony etycznéj, nie ekonomicznéj (str. 78), lecz skoro wplatał i tak na różnych miejscach tyle — niepotrzebnych nieraz — wywodów ekonomicznych, mógł i téj kwestyi więcéj uwagi poświęcić. Doprowadziłoby go to zaś i do cennych — rezultatów etycznych! Rozpatrzenie samorządu organizacyi zawodowych, decentralizacyi władzy, jaką one będą musiały wytworzyć, dałoby mu najlepsze wskazówki, co do tego na jakiéj drodze może w przyszłości nastąpić należyte rozgraniczenie sfery działania jednostki a społeczeństwa, pogodzenie wolności indywidualnéj i przymusu społecznego... Autor poddał krytyce poglądy Spencera na sprawiedliwą organizacyę społeczną właśnie tylko na tym punkcie; oświadczył się—i słusznie—przeciw spencerowskiemu przecenianiu wolności jednostki, a za przymusem społecznym, sam jednak nie umie podać, jak daleko ma sięgać ten przymus i dlaczego godzi się on z wolnością jednostek! [2]).

Tyle o krytyce spencerowskich poglądów u Böscha, a zarazem o idei sprawiedliwości społecznéj, jaką spotykamy u obu tych pisarzy ewolucyjnych.

Postaje nam jeszcze powiedzieć słów parę o ich poglądach etycz-

---

[1]) Autor jest docentem filozofii, nie ekonomii społecznéj.

[2]) Jednostki związane w organizacyę zawodową będą zarazem władzą lokalną, będą w pewnym szerokim dosyć zakresie same sobą rządzić, nakładać swéj wolności, w miarę uznania potrzeby, mniéj lub daléj idące ograniczenia. Na téj drodze niewątpliwie będzie się w przyszłości poruszał rozwój społeczny. Ciekawą tę kwestyę, którą tu tylko możemy zaznaczyć, rozbiera szerzéj w ostatnich czasach Prins w cennéj pracy: „*L'organisation de la liberté et le devoir social*". Bruxelles-Paris, 1895.

nych wogóle, w tym bowiem kierunku idzie znowu „uzupełnianie” Spencera przez Böscha.

Otóż Bösch, rozprowadzając szerzéj w niektórych punktach poglądy etyczne Spencera, nazywa je—jak to zaznaczyliśmy już wyżéj—utylitaryzmem. Jest to — jakkolwiek i sam się Spencer do utylitaryzmu przyznaje — mieszanie pojęć etyki utylitarnéj i etyki rozwojowéj, ewolucyjnéj.

Utylitaryzm ścisły, jaki reprezentuje np. John Stuart Mill, nie oglądając się na rozwój ludzkości, uznaje za etyczne to, co zapewnia możliwie wielką dozę szczęścia jak największéj ilości jednostek w społeczeństwie. Etyka ewolucyjna ma na oku dalszy rozwój ludzkości, wedle niéj etyczném jest to, co temu rozwojowi służy.

Otóż jasném jest, że tak etyka spencerowska, jak i poglądy etyczne Böscha, nie są utylitaryzmem w ścisłém tego słowa znaczeniu, lecz — etyką ewolucyjną. Mają bowiem na oku rozwój dalszy ludzkości, do tego zastosowują kryteryum etyczne i pojęcie sprawiedliwości.

Jak cała teorya ewolucyi, tak i etyka na niéj oparta dozwala w ramy swe ująć różne zapatrywania. Można pogodzić ją z wierzeniami religijnemi, przyjąć sprawiedliwość Bożą i sankcyę nadprzyrodzoną dla działań ludzkich, można téż starać się uzasadnić jéj kryteryum etyczne [1]) drogą czysto rozumową. Tą drugą drogą postępuje Spencer, a jeszcze więcéj Bösch. Spencer, jak to nadmieniliśmy wyżéj, mówi przynajmniéj o poczuciu etycznem wrodzonem człowiekowi, o głosie sumienia, jako o odbiciu téj potęgi niepoznawalnéj, która objawia się w całéj przyrodzie. Bösch, uzupełniając, jak sądzi, Spencera, stara się wyprowadzić te uczucia z najwyższego wedle niego prawa życia ludzkiego, którém jest: szukać szczęścia, unikać cierpienia. O ile rozumiemy wywody Böscha — na tym punkcie dość ogólnikowe i niejasne — człowiek, stosując się do tego „prawa”, w nim się odzywającego, nabywa uczuć altruistycznych (!). Jako na przykład podobnego zapatrywania, „przystosowywania praw pożycia ludzkiego do praw natury”, wskazuje Bösch na—starożytnych stoików.

Jest to zupełne nierozumienie praw rozwoju natury ludzkiéj, nierozumienie Spencera, którego uzupełnieniem mają być te poglądy, nierozumienie wreszcie stoików!

---

[1]) Powiadamy „kryteryum etyczne“, bo o ile idzie o genezę ostateczną uczuć etycznych, o cel, do którego cały rozwój etyczny ludzkości ma zmierzać, bez tłómaczenia metafizycznego, religijnego, jak niżéj jeszcze wykażemy, obejść się nie można.

Stosowanie się do prawa powyższego, postawionego przez Böscha, byłoby postępowaniem z egoizmu tylko, byłoby życiem wedle praw przyrody, natury wogóle, ale nie natury ludzkiéj!

„Prawa przyrody — powiada słusznie Huxley [1]) — mają wpływ tém większy na rozwój społeczny, im na niższym stopniu znajduje się poziom moralny społeczeństwa.” Wówczas też — w najpierwotniejszych stadyach cywilizacyi — jednostka każda stara się rzeczywiście szukać dla siebie tylko szczęścia a unikać cierpienia, walka o byt sroży się w całéj pełni, słabsi giną a zostają przy życiu tylko fizycznie silniejsi, lepiéj przystosowani. Już pierwszy postęp społeczny jednak, pierwsze lepsze unormowanie stosunków społecznych nie oznacza nic innego, jak: usunięcie wpływów przyrody na życie społeczne, a wprowadzenie na ich miejsce — wpływów moralnych. Odtąd rozwój społeczny staje się etycznym, a wynikiem jego jest: nie pozostawanie przy życiu najsilniejszych, najdzielniejszych fizycznie, lecz moralnie lepszych. W miejsce stosowania się ślepego do zachcianek egoistycznych, w miejsce egoizmu, który rzeczywiście każe każdemu szukać własnego tylko szczęścia a unikać bólu, występuje u jednostek coraz większe panowanie nad sobą; w miejsce bezwzględnego zwalczania, pokonywania współzawodników, uznanie i w nich bliźnich, oszczędzanie ich, nawet udzielanie im pomocy. Skutkiem tego nie pozostają wprawdzie przy życiu najdzielniejsi, najlepiéj przystosowani, ale za to możliwie największa ilość jednostek ludzkich [2]).

Że o takiém zastąpieniu zupełném egoizmu przez altruizm myśli i Spencer, nie ulega wątpliwości. Powiada przecież, że „altruizm osiągnie z czasem taki stopień rozwoju, iż dorówna uczuciom rodzicielskim”. I wedle niego rozwój ludzkości jest przedewszystkiém etyczny, a stan idealny, niejako wiek złoty, na który on w przyszłości wskazuje, w którym zniknie zupełnie antagonizm między jednostką a społeczeństwem, w którym każdy z najżywszą przyjemnością — rozumié się duchową — będzie działał etycznie a nawet poświęcał siebie dla drugich, to nic innego jak „królestwo Boże” każdego wierzącego w nie!... Jasném jest jednak, że na drodze stosowania się ślepego jednostek do rzekomego prawa życiowego, które stawia Bösch, na drodze

---

[1]) Por. Huxley. „*Sociale Essays*“ (tłóm. niem. Tillego). Weimar, 1897. „*Ethik und Entwicklung*“, str. 285.

[2]) Por. Huxley, j. w., str. 286. W ten sam sposób pojmuje rozwój społeczny Beniamin Kidd w swéj cennéj pracy o ewolucyi społecznéj, z którą niedawno „Ateneum“ zapoznało swych czytelników. Por. Kidd. „*Sociale Evolution*“ (tłóm. Pfleiderera). Jena, 1895, zwłaszcza str. 55 i nast., str. 263 i nast.

stosowania się do natury, przyrody, ten stan nie da się nigdy osiągnąć!

Nie pojmowali też wcale tak „życia wedle natury" stoicy. Rozróżniali oni naturę wogóle (przyrodę, świat otaczający człowieka) i naturę ludzką wewnętrzną, a w téj znowu: niższą, zwierzęcą jéj stronę i wyższą. Otóż żyć wedle natury znaczyło u nich: żyć wedle wyższéj natury ludzkiéj, żyć cnotliwie [1]).

W przyjmowaniu więc z jednéj strony rozwoju etycznego, moralnego ludzkości, a przypuszczaniu ze strony drugiéj, że rozwój ten nastąpi na drodze prostego „przystosowywania praw pożycia ludzkiego do praw natury", do głosu, który każdemu każe szukać własnego szczęścia—leży sprzeczność i główny błąd Böscha!

Błędem Spencera zaś — a tak samo każdéj teoryi ewolucyjnéj, która stara się rozwój etyczny ludzkości wyprowadzić z jéj rozwoju intelektualnego [2]) — jest, jak słusznie Kidd podnosi [3]), nieuznawanie tego, że ze wszystkich właściwości natury ludzkiéj rozum (intellekt) jest czynnikiem najbardzéj indywidualnym, egoistycznym, anti-socyalnym i sam z siebie tylko daléjby się w tym kierunku rozwijał.

„Gdybyśmy oczekiwali — powiada Kidd—od uczucia w jednostce, które ją przedewszystkiém do starania się o własne interesa pobudza (egoizmu), że podda się pod wpływem rozumowania uczuciu, popychającemu jednostkę do poświęcania się dla drugich (altruizmowi), w tym celu, aby popiérać rozwój ogólny dla jednostki zupełnie obojętny, byłoby to tylko zupełném nieuznawaniem istotnego stanu rzeczy." Wszak trudno wystawić sobie silniejsze uczucia altruistyczne, aniżeli rodzicielskie, a jednak jest to faktem niezaprzeczonym, który każdy może obserwować, że sam rozwój intelektualny, bez kształcenia uczuć

---

[1]) Huxley, j. w., str. 280. Por. też cytaty ze stoików u Huxleya w przypisku 15-ym, str. 307.

[2]) Utylitaryzm ścisły przyjmuje zachodzącą już zgóry identyczność interesów jednostki i interesów ogółu: jednostka potrzebuje tylko przyjść do poznania tego, aby działać moralnie. Spencer, stając na gruncie rozwojowym, posuwa się o krok daléj. Identyczność ta nie zachodzi jeszcze, ale nastąpi: antagonizm między jednostką a społeczeństwem zniknie, skoro jednostki udoskonalą się do tego stopnia, że przyjemnością dla nich będzie robić dobrze. Nastąpi to zaś drogą własnego odczuwania, poznawania, przeświadczenia się o tém każdéj jednostki („Dane etyki", rozdz. XIII, zwłaszcza str. 92 i rozdz. XIV). — Przecież przyjemność, jaką jednostka odczuwa, robiąc dobrze, przypuszcza, że ta jednostka jest już etycznie rozwiniętą! Musiały się w niéj wprzód już uczucia altruistyczne nagromadzić i rozwinąć. Spencer przypuszcza zaś, że dopiéro na drodze odczuwania przyjemności, ewentualnie oczekiwania jéj w przyszłości, uczucia te się wyrabiają.

[3]) Kidd, j. w., str. 268.

moralnych, nawet te naturalne, instynktowne uczucia osłabia i zabija. Czyż nie mamy w literaturze naszych czasów prac, w których twierdzi się z emfazą, że „jest coś wzruszająco-niedorzecznego w poświęcaniu się z generacyi na generacyę ludzi dorosłych dla swych dzieci"? Czyż nie widzimy, że w społeczeństwach, w których kształcenie rozumu bierze górę nad kształceniem uczuć, rozprzęga się moralność, życie rodzinne, znikają uczucia z niém związane? [1]).

Sam rozwój poznania, inteligencyi, nie doprowadzałby więc ludzi do tego, aby uznawali, że trzeba w interesie ogólnego przyszłego rozwoju poświęcać siebie i swój egoizm. Doprowadza ich do tego dopiéro inny wyższy czynnik, który miarkuje egoizm ludzki, wychowuje moralnie ludzkość, a czynnikiem tym są --wierzenia religijne.

Na najniższych stopniach cywilizacyi pierwsze niejasne uczucia etyczne wypływają już, jak się zdaje, z łączności pierwotnych grup społecznych, węzłami krwi związanych (rodziny, rodu, szczepu). Egoizm grupowy bierze górę nad egoizmem jednostkowym z powodu mało rozwiniętéj indywidualności jednostek i pochłania go. W miarę jednak właśnie, jak rozwój postępuje, wyrabia się indywidualność, inteligencya jednostek, a tém samém egoizm jednostkowy; miarkują go jedynie, wychowują etycznie społeczeństwa ludzkie — wierzenia religijne. Na tém polega znaczenie społeczne religii. Właśnie teorya ewolucyi, przyjmując rozwój etyczny ludzkości, ciągłe jéj doskonalenie się, zmusza wprost do uznania, obok rozumu ludzkiego, wyższego, uzupełniającego go czynnika rozwojowego—religii [2]).

Dr. Władysław Pilat.



---

[1]) Kidd, j. w., str. 269 i przypisek 2-gi na téj stronie, str. 258 i n.

[2]) Kidd, j. w., str. 270. Tę samą myśl nieco inaczéj rozwinął świéżo H. R. Marshall w pracy „*The religions instinct*", zamieszczonéj w czasopiśmie angielskiém „*Mind*", nr. 21, ze stycznia 1897 r. Por. streszczenie téj pracy w „Przeglądzie Filozoficznym", rok I, zeszyt 1, str. 142 i 143.

Jadwiga Tarłówna.

DRAMAT DZIEJOWY

w 5-ciu aktach.

OSOBY:

BOGDAN LEPUSZANO, hospodar wołoski.
HIERONIM SIENIAWSKI, wojewoda ruski.
MIKOŁAJ TARŁO, chorąży lwowski.
REGINA TARŁOWA, wdowa.
JADWIGA TARŁÓWNA, jéj córka.
MARCIN OSTROWSKI, pisarz ziemski przemyski.
JAKÓB LEŚNIOWSKI, podczaszy lwowski.
JÓZEF POBIDZIŃSKI.
MICHAŁ ŁYSAKOWSKI.
JAN PŁAZA.
MIKOŁAJ SĘP SZARZYŃSKI.
STANISŁAW STARZECHOWSKI.
KAZIMIERZ MŁODECKI.
JAN ZEBRO.
HERBURT.
HANNA POŁOŃSKA.
KRYPSKI, dworzanin Sieniawskiego.
Rybałt.
Zakonnica.
GRETA
HALSZKA } dziewczęta krakowskie.
DOROTA

AGATA, żebraczka.
Marszałek dworu Tarłów.
Pokojowiec Sieniawskiego.

Dworzanie. — Żołnierze. — Górale. — Lud krakowski. — Słudzy obojéj płci. — Muzykanci.

Rzecz dzieje się w drugiéj połowie wieku XVI.

AKT I.

Podwórze gospody w pobliżu zamku królewskiego w Krakowie, oddzielone od ulicy murem, z wchodem przez otwartą bramę. W głębi na tylnéj dekoracyi w pewném oddaleniu Wawel i zamek. Z prawéj gospoda. Kilka stołów i ławek po obu stronach sceny. Przez wejście wbiegają Halszka, Dorota, za niemi Greta.

Halszka. No, chwała Bogu!
Dorota. Bogu w niebie chwała!
Halszka. O Jezu Chryste, tom się zestrachała!
Dorota. I ja téż.
Greta. Głupie, wżdyć nie było czego.
Halszka. Nie było? Żacy gdy za tobą biegą,
By za przepiórką sokół z pazurami?
Greta. O wielkie dziwy! Mruga żak i mami
Słodkiemi słowy. Wżdyć cię nie podrapie.
Halszka. Za rękaw chwyta.
Greta. Niechaj sobie łapie,
Co mi to szkodzi?
Dorota. I tyś umykała.
Greta. Toć wiecie, żem ja w kompanijce trwała,
Wy w nogi i ja z wami, by bezemnie
Nie było tęskno.
Dorota. Jezu!
Greta. Eh, daremnie
Was strach zdejmuje.
Halszka. A nuż przyjdą żaki?
Greta. To sobie będą. Chłop nie ladajaki,
Co na studencką dał się kondycyją.
Dorota. Spokojnych ludzi po ulicach biją.
Halszka. Nie przepuszczają, czy chłop, czy niewiasta.
Dorota. Toć dawno trza ich było wygnać z miasta,
Wyświecić.

Greta. Za co?
Dorota. Boć niecnotę płodzą.
Greta. Eh, a spozierasz, czy snadź nie nadchodzą.
Gospodarz (wychodząc z domu). Co, panny, chcecie? Mam napoje różne.
Do mnie tu ludzie wstępują podróżne,
Bo tego, co mam, nie znajdziesz w Krakowie,
Chociażbyś cały zbiegł. Niech każdy powie,
Co zajrzał chocia raz do mėj gospody.
Mam wina drogie, przewyborne miody.
Cóż? wina? miodu?

(Halszka, Dorota, Greta kręcą głowami).

Choć po szklance piwa,
Takiego żadna nie piła jak żywa.

(Dziewczęta poglądają na siebie. Do bramy zagląda Starzechowski).

Starzechowski. Hej, hej, są tutaj.
Halszka, Dorota. Jezu, napastniki!
Greta. Nie wrzeszczyć! Cóż to? Z lasu wpadł zwierz dziki?
Żebro (zaglądając do bramy). No chodźcie!
Młodecki (u wejścia na podwórze). Chodźmy.

(Wchodzą Starzechowski, Żebro, Młodecki).

Gospodarz (kłaniając się). Trunki drogie, tanie,
Wszystkiego u mnie w bród na zawołanie,
Więc mi witajcie, szlachetni panowie.
Starzechowski. No, będziem pili?
Młodecki. Toć się wie.
Żebro. Za zdrowie.
Podwiczek gładkich.
Starzechowski. No i panny społem.
Halszka. Wżdyc nas niechajcie!
Młodecki. Baby pod kościołem
Żak się nie czepi.
Starzechowski. Ale gładkie dziewy
Kompania dla nas.
Greta. Wróbla nie na plewy
Łapają.
Starzechowski. Prawda!
Młodecki. Wiemy, mościa Greto!
Dla panien trzeba potrząsnąć kaletą.

Gospodarz. Toć święta prawda.
Starzechowski. Mamyć w wackach grosze.
Posłuchaj, brzęczą. (Pobrzękuje workiem).
Żebro. Nie od kształtu noszę
U pasa worek.
Gospodarz. Służę waszéj cześci.
Młodecki. No, naprzód dawaj dla mdłéj płci niewieściéj
Słodkiego miodu (Gospodarz kłania się).
Żebro. Nam zaś to, co *natum*
W węgierskiéj ziemi, u nas *educatum.* (Gospodarz odchodzi na prawo).
Starzechowski. No, panny gładkie, aż uścisnąć chce się
(Chce uścisnąć Halszkę).
Halszka. La Boga, rety!
Greta. Nie krzycz, boś nie w lesie.
Starzechowski. Nie sroż się, panno! Azaż moja wina,
Że mię za tobą gna moc Kupidyna?
Halszka. Niech ten Kupidryn indziéj gdzie się zwróci.
(Gospodarz wnosi wino i miód).
Młodecki. (Z komiczną przesadą).
Amora strzałą w głębie serc ukłuci,
Ochłody żebrzem z miłościwéj ręki.
Za serc ulżenie hojne damy dzięki.
(Gospodarz nalewa szklanki).
Żebro. Niech żyje gładka panieńska uroda!
Gospodarz. No, pijcież, panny! Miód to istna woda!
(pół-głosem do żaków)
Na oko słaby, prędko główki skręci,
A wtedy cnoty nie obronią święci.
(Przez bramę wchodzi Rybałt).
Rybałt. Ha, *bonum diem*, przezacni żakowie,
Niedarmo macie ostry rozum w głowie,
Bo, acz daleko jeszcze do wieczora,
Na pełną szlankę u was zawdy pora,
A przy podwiczce zaraz dojrzeć żaka.
Ha, młodość, bujność!
Żebro. No, patrzcie prostaka.
Starzechowski. Ty czego, chłopie?
Rybałt. Chłop, nie chłop, mój panie.
Na szatę okiem spójrz wprzód, nim witanie
Obcemu rzeknie gęba.

Młodecki. Łeb jak strzecha
Z chałupy chłopskiéj
Żebro. Poznać wnet, żeś klecha.
Rybałt. Jam kantor, uczny człek, więc się w drużynę
Studencką godzę. *Loquamur latine.*
Starzechowski. Ho, ho, łacinnik!
Młodecki. *Domini cantores,*
Amatis wódkam inszosque humores.
Rybałt. Ej, nie dworować! Weźmiesz po łbie kijem!
Gdy humor we łbie, to na umor bijem.
Starzechowski. Te kije na nas jeszcze rosną w lesie.
Młodecki. A co na klechę... każdy w garści niesie.
Żebro. Precz ruszaj, póki grzbiet masz cały, zdrowy.
Starzechowski, Młodecki. Precz! (Grożą kijami).
Rybałt. Czart was bierz! (ucieka, z głębi wchodzi Sęp Szarzyński).
Starzechowski, Młodecki, Żebro. Ha, uciekł!
Młodecki. Co, gość nowy?
Starzechowski. Nie w porę przyszedł.
Sęp. Gospodarzu, piwa!
Panowie, czołem!
Młodecki. Gładko się ozywa.
Coś polityki zarwał młodzieniaszek.
Żebro. Chodź, chodź waść do nas.
Sęp. Gdzie mnie do igraszek,
Mnie ważna sprawa wiedzie do Krakowa.
Młodecki. Tak młody jesteś, a hukasz by sowa
Ponuro.
Starzechowski. Kto waść?
Sęp. Taki, który w rzędzie
Waszmościów może niezadługo siędzie,
Bom ja wędrowiec, który chciwie szuka
Onego źródła, zkąd płynie nauka,
A wy, jak tuszę, *domini* studenci.
Żebro. Ho, ho, *beanus!*
Młodecki. On wié, co się święci,
Że wara od nas, póki nie ochrzczony.
Sęp. Wżdyć nie z pogańskiéj przychodzę ja strony.
Młodecki. *Beanus!*
Sęp. Cóż to?
Żebro. Ryba i zwierz niemy!
Starzechowski. Studentem będziesz, gdy cię oskrobiemy,

A wtedy chodzić będziesz na zaloty,
Na pełne czasze.
Sęp. Bynajmniéj ochoty
Ja nie mam trawić młodych lat w swywoli,
W rozpuście grzesznéj. Z ojców idę roli
Jedynie po to, by sposobić ducha
Ku zacnym czynom, dusza moja głucha
Na złe pokusy i podszepty biesa.
Młodecki. W czas mięsopustny będziesz Herkulesa
W *theatrum* grywał, jako na rozstaju
Rozkoszą gardzi i do cnoty kraju
Swe kroki zmierza.
Starzechowski. *Bene*, rzecz skończona!
Już gotowego mamy histryjona.

(Z głębi wchodzi Agata, żebraczka).

Agata. Panowie moi, wielce miłościwi,
Dostatnio Pan Bóg was odziewa, żywi,
Opatrzcie przeto mnie, bom biédna, słaba.
Starzechowski. A to, kto taki?
Agata. Kto? Żebraczka, baba.
Toć widzisz przecie, panie miłościwy.
Młodecki. Żeś baba, widzim.
Starzechowski, Żebro. Ha, ha!
Agata. Wielkie dziwy!
Co wam tak śmieszne? Zmarszczki, czy łachmany?
Masz gładkie liczko, panku mój kochany,
Lecz się i ono z wiekiem przeistoczy.
Żebro. Co? Wróżby umiesz?
Agata. Stare moje oczy
O kroków setkę nic nie dojrzą, ale
W przyszłości cieniach czytam doskonale
I lepiéj czytam, niżli z ksiąg żak w szkole,
Każdemu zgadnę jego przyszłą dolę.
Młodecki. Więc wróż nam!
Agata. Rękę daj, paneczku drogi.
Młodecki (wyciągając rękę). No, cóż mię czeka?
Agata. Ława i batogi.
Młodecki. Przeklęta baba!
Agata. Z rodzicielskiéj ręki,
Bo więcéj pijesz, niż się uczysz.

Starzechowski. Dzięki.
Za takie wróżby!
Agata. Tobie insze powiem.
Starzechowski. Mów, mów, u czarta! (wyciąga rękę).
Agata. Ty nie igraj zdrowiem.
Starzechowski. Co przez to myślisz?
Agata. Zdrowie miéj na pieczy,
Bo, acz w młodzieńczych leciech miłość k rzeczy,
Niewiasty ręka często zdradnie pieści,
Gdy zdrów być pragniesz, zdala od niewieściéj
Pieszczoty.
Żebro (wyciągając rękę). Cóż ja?
Agata. Po krótkiéj nauce
Na wojnę pójdziesz.
Żebro. Wrócę, czy nie wrócę?
Agata. Nie badaj radziéj... No, panowie, proszę,
Za wróżby biednéj babie dajcie grosze.
Starzechowski, Młodecki, Żebro. Masz masz, idź sobie.
Sęp. Masz tu i odemnie.
Agata. Co? Srebrną sztukę dajesz? Niedaremnie
Szlachetność patrzy z twarzy urodziwéj.
Powróżę tobie, będziesz-li szczęśliwy,
Czy też niedola czyha na cię sroga.
No, pokaż rękę... Boisz się?
Sęp. Ja Boga
Jednego boję się... Wróż! (wyciąga rękę)
Młodecki. Nuż co złego
Wywróży babsko.
Sęp. Doli naszéj strzegą
Anioły Pańskie, dzierżąc w dłoni silnéj
Przyszłości wagi. Wróż więc.
Agata. Nieomylny
Niebiosów wyrok przeznaczył ci w życiu...
Nie, schowaj dłoń twą... niechaj się w ukryciu
Przyszłości tai, co i tak w godzinie
Właściwéj kiedyś niechybnie wypłynie.
Dziś, kiedy z ciebie dzielny młodzieniaszek,
Pędź sobie żywot bez trosk, wśród igraszek,
Niewinnych uciech słodycz pij do syta,
Niech o nic więcéj dusza twa nie pyta,

By nie truć serca w nazbyt wczesnéj porze.
Sęp. Toć rzekłem... wróż mi... Przeznaczenie Boże,
Wiem, nie do szczęścia stwarza ród śmiertelny.
Wróż... zniosę wszystko.
Agata. Wiedz-że więc, ty dzielny
Młodzianie, że ci długich lat nie dano.
Sęp. Niech sławie służą, a wiekiem się staną,
Niech w nich żywota pełna treść się zmieści,
A więcéj nie chcę.
Agata. Nieskąpo boleści
Sądzono ci jest.
Sęp. I to mię nie straszy.
Żebro. To śmiałek jakiś, co go nie zjeść w kaszy.
Młodecki. Takiego byle słówkiem nie przepłoszy.
Agata. Mieć będziesz chwile niebiańskiéj roskoszy,
Lecz od zgryzoty serca nie ustrzegą,
Od świata weźmiesz, co w nim najgorszego,
To mu zostawisz, co najlepsze w tobie.
Sęp. Więc niech to żyje wiecznie, kiedy w grobie
Przedwcześnie legnę po mozolnéj pracy.
Nie cały umrę, jak śpiéwa Horacy.
Za wróżbę dzięki ci... No, masz tu jeszcze.
(Daje Agacie pieniądze).
Agata. Bóg zapłać, panie. I to ci obwieszczę,
Że taka dola, jaka ciebie czeka,
Nie dla zwykłego sądzona człowieka.
(Odchodzi głębią).
Młodecki. Gdy ci tak krótko życia wymierzono,
Nie żałuj sobie, czarę napełnioną
Wychylaj do dna, rozkosz sam mierz sobie
Podwójną miarą, abyś potém w grobie
Nie pożałował, gdy zapóźno będzie,
Żeś nie do syta użył
Żebro. Miéj na względzie,
Że komu śpieszno do końca obiada,
Ten szybko łyka i za trzech zajada.
Starzechowski. No, chodźże do nas! Patrzaj, szklanka wina
Pełniutka, aż się pieni, a dziewczyna
Źrenicą słodko wabi. Mościa Greto,
Figlarne oczki wielką są zaletą,

Świętoszkom zmącą strojoną postawę.
Greta. Niech się więc ku nam nawrócą łaskawe
Waszmości względy. Bliżéj do nas, proszę,
No, bliżéj!
Starzechowski. Wabi jako lis kokoszę.
(Młodecki i Żebro śmieją się).
Żebro. Hej, Greto, niech twe łapki go pochwycą.
Greta. No, pójdźcież, panie! (bierze za rękę Sępa)
Sęp (odtrącając Gretę). Precz, precz, ladacznico!
Greta. Co? Co? Waść szczekasz by pies...
Młodecki. Prosim waści,
Za zęby język, bo cię kto namaści
Przez łeb na odlew.
Żebro. Warczy, chocia niemy!
Starzechowski. Już przed *beanią* ciebie okrzeszemy,
Więc strzeż się waszeć!
Młodecki. Zuchwalec prawdziwie!
Te panny przy nas...
Sęp. Jak chwast przy pokrzywie.
Starzechowski. Kto tu pokrzywą, chwastem? Kto?
Młodecki. Niech prawi,
Co przez to myśli!
Sęp. Gdyście tak ciekawi,
To powiem prawdę w nieobłudnéj szacie,
Iż wstyd, że młodość swą sprośnie nurzacie
W kałuży... z wina szklanką, przy podwice...
Młodecki. Kazanie prawi.
Żebro. Mnich! mnich!
Starzechowski. Milcz, bo chwycę
Do ręki szablę.
Sęp. Na słowo mam słowo,
A na zaczepkę téż szablę... gotową,
By nią odpowiedź dać, jak przynależy.
Starzechowski. Zamilknij, bo cię... (dobywa szabli)
Sęp (dobywa szabli). Wyzwól mię z obierzy,
Wszechmocny Panie!
Młodecki, Żebro. Weźmiesz po łbie, chwacie!
Halszka, Dorota. O Jezu, bić się będą!
Greta. Co się macie

Jak sarny płoszyć... głupie... że po uchu
Chłop chłopa płatnie!
(Halszka i Dorota uciekają głębią).
Starzechowski, Młodecki, Żebro (nacierając). Nuże, broń się zuchu!
Sęp. Ha, na jednego trzech—to rozbój prawy! (odbija natarcie)
Starzechowski. Dalibóg, prawda! Stójcie! (opuszczają szable)
Młodecki. Junak żwawy
I mądrze gada! Ktoś ty? Niechże wiemy!
Starzechowski. Kto jesteś? Mówże, wżdyć nie jesteś niemy.
Żebro. Azali wstydasz się nazwiska swego?
Sęp. Jać mam się wstydać! Niech mię święci strzegą!
Mych ojców mianem człek się nie zakrztusi.
Starzechowski. Mów, skąd przybywasz.
Sęp. Dość z daleka, z Rusi.
Młodecki. *Rutenus gente!*
Sęp. Ze krwi mazowieckiéj...
Aż z płockiéj ziemi przybył nasz szlachecki
Ród na Czerwoną Ruś...
Starzechowski. Lichać ma głowa!
Toć my się znamy. Jesteś tam od Lwowa,
Powinnych naszych syn, z pobliskiéj wioski.
Sęp. Jam Sęp Szarzyński.
Starzechowski. A jam Starzechowski.
No, bracia moi, ptaszek to nielada!
Już ci oddawna wieść o nim powiada,
Że go w kolébce muzy kołysały
Parnaską pieśnią. — Snadź do wielkiéj chwały
Dla ojców twoich i ojczyzny miłéj
Matczyne piersi mlekiem cię żywiły.
Młodecki. Mruk jednak, jakby miał iść między mnichy.
Sęp. Jam sługa Pański pokorny i cichy.
Jeżeli Bóg mi i Niebieska Pani
Dar pieśni dali, to na to, bym w dani,
Hołd Niebu składał rymem i w pokorze
Natchnioném słowem głosił dzieła boże...
I... dzieła ludzkie, gdy te Bogu miłe,
Więc zanim zyszczę przedwczesną mogiłę,
Skwapliwie pełúcie godne mężów dzieła,
By muza moja opiewać je wzięła.

Co pieśń uwieczni, by w marmurze wykuł.
Starzechowski. Z zanadrza tobie wyziera fascykuł.
Snadź to są wiersze.
(Wydobywa Sępowi z zanadrza zwitek papiéru).
Młodecki. Wiersze! Cny poeto,
Prosimy, czytaj nam!
Sęp. Małąć zaletą
Kraszone jeszcze... świéże jako grosze
Z pod stempla.
Żebro. Czytaj.
Sęp. Jeno kornie proszę,
By tu nie mierzyć miarą zoilową,
To próba pióra, nieudolne słowo.
Starzechowski. Ten *versus* o czém?
Sęp. O szlacheckiéj cnocie.
Młodecki. To dla nas, wżdyć to o naszym klejnocie.
Sęp (czyta). Zacni się ludzie rodzą także z zacnych,
Znać w koniach sztuki ojczyste, lękliwych
Mężna orlica gołębi nie rodzi,
Ani mdły zając z dużych lwów pochodzi.
Starzechowski. Wybornie rzekłeś! Z ojców cnych cne syny,
A stare herby najlepsze wawrzyny.
Sęp (czyta). Wszakże rozmnaża cnoty przyrodzone
Ćwiczenie, czynią serce utwierdzone
Piękne nauki, tych kiedy dostaje
Szlachetne plemię szpecą złe zwyczaje.
Młodecki. Ha, dokąd zmierza!
Żebro. Patrzaj go, jak kręci.
Starzechowski. Niech czyta. Wiedziéć będziem, co się święci.
Sęp (czyta). Śmiał się waleczny...
Greta. Jezu, Panie złoty!
Czy my tu na to, by czytać bazgroty?
Wolelibyście radziéj pić...
Starzechowski. U czarta!
Więc nasza cnota uszu twych nie warta?
Azali nudzisz się?
Greta. I jak, mój panie!
Starzechowski. To ruszaj sobie na karku złamanie.
Greta. Gdy tak, to pójdę. Sługa waszmość pana.
Żebro. Stój, Greto!

Młodecki. Niechaj idzie do szatana!
(Greta odchodzi głębią).
Sęp (czyta). Śmiał się waleczny Rzym z syna onego
Ojca, dzielnością przełomion którego
Straszny Hannibal i fortunną zbroję
Musiał opuścić i ojczyznę swoję.
Starzechowski. Dalipan, prawda! Śmiechuć to przyczyna,
Gdy z cnego ojca widzim błazna syna.
Sęp (czyta). Ale nie przestał na tym między bogi
Chwalon Alcydes, że go gromem srogi
Ociec urodził, bo wolał dzielnością
Swą słynąć, niźli rodzaju zacnością.

Droga ku sławie w zacnym urodzenie
Domu, nie sama sława. Przeto w cenie
Kto chce być, porzuć nikczemne zabawy,
Nie na herb przodków patrz, ale na sprawy.
Starzechowski. O prawda! Porzuć nikczemne zabawy,
Nie na herb przodków patrz, ale na sprawy!
(Z głębi wchodzą Sieniawski, Płaza i dworzanie).
Płaza. Hej, gospodarzu!
Gospodarz. Służę Waszéj Cześci!
Sieniawski. Czy w waszym domu dzisiaj się pomieści
Podróżny człowiek?
Gospodarz. Kto? Czy Miłość wasza?
Sieniawski. Niech to aspana wcale nie przestrasza,
Że z sobą mały ludzi orszak wiodę.
Gospodarz. Na waszą służbę calutką gospodę
Oddaję.
Płaza (oglądając się wkoło). Troszkę to domostwo ciasne.
Sieniawski. Bywało, w szczerém polu nieraz zasnę,
Pod głowę kamień... burka i gotową
Łożnicę miałem... Wszakże dziś nad głową
Pragnąłbym strzechy i... kielicha wina.
Gospodarz. Do usług Waszéj Cześci... Snadź węgrzyna
W spleśniałéj flaszy?
Sieniawski. Dawaj, byle żywo!
W spiekocie miałem drogę utęskliwą,
Bom do Krakowa śpieszył jak na gody.
Przybywam w końcu, aż nigdzie gospody

W calutkiém mieście wolnéj nie najduję.
Czyż mamy w lesie nocować jak zbóje?
No, prędzéj wina! Ha, prawda... gawędą
Sam go zabawiam. (Gospodarz odchodzi —
do dworzanina) Niech tutaj przybędą
Co prędzéj nasze wozy, które stoją
Pod miastem.
(Dworzanin odchodzi.—Gospodarz wraca z butelką wina i pucharami).
Płaza. Azaż pod tą strzechą twoją
Dość miejsca będzie dla wozów i koni?
Gospodarz. Dalipan, nie wiem.
Sieniawski. Nie? To je osłoni
Namiotek z płótna, co go z sobą wożę.
Nie taki nocleg dawały mi boże
Zrządzenia w życiu... nierzadko w obozie
Stawałem w polu na dészczu lub mrozie,
Lub na spiekocie, co gorzéj dojmuje,
A spałem lepiéj niż w łożu, choć szuje
Tatarskie wkoło nas krążyły zdala
I wyły głosem wilka lub szakala.
Lecz przeszło wszystko... nie będę się żalił.
Nim zmarzł na mrozie, ni w słońcu się spalił.
I acz się piąty krzyżyk na kark skrada,
Dalekać jeszcze odemnie szkarada
Starości, jeszczem w pełnéj życia sile
I żar młodości wrze w każdziutkiéj żyle.
Bo za lat młodych nie wino, lecz wodę
Pijałem, zdala mijając gospodę,
Nie tak jak teraz panowie studenci.
Starzechowski. Mościwy panie!...
Płaza. Wiemy, co się święci.
Pan ojciec w domu dziadowskie kolczugi
Zastawił żydom — sprzedał w polu drugi
Na pniu plon cały, mienia mu połowa
Przepadła, byle wysłać do Krakowa
Synaczka swego po mądrość, co z księgi
Profesor w głowy kładzie, lecz mitręgi
Książkowéj, szkolnéj synek nie ciekawy,
Bo woli szukać wesołéj zabawy
Gdzieś po gospodach...

Starzechowski. Nie urągaj, panie!
Wprzód pomyśl raczéj, czy twe urąganie
Dotyka onych, którzy zasłużyli.
Młodecki. Niech Wasza Miłość...
Sieniawski. A więc wzrok nas myli?
Więc one flasze wina, te puhary
Nie są świadkami?
Płaza. Do nich nie trza wiary
Przykładać? Prawdaż, przezacni żakowie?
Starzechowski. Ten skrypt najlepiéj Waszéj Mości powie,
Jak jest niesłuszna ta zaczépka wasza.
Płaza. Skrypt profesorski, przy nim wina flasza,
Popłukać trzeba taki pokarm ducha,
Lecz pełen wina brzuch niechętnie słucha
Mądrości nauk.
Starzechowski. Czytaj, zacny panie!
Sieniawski. Co? Wiersze polskie?... Jestem niesłychanie
Ciekawy... O czém?... Płoche snadź amory.
Płaza. A coby na to rzekły profesory?
Starzechowski. Przeczytać proszę!
Sieniawski. O szlacheckiéj cnocie!
(Czyta po cichu) Hm, dobrze, dzielnie! Na marmurze, w złocie
Te wszystkie słowa wyryćby potrzeba,
A kto to pisał?
Starzechowski (wskazując na Sępa). On!
Sieniawski. O, waszeć z nieba
Dar cudny wziąłeś, przezeń zyszczesz sławę
Snadź większą jeszcze niż przez czyny krwawe.
(Czyta) „Nie na herb patrzaj"...
Płaza. Ha, plebejusz pono,
Lecz warteś herbu...
Sęp. Już nas uszlachciono,
Bo ród Szarzyńskich herb Junoszę trzyma.
Sieniawski. Co? Sęp Szarzyński?
Płaza. Czy syn Joachima?
Sęp. Tak, zacny panie!
Płaza. Znam, lwowski podstoli.
Hm, z Zimnéj Wody... człek, co nie pozwoli
Swojego dotknąć... cudzém też nie wzgardzi..
Zawzięty pieniacz...

Sęp. Sępy... ludzie twardzi
W ojczystéj cnocie... Ręczę prze Bóg żywy,
Że i mój rodzic człek prawy, uczciwy.
Płaza. Nie przeczę...
Sieniawski. Bardzo to waści zaszczyca,
Że tak gorąco bronisz czci rodzica;
A że i piórem służysz dobréj sławie,
Więc bardzo proszę, pomnij to łaskawie,
Że w mych Brzeżanach czekam na waszmości
Przybycie, aby w rzędzie miłych gości
Młodziana podjąć, co się z czasem chwałą
Okryje.
(Za sceną słychać głos trąb, bębnów i bicie w dzwony)
Co to?
Sęp. Coś się w mieście stało!
Sieniawski. By jeno ogień nie był tu przyczyną.
Gospodarz. Tak samo było dzisiaj przed godziną.
(Z głębi wchodzi dworzanin.)
Sieniawski. Co się tam dzieje?
Dworzanin. Nie wiem, jaśnie panie.
Gospodarz (poglądając przez wejście).
Od rynku jakaś jazda i bieganie,
Rząd konnych, wozów ku zamkowi jedzie.
Starzechowski. Złocona króla karoca na przedzie,
Za nią tłum innych... (z głębi wchodzi Herburt)
Powiedz nam kamracie...
Herburt. Co to takiego, pewno zapytacie.
A k'rzeczy było trawić czas w tym szynku!
Tam Kraków cały zebrał się na rynku,
By ujrzéć cudny widok... hołd Bogdana.
Hospodar ukląkł na oba kolana
I jako każą obyczaje stare,
Królowi przysiągł trwale chować wiarę.
Oj, był to widok!...
Sieniawski. Boże nad gwiazdami!
Więc znów Wołosza szuka związku z nami,
Więc znów się wraca dawna ojców chwała,
Byleby teraz unia była trwała
I naród, który kark giął aż do ziemi
Przed Turkiem, pojął, iż związek z wolnemi

To pewna tarcza szczęścia i swobody.
O Polsko, niech się z tobą cne narody
Dla dobra świata łączą na wsze wieki,
Pod paweż twojéj chroniąc się opieki!
Herburt (wyglądając przez bramę)
Przez Boga, co to? Konie rozszalałe
Wprost pędzą ku nam.
Żebro (przybiegając do bramy). Oba by śnieg białe...
Karocę wloką...
Młodecki. Mkną, jak błyskawicą.
Starzechowski. W karocy panie dwie...
Gospodarz. Jeśli nie chwycą
I nie wstrzymają koni, jako z procy
Wypadną.
Żebro. Daléj!
Sęp. Bieżmy ku pomocy!
Starzechowski. Co żywo bieżmy (Wszyscy czteréj wybiegają).
Gospodarz. Cóż tu poradzicie?
Tu łacno ponieść szwank lub stracić życie.
Sieniawski (wyglądając z bramy)
Ha, żwawe chłopcy! Patrzcie, jednéj chwili
Wstrzymali konie! Dzielnie się sprawili!
Gospodarz. Lecz biednym paniom coś się złego stało,
Bo tutaj niosą jedną z nich... omdlałą...
Płaza. Zabitą może.
Gospodarz. Niebiosa łaskawe,
Ratujcie!
(Sęp i Starzechowski wnoszą Jadwigę omdlałą, za nimi biegnie Regina, daléj Młodecki, Żebro i Herburt, za nimi tłum ludzi, zwabionych ciekawością).
Regina. Wody!
Sęp. Tutaj ją na ławę
Połóżmy! (Składają Jadwigę na ławie).
Sieniawski. Kto to?
Regina. Córka ma Jadwiga!
Ratunku! Boże! Życie w niéj zastyga!
Ratunku!
Sęp. W usta wpuśćcie trochę wina!
Starzechowski (do Reginy). Spokoju, pani!
Sęp. Otwierać poczyna
Powieki.
Jadwiga. Matko!

Regina. Żyje, wielki Boże!
Jadwiga. O matko!
Regina (podając jéj wino) Pij, pij, snadź ci to pomoże.
Sęp. Rozwiążcie rzemień, co ją koło pasa
Uciska.
Sieniawski. Boże, co za dziwna krasa!
Urodzie tutaj suknia nic nie przyda.
Cudniejszą chyba nie była Cypryda,
Gdy na świat wyszła z białéj morskiéj piany.
Jak ślicznym jesteś, kwiatku ty liliany!
Wysławiać krasę twoją słów nie stanie.
O jak zazdroszczę tobie, cny młodzianie!
Jak ty być młodym, nie przekwitłym mężem,
Zdobyłbym sobie ją pieśnią, orężem,
Wszyściutkie skarby me oddałbym za nią,
By jeno w domu mym została panią.
Cóż tak poglądasz frasobliwie?
Sęp. Panie!
Sieniawski. O wiem, wiem, co się w twojém wnętrzu stanie.
Łuk wystrzelony, wypadła już strzała
I w samo serce tknęła cię... Rzecz mała!
Tak młodym jesteś... ona niemal dziecię,
Przed wami jeszcze wszystko na tym świecie...
I droga prosta do ślubnego wieńca.
Najmożniejszego masz dziś sprzymierzeńca,
Tę młodość twoją.
Sęp. Jestem człek ubogi!
Sieniawski. Więc skarby zdobądź i rzuć jéj pod nogi.
(Z głębi wpada Bogdan i kilku dworzan).
Bogdan. Przez Boga! Co się stało?... Mów! Gdzie ona?
Gospodarz. Kto taki, panie?
Bogdan. Moja narzeczona!
Gospodarz. Snadź ona pani?
Bogdan. Boże, wieść straszliwa
Mych uszu doszła. Chwała Bogu, żywa!
Jadwiga. I cała, dzięki Niebu. A niewiele
Nie dostawało, byś mię w ziemskiém ciele
Nie ujrzał więcéj, miłościwy panie.
Bogdan. Nikt nie przewidzi z rana, co się stanie
Pod wieczór... Boże! Jakże pełen dumy
Jechałem z rana, patrząc na te tłumy,

Co mię radosnym okrzykiem witały.
Ach, chwila jedna, a ze szczytu chwały
I szczęścia spadłbym aż na dno rozpaczy!
Wolałbym wtedy—ach!—kosztur żebraczy
Od tronu w Jassach, gdybym jego chwałą
Otoczyć nie mógł téj, którą wybrało
Me wierne serce.
Regina. Podziękujmyż Bogu,
Że nas zachował na zaguby progu
Rękoma panów tych, co zatrzymali
Shukane konie.
Bogdan. Taki czyn się chwali
Wam, cni młodzianie.—Przyjmcie dzięki nasze!
Za zdrowie pani méj niejedną czaszę
Wychylcie! Chciałbym spłacić to sowicie,
Więc bierzcie worek ten... w nim, jak widzicie,
Czerwońce same. (Rzuca worek na stół).
Młodecki. Panie, szlachcic prawy...
Bogdan. Ach, z niewdzięczności nie chcę nabyć sławy.
Starzechowski. Przezacny panie, chocia gdzieś tam macie
Na tronie siedzieć...
Sęp. Pozwól, miły bracie..
Niech Wasza Miłość za złe nam nie bierze,
Że wam powiemy otwarcie i szczerze,
Iż pobudziła nas nie chęć zapłaty
Biedz na ratunek...
Bogdan. Jestem dość bogaty...
Ten dar mię dzisiaj wcale nie zuboży.
Starzechowski. Niech go do kiesy Wasza Miłość włoży.
Bogdan. Cóż robić? Sprawa z wami nie tak łatwa.
O wiem, wiem dobrze, jak koronna dziatwa
Jest dumną, hardą... Jednak ja zostanę
Dłużnikiem waszym.
Sęp. Długi niespłacane
Na każdym ciążą i o każdéj porze.
Bogdan. Wszechmocny Pan mi wkrótce dopomoże
Tron przynależny posiąść, przyjdźcież wtedy
Do Jass, powitam was nie jak czeredy,
Najemne zgraje, ale wam zaszczytów
Nie będę skąpił—każdemu z Lechitów
Dostojeństw będą otworzone wrota.

Regina. Tymczasem niechaj łaskawa ochota
Do naszéj wioski Czapli was przywiedzie.
Niebiosom dzięki, jeszcze w naszéj biedzie
Szlacheckiéj stanie na tak zacnych gości
Przyjęcie.

Sęp, Starzechowski, Młodecki, Żebro, Herburt.
Słudzy my Waszych Miłości.

Bogdan. Na Wawel teraz! Do mojéj karocy
Niech panie siądą. Za wasz czyn pomocy,
Młodzieńcy, dzięki jeszcze raz. Panowie
Czekają na nas w zamku. Król się dowie
I wraz z nim wszyscy będą to wiedzieli...
Zaprawdę serce w nim się uweseli,
Gdy przy biesiadzie rozpowiem o młodzi,
Co się tak dzielną w jego państwie rodzi.
Bywajcie zdrowi!

Jadwiga, Regina. Niech Bóg w szczęściu chowa!

(Bogdan, Regina, Jadwiga wychodzą i siadają do karety, stojącéj przed bramą — tłum rozchodzi się).

Sieniawski. Więc to on, Bogdan, Wołoszyn, a owa
Dziewica cudna—narzeczona jego.
Snadź aniołowie Pańscy dróg jéj strzegą,
By ją dochować dla przyszłości świetnéj.
Ciekawym, jaki wydał ród szlachetny
Tę śliczną dziewę.

Herburt. Z Tarłów onać idzie.

Sieniawski. Znać, iż z zacnego domu, że we wstydzie
I poczciwości cna ją macierz chowa...
Boć to jéj matka?

Herburt. Tak, po Tarle wdowa.

Sieniawski. Więc ten Wołoszyn jest jéj oblubieńcem
I on jéj skronie ma otoczyć wieńcem
Książęcym... Jego ojca, Lepuszana,
Mikołaj, rodzic mój—wszak to rzecz znana—
Na tron wołoski wywiódł ze zwykłego
Bojarów rodu.—Jak to lata biegą!
Dziś syn ma na tron wieść córę téj pani.
(do Sępa) Młodzianie, widzisz... ktoś wstał od nas raniéj,
I skarb na drodze nalazł.

Sęp. A więc ona
Już jest dla świata na wżdy utracona!
Ach, po co, po co przeszłaś po méj drodze,
Zjawisko cudne!... Losy trapią srodze
I naumyślnie jasną błyskawicę
Rzuciły, iżby oślepić źrenice,
A potém wtrącić w ciemność, co boleśnie
Dojmować będzie.
Sieniawski. Oj, wstałeś dość wcześnie,
By na swéj drodze naleść dziwne ziarno,
Co ci wyrośnie z czasem dolą czarną.
Zaprawdę, teraz nie zazdroszczę tobie.
Ja snadź ukoję ból mój prędko w grobie,
A ty, nieszczęsny, będziesz nosił skrycie
Głęboką ranę wnętrzną całe życie,
A od młodości progów do mogiły
Daleka droga.
Sęp. Jak to?
Sieniawski. Zbierz twe siły
I precz uciekaj, choć na świata krańce,
Pomiędzy Niemce, Włochy, lub pogańce,
W bojowéj wrzawie stłumisz ból serdeczny,
Lub w ksiąg fortecy osiądziesz bezpiecznéj,
I w mądrość starych wieków zatopiony,
Nie będziesz pragnął chwały, bogactw, żony,
W spokoju przejdziesz tory drogi chlubnéj.
Inaczéj biada ci! Ten posiew zgubny
W takowy wzrośnie chwast, iż w tobie zgłuszy
Wszyściutkie szczęście młodocianéj duszy.
Że prawdę mówię, snadź ci przyszłość powie.
(Za sceną słychać turkot i trzaskanie z biczów).
Płaza (zajrzawszy przez bramę). To nasze wozy!
Sieniawski. Czołem, cni panowie!
(Odchodzi na prawo, za nim Płaza, dworzanie).



AKT II.

Sala w zamku Czaplińskim; w głębi zamiast ściany otwarte arkady, po za któremi widać ogród. Przy zastawionych stołach siedzą Ostrowski, Leśniowski, Pobidziński, Łysakowski, Starzechowski, Płaza, Sęp, Regina, Jadwiga, Hanna, szlachta i dworzanie, muzykanci.

Ostrowski (z puharem w ręce).
O miłościwe panie i panowie,
Gdy wino szumi w puharach i w głowie,
Pozwólcie czynić rzecz śród tego koła.
Jak ludzka pamięć sięgnąć w przeszłość zdoła,
W czaplińskim zamku gościom z dobréj woli
Nie żałowano ni chleba, ni soli.

Płaza. Chciéj waszmość dodać, ni mięsa, ni wina.

Ostrowski. Lecz tak gościnnie, jak pani Regina,
Nie podejmował snadź nikt do téj chwili,
Aż nadto daje znać, jako jéj mili
Pod strzechą goście. Wznieśmy więc, panowie,
Puhary w górę! Prze szacowne zdrowie
Cnéj gospodyni! Wiwat, niechaj żyje!

Wszyscy. Niech żyje! Wiwat! (Piją, fanfara).

Leśniowski. Zanim skłonią szyje
Poddanych krocie przed téj majestatem,
Rodziciel któréj był nam panem bratem,
Prędkiego życząc spełnienia nadziei,
Hospodarowéj przyszłéj więc z kolei
Wypijmy zdrowie... prze Jadwigi zdrowie!
Niech żyje!

Wszyscy. Wiwat! (piją, fanfara).

Regina. I w czynie i w słowie
Wyrazić trudno, jak jestem przejęta
Wdzięcznością! Gościa podjąć toż to święta
Powinność—więcéj nic—a zwłaszcza w chwili,
Tak wielce gdyście serc swych nakłonili
Ku onéj sprawie, co dla Tarłów rodu
Takowy splendor niesie.

Pobidziński. Bez powodu
Nie zlewa Pan Bóg łask swych na nikogo,
Nie darmo daje wam nadzieję błogą

Zaszczytów świetnych. Tarłów ród nie lada,
Tradycya wiele o nim rozpowiada.
A więc wypijmy to ostatnie zdrowie
Za jego chwałę. *Vivant* cni Tarłowie!

Wszyscy. Niech żyją! (Piją, fanfara).

Płaza. Dość już. *Punctum!* Czas do domu!
W noc późną droga niemiła nikomu.

Ostrowski. Acz to nie pięknie jechać w takiéj chwili,
Gdy goście suto zjedli i wypili,
Lecz niema rady! Szybko czas ucieka
I niejednemu droga dość daleka.
Cna gospodyni, dzięki za przyjęcie
Gościnne, hojne—lecz już na tém święcie
Zbyt długo bawim – bywajże nam zdrowa!
Niech dom wasz cały Pan w swéj łasce chowa.

Regina. Odjeżdżać chcecie? Azaż wam niemiły
Nasz dom ubogi?... Czyż się uprzykrzyły
Starania wszelkie, aby wam uciechą
Umilić pobyt wasz pod naszą strzechą?
O mili goście, dziś nam nakazano
Od losów czekać na wieść pożądaną,
Obecność wasza nam czekanie skraca.

Leśniowski. Musimy jechać.

Regina. Nadaremna praca,
Bo gdy was własna nie trzyma ochota,
To zamknąć każę wsze dokoła wrota
I drogę z zamku bierzcie szturmem chyba.

Pobidziński. Wpadliśmy w matnię, jako w siatkę ryba.

Łysakowski. Jesteśmy w jassyr chwyceni znienacka,
I nas i serca nasze więzi chwacka
Niewiasta — zuch ten, co się dziś obroni.

Leśniowski. Gdy nam nie puszczą i wozów i koni,
Musimy zostać.

Płaza. Radzi jednak w duszy.

Ostrowski. Snadź nam sądzono utonąć na suszy.

Regina. Przedwczesna wiosna przygrzéwa nam mile,
W ogrodzie na nas nowe krotochwile
Czekają. Proszę panów, jeśli łaska.

(Wychodzi do ogrodu, za nią część gości.—Pozostają Ostrowski, Leśniowski, Pobidziński, Łysakowski, Płaza, Starzechowski. Słudzy uprzątają stoły).

Ostrowski. To białogłowa!
Leśniowski. Niewiasta, u dyaska,
Nad męże dzielna!
Łysakowski. Sławać i jéj będzie,
Gdy państwo swoje Bogdan znów posiędzie.
Płaza. Wołoskie państwo to przepiórcze pole.
Ja sobie mierność mą szlachecką wolę
Nad panowanie w Jassach, nad tą zgrają,
Gdzie władcy jeden drugiego spychają
Na łeb na szyję. Iwon śmiać się musi,
Że nasz Bogdanek włóczył się po Rusi,
U panów możnych żebrząc wspomożenia.
I z czémże poszedł?
Ostrowski. Z czém? Waść nie wymienia,
Jakowi męże na tron go prowadzą.
Płaza. O wiem, są dzielni, lecz rady nie dadzą,
Bo garść ich tylko, tam zastępy całe,
Więc tamci wezmą państwo... ci czczą chwałę.
Zawczesne jeszcze tryumf i festyny.
Już tylko czekać jakowéjś nowiny,
Przeczucie moje nigdy mię nie myli,
Że nasi w bitwie jako lwy się bili,
Lecz pod przewagą sił ulegli w końcu;
Niepogrzebione ciała schną na słońcu,
A gdzieś na spisie głowa Bogdanowa.
Ostrowski. Eh, waść złe wróżby hukasz wżdy jak sowa.
(Goście parami lub po kilka osób przechodzą po ogrodzie, między nimi Sęp i Jadwiga).
Łysakowski. W przyrodzie cuda, jeszcześ niema końca
Kwietniowéj pory, a już promień słońca
Niezwykłém ciepłem do przechadzki wzywa.
Snadź wszystko wróży, że będzie szczęśliwa
Jadwiga.
Leśniowski. Niech jéj szczęście trwale sprzyja!
Ostrowski. Co to za młodzian przy niéj się uwija,
Jak muszka wkoło pięknego oblicza?
I ona jemu skwapliwie użycza
Uwagi chętnéj? Szepce jéj do ucha
Snadź coś słodkiego, bo go mile słucha,
I usta lekko krzywią się w uśmiechu.

Płaza. Oj, żeby z tego nie przyszło do grzechu,
Boć przecie do niéj droga zagrodzona;
Już ci nie wolna, ale narzeczona
Po zaręczynach, a te są jak śluby.
Starzechowski. Z podejrzeń niechaj nikt nie szuka chluby.
Ten młodzian nie jest chłystek ladajaki.

(Sęp i Jadwiga rozstają się.—Jadwiga odchodzi wgłąb. — Sęp zbliża się powoli do rozmawiających).

Płaza. Znać z miny, że się nie między prostaki
Wychował.
Starzechowski. Tak jest, wieszcz to z łaski Bożéj.
Płaza. *Epitalamium* pewnie tutaj tworzy
Na ślub Bogdana. Zyskać trza na czasie,
By wiersz gotowy trzymać już w zapasie.
Z nim wczas wystąpić niemała zaleta.
Starzechowski. Niech waszmość nie drwi, prawyć to poeta,
W łacińskim, polskim równie biegły rymie,
A muza jego nigdy się nie zdrzymie,
Acz Homerowa nieraz zamykała
Do snu swe oko.
Sęp. Wszystka ta pochwała
Przesadą cuchnie, ręczę wam, panowie,
Cny Starzechowski ubrdał sobie w głowie,
Żem mistrzem pieśni, a jam tylko żakiem.
Płaza. Zkąd się tu wziąłeś waść, zdarzeniem jakiém?
Sęp. Najprostszém w świecie. Nie tak zbyt odległa
Krakowska szkoła, by tam nie przybiegła
Wieść, jako Bogdan lud orężny zbiera.
Niejeden rzucił książki—i mnie szczera
Ochota zdjęła szablę chwycić w dłonie,
By córę Tarłów osadzić na tronie,
Lecz się spóźniłem.
Płaza. Dość wcześnie na gody
Zdążyłeś waszeć... Ha, cóż?... Taki młody
Snadź więcéj przyda się tu na festynie,
Niż tam gdzieś w polu... przynajmniéj nie zginie,
Lecz za to może coś zaginąć w domu.
Starzechowski. Coś waść przymawiasz?
Sęp. Komu? Rzeknij, komu?
Ostrowski. Nikomu chyba... Ot, tak sobie baje...
Płaza. Tak, baję tylko... jednak mi się zdaje,

Że muz kochanka wpuszczać w dom rzecz ślizka,
Bo można czasem dożyć widowiska,
Co będzie komuś snadź nie zbytnio k rzeczy.
Bo któż, u dyaska, tak się ubezpieczy,
By córze wieszcz się nie zakradł w serduszko,
Gdy słodkie wiersze pocznie kłaść jéj w uszko.
A tu nie zawsze z czułém słowem serce,
Do rymu mogą iść ślubne kobierce,
I bywa także, iż z wyrazem miłość
Takowa w rymie splącze się zawiłość,
Iż rodzic za nią gorzkie łzy wypłacze.

Sęp. Przez Boga, czylim wszedł między puhacze
Lub kruki, co mi kraczą o sromocie?
Jam syn szlachecki, uchowany w cnocie,
Mądrością książek napawan, acz młody,
Mógłżebym życzyć sromoty i szkody
Domowi, który mi otworzył wrota?
Niech się zawstydzi złośliwa ochota
I oczy sprośne, co złe widzą wszędzie,
Acz go tam niema, nie było... nie będzie.
(Wychodzi do ogrodu, za nim Starzechowski).

Ostrowski. Jak szablą rąbnął!
Łysakowski. Młodzieniaszek hardy!

(W ogrodzie odzywa się muzyka — w głębi przechodzą zamaskowani panowie i panie).

Maszkary! Cóż to? Snadź będą galardy
W ogrodzie pląsać.
Płaza. Hm, hm, moda nowa!
Na twarzy larwa, suknia pstra, godowa,
Człowiecze, zgaduj, kto ci prawi baje
Pod larwą skryty. Mnie się wszakże zdaje,
Że póki nasi tych włoskich nie znali
Wymysłów, kryli twarz larwą ze stali,
Ojczyzna kwitła bezpieczna, szczęśliwa.
Od Włochów do nas te zamorskie dziwa
Z sałatą, piżmem przyszły, aż wstyd prawie,
Sromota! Chodźmy przyjrzéć się zabawie!
(Odchodzi w głąb).

Łysakowski. Ha... ha... jak pędzi, acz zwie to sromotą.
Ostrowski. Nie wszystko, co się świeci, bierz za złoto.

(Wszyscy wychodzą w głąb — z lewéj wchodzi kilku służących, za nimi wbiega marszałek).

1 sługa. La Boga, maski!

2 sługa. Jezu, co za dziwy!

Marszałek. Precz, do roboty każdy! Przez Bóg żywy!
Zaledwie gędźba zabrzmi gdzie, u kata,
Aliści wszystko wnet mi się rozlata.
Na gapia każdy by szalony bieży.

1 sługa. Niech pan nie zrzędzi... Wżdyć się tak należy.
I pan i sługa do zabawy dąży.

(Z prawéj wchodzi Mikołaj Tarło).

Mikołaj. Co się tu dzieje?

2 sługa. Jezu! Pan chorąży!

1 sługa. Do stóp się pańskich ścielem.

Mikołaj. Dobrze, dzieci.
Poprosić pani niechaj który leci (1 sługa wychodzi na prawo).
Cóż to jest u was? Gędźba i maszkary?

2 sługa. Dziś festyn tutaj.

Mikołaj. Festyn? Nie do wiary!

(Z głębi wchodzi Regina).

Ha, pani siostra!

Regina. Witam, panie bracie!

Mikołaj. Zdarz Pan Bóg szczęście! Cóż to dzisiaj macie?
Dzień uroczysty? Z jakiéjż to przyczyny
W czaplińskim zamku tak gęste festyny,
Iż wieść się o nich aż u mnie odbiła,
W méj cichéj wiosce?

Regina. Wszak każdemu miła
Zabawa, zwłaszcza gdy Bóg zdarza gości.
Acz dla spóźnionych pozostają kości —
Jak to przysłowie mówi—aleć, bracie,
I was czém będzie przyjąć w biednéj chacie.
(Do sług) Héj, przygotować mięsa kęs i wina.

(Marszałek i słudzy odchodzą na lewo).

Mikołaj. Daj, siostro, pokój. Jakaż to przyczyna
Festynów ciągłych?

Regina. Przyjeżdżają goście
Z powinszowaniem.

Mikołaj. Lepiéj Boga proście
W pokorze, skrusze, by tak skończył dzieło,
Jak się pod dobrą wróżbą rozpoczęło.

Sąż wieści? Czy już wyprawa skończona?
Zdobytoż Jassy? Pobito Iwona?
Czy już przybyły posły Bogdanowe
Oznajmić, że pan włożył na swą głowę
Książęcy wieniec i jedynie czeka,
By narzeczona zdążała zdaleka
Z nim tron podzielić? No, cóż mówią posły?

Regina. Ostatnie wieści o tém nam doniosły,
Że Bogdan z wojskiem stoi po za Prutem.

Mikołaj. To wiem już dawno—jak wykute dłutem
W pamięci noszę. Niech was to nie mami.
Pomiędzy onym Prutem i Jassami
Rozległa przestrzeń. Wiedzieć trzeba o tém,
Iż na niéj mogą nasi ledz pokotem
Po stokroć razy. Wtedy swoją głową
Ozdobi Bogdan wieżę Serajową.

(W głębi ukazują się maski. Jadwiga w masce, w sukni różowéj, z lutnią w ręku, za nią kilku młodzianów i Sęp).

Maszkary? Co to? Jakaż to panienka
W różanéj szacie, a w ręku luteńka?

Regina. W różanéj? z lutnią? Toć to strój Jadwigi.

Mikołaj. Młodzieńcy biegną za nią na wyścigi.
Maszkary piękna rzecz—czas przy nich bieży
Na skrzydłach—miłać zabawa młodzieży.
Pod larwą zbliżać się do panien snadno.
Lecz bywa, czasem rzeczy ztąd wypadną
Niepożądane.

Regina. Jak to brat rozumie?

Mikołaj. Baczenie dawaj, czy w młodzieży tłumie
Ktoś na się więcéj oka córy twojéj
Nie zwraca...

Regina Niechaj pan brat się nie boi,
Zabawęć lubi... dziwnaż? Wżdyć jest młoda,
Lecz żadna z tego nie wyniknie szkoda.

Mikołaj. Ha, dałby Pan Bóg... chętnie temu wierzę.
Atoli pani siostrze powiem szczerze,
Iż pomnę dobrze, jak tutaj niemało
Węgierskich, polskich panów przyjeżdżało
Po rękę panny. . alić w jednéj chwili
Przystała, gdy jéj Bogdana raili,

Acz jestem pewny, że dla tego gacha
Z miłości nie schła.
Regina. Niech cię to nie stracha.
Wiedziałać, że to wola ma... życzenie
Samego króla.
Mikołaj. Że ma w prawéj cenie
Matczyną wolę... wierzę... lecz sto razy
Dla panny niczém królewskie rozkazy,
Jeżeli afekt pobudza inaczéj.
Niech zatém matka na to dobrze baczy,
Czy się nie dzieje czasem coś na stronie,
Bo któż uręczy, że w dziewiczém łonie
Serduszko jeszcze śpi...
Regina. O... śpi... rzecz pewna.
Mikołaj. Tak jako w bajce zaklęta królewna.
Lecz strzedz jéj... sprawy nie zasypia swojéj
Czart. Może blisko już gdzieś przy niéj stoi
Królewicz cudny, co ją ze snu zbudzi.
A nuż niesława pójdzie między ludzi.
Regina. O panie bracie, jać się nie powstydzę
Za moją córkę... Nieraz o Jadwidze,
Jéj imienniczce, a świętéj królowéj,
Powiadam, jako ręki Jagiełłowéj
Nie odtrąciła, acz to był mąż z boru,
A ona dziecię wykwintnego dworu.
Mikołaj. Snadź gorzéj raził królewską pieszczochę,
Niż Bogdan, co się między nami trochę
Już przetarł — jednak jakiż zysk Korona
Z tych ślubów wzięła! I krew Jagiellona
Jak się na tronie naszym przerodziła!
A choć to obca, jednak tyle miła
Polakom! Boże! Azaż naléść w świecie
Zacniejszych królów, a jeżeli przecie
Ktoś lepszy z panów w sąsiedniéj krainie,
To w nim zaiste krew Jagiełłów płynie.
Regina. Niech więc wołoskich książąt teraz nasza
Krew zacna Tarłów szlachci i okrasza
I niech ten związek wsze nadzieje ziści,
Przynosząc trwałe ojczyźnie korzyści.
Mikołaj. Lecz baczyć trzeba, by wciąż była dzieckiem,
By amor serca sidłem swém łowieckiem

Nie chwycił. Jeśli w wolne serce wpadnie
Skra, taki pożar może wzniecić zdradnie,
Iż chyba przymus nakaże Jadwidze
Pójść do ołtarza.
Regina. Przymusem się brzydrzę.
Ufając Niebu, cieszmy się nadzieją,
Iż rzeczy pójdą należną koleją...
(Z lewéj wchodzi sługa).
Mikołaj. Co powiész?
Sługa. Stół już dla Waszéj Miłości
Nakryty.
Regina. Proszę. U nas nikt nie pości.
(Mikołaj, Regina i sługa odchodzą na prawo — z głębi wbiegają Jadwiga i Hanna w maskach).
Jadwiga. Czyż zgadli, ktom ja?
Hanna. Toć się wié, téj chwili.
Atoli sobie drogę już zmylili,
Bo nas szukają gdzie najgęstsze drzewa,
A że my tutaj, nikt się nie spodziewa.
A gonią że nas .. Jeden jakieś karty
Uronił. (Ogląda kartki) Proszę, wiersze by na żarty.
Jadwiga. Posłuchaj, Hanno — moją weź maszkarę,
A mnie daj swoją. Idź tam między stare
Jasiony, wódź ich po całym ogrodzie.
Mnie dajcie tutaj spocząć na swobodzie.
(Mieniają się kostyumami).
Hanna. Gdy pani każe... Z jakiego powodu,
Ciekawam...
Jadwiga. Hanno, idź, idź w głąb ogrodu.
Za tobą niechaj idą na przegony.
Daj mi te karty... idź już!
(Hanna odchodzi w głąb. — Jadwiga rozwija wiersze).
Wieszcz natchniony
Coś w rymy złożył... (Czyta) Toć to on!... Zaiste,
To jego wiersze dźwięczne a ogniste.
(Czyta po cichu, potém głośno).
„Ozdobo ziemie, szczęśliwy, szczęśliwy,
Komu cię Pan Bóg naznaczył życzliwy,
Komu cię Hymen słowy statecznemi
I pochodniami przyłączy wiecznemi.”

Szczęśliwy! Każdy w ten sens się ozywa,
A któryż spyta, czy ona szczęśliwa?
Tak... oni pragną szczęścia... lecz dla siebie,
Acz ich zamysłów budowa zagrzebie
Ją jak w mogile. Idź pod nóż, ofiaro!
To dla nich szczęściem, co dla ciebie karą.
Milcz, serce, na twe jęki będą głusi...
W tém oni widzą szczęście... tak być musi.
(Z głębi wchodzi Sęp. — Jadwiga chce odejść).

Sęp. Choć chwilę jeno...
Jadwiga. Nie... nie... ani chwili!
Wszak widzisz, że mię wszyscy odstąpili,
Boć wiedzą, żem jest żądna samotności.

Sęp. Na chwilę... kilka słów... kroplę litości
Dla nieszczęsnego miejże w sercu.
Jadwiga. Czemu?

Sęp. Rozmowa krótka snadź da strapionemu
Pociechę, którój dusza jego czeka.

Jadwiga. Więc mów, lecz śpiesz się... pomnij... czas ucieka,
Czyś zgadł, kto jestem?...
Sęp. Choćbyś się i była
Po stokroć niby Proteusz mieniła,
Chociażbyś czapkę niewidzialną wzięła,
Lub nawet we mgłę, w nic się rozpłynęła,
Jeszczeby we mnie przeczucie odgadło,
Że jesteś blisko. Jak czyste zwierciadło,
Tak pamięć moja postać twą odbiła.
Gdzież twa maszkara? Gdzieś lutnię rzuciła
Tę, w którą bijasz ręką lilijaną?

Jadwiga. Więc zdejmę larwę, skoro mię poznano.
Snadź tego pragniesz? (Zdejmuje maskę).
Sęp. Czego sobie życzę,
Azali wiem ja sam? Patrzéć w oblicze
Anielskie... rozkosz, lecz dla duszy matnia.
Nie... ja rozmowy pragnę, co ostatnia
W mém życiu będzie.
Jadwiga. Azaż dobrze słyszę?

Sęp. Tam w polu dawno moi towarzysze,
A ja czekałem pośród krotochwili,
Aż mi sromotę w oczy wyrzucili
Niebaczném słowem ..

Jadwiga. Azalim co rzekła?
Sęp. Tyś święta, pani, lecz złość godna piekła
Podejrzeń w oczy mi bluzgnęła pianą;
Godzinyć nie ma, jak mi wytykano
To, przed czém w głębiach wzdrygnęła się dusza.
Jadwiga. Przez Boga, powiédz, co cię tak porusza.
Sęp. Nie żądaj... przyjmij pożegnania słowa.
Niech Pan niebiosów w szczęściu ciebie chowa.
Gdy jutro chadzać będziesz tam po błoniu,
Ja wdal popędzę na mym bystrym koniu,
Odjadę, zanim słonko sen twój spłoszy.
Jadwiga. Odjedziesz? dokąd?
Sęp. Na pola Wołoszy.
Jadwiga. Przez Boga, po co?
Sęp. Tam się nasi biją.
Z pohańcem sprośnym. Sama wiész, o czyją
Tam idzie chwałę. I ja niech nałożę
Żywotem moim...
Jadwiga. Boże, wielki Boże!
Ach czemuż jątrzysz w piersi ranę srogą!
Sęp. Co mówisz, pani? Wszak tą krwawą drogą
Do tronu dojdziesz...
Jadwiga. Kto wam to powiada,
Że tronu pragnę?... Ach, biada mi, biada!
Więc na to brodzić mam przez krwawe fale,
By zyskać, czego nie pożądam wcale?
Ty nie odjeżdżaj... błagam... rozkazuję...
Ja nie chcę tego, by pogańscy zbóje
Wznosili ostre szable nad twą głową.
Za taką cenę nawet być królową
Nie pragnę.
Sęp. Darmo, sławy twéj my strzeżem.
Jadwiga. Jeżeli moim pragniesz być rycerzem,
Idź, ogłoś wszemu światu, że Jadwiga
W głębinach duszy na wszystko się wzdryga,
Co w jéj imieniu tu i tam się dzieje,
Że jakiekolwiek nastąpią koleje,
Jéj klęską tryumf waszego oręża.
Sęp. Więc nie chcesz tego, co ci dają, męża?...
W milczeniu twojém przepaść się odkrywa.
Jadwiga. Na dnie jéj dojrzysz, jakem nieszczęśliwa.

Ty nie odjeżdżaj,... mnie tu z mą rozpaczą
Nie pozostawiaj... Może przeinaczą
Obroty losu to, co przeznaczono.

Sęp. Więc Bogdanową nie chcesz zostać żoną?

Jadwiga. Nie badaj!... Błagam... miéj litość nademną.
Ciekawość pragniesz nasycić... tajemną,
Żałosną skargą, którą Niebu jeno
Odsłaniam w modłach. Ach, jakoważ ceną
Kupuję spokój, co na licach gości,
By nikt nie dojrzał na nich méj żałości!

Sęp. O, pani, rzeknij słowo, a krew moję
Wycedzę wszystką...

Jadwiga. Zmilknij, ja się boję,
Gdy krew wspominasz... Boże, mocny Boże,
Czyż mi sądzono, bym na straszne morze
Puściła łódź swą?... Boże, ja utonę.

Sęp. Wżdy gotów jestem na waszą obronę.

Jadwiga. Od strasznéj doli chyba Bóg obroni.

Sęp. O pani, pozwól dotknąć się twéj dłoni
Ustami. Niechaj jawnie to wypowie
Mą cześć dla ciebie. Hospodar w Krakowie
Przed królem klęknął w hołdzie... Bóg wié, czyli
Tak szczerym jak mój hołd w obecnéj chwili,
Gdyż i ja także zginam me kolana. (Przyklęka)
O pani szczęsna, od losów wybrana,
Przyjm hołd ten korny w żegnania godzinie
Od tego, który rad dla ciebie zginie,
I daj całować kornie dłonie twoje.
(Chwyta rękę Jadwigi i okrywa pocałunkami).

Jadwiga. Nie... nie chcę... zostań! Śmierci twéj się boję.

(Z prawéj wchodzą Mikołaj i Regina — Sęp zrywa się i staje obok zmieszanéj Jadwigi).

Mikołaj. No, wszak mówiłem... Patrz, królewna nasza...

Regina. Przez Boga!

Mikołaj. Niech się matka nie przestrasza.
Królewna śpiąca... królewicz ją budzi...
To jeno szczęście, że zdala od ludzi,
Bo ci by radzi wnet to roztrąbili. (Przystępuje bliżéj)
Młodzianie!

Sęp. Wasza Miłość się tu myli.

Mikołaj. Żeś klęczał, tego przecie nie zamażem.
Dla młodych cudne panny są ołtarzem,
Więc ten, ów klęknie uwielbieniem zdjęty.
Lecz w tym ołtarzu jest już inny święty.
Wszak waść wiész o tém?
Sęp. Wiem.
Mikołaj. Wiész? To nie cuda!
Nie wiedziéć jeno mogłaby obłuda.
Regina. Jadwigo!
Jadwiga. Matko, tu się nic nie stało.
Regina. Czyż stać się mogło? Wszak wiem, że cię białą
Lilijką w domu wychowałam w cnocie
I niewinności nadobnéj, jak w złocie
Oprawny klejnot.
Mikołaj. Ktoś ty, panie młody?
Sęp. Szarzyński.
Mikołaj. Z Sępów rodu, z Zimnéj Wody?
O wiem... wiem... dobra krew waszmość zaszczyca,
Więc powiész prawdę... Moja synowica
Po co tu przyszła... o czémże rozmowę
Z waszmością wiodła?... No, mów! Dałbym głowę,
Iż o miłości... Wszak to nie nowina,
Że skoro młodzian z panną rzecz poczyna,
To się wnet miłość w dyskurs im zaplącze.
Sęp. Przezacny panie!...
Mikołaj. Pozwól, niech dokończę.
Nie miałbym za złe ja takiéj rozmowy,
Jeśliby blisko stał już wóz gotowy
I waszmość z panną powiózł do ołtarza...
Lecz, jak to często w świecie się wydarza,
Rzecz się nie składa, jakbyśmy żądali.
Już narzeczony inny jest. Na szali
Fortuny inny los już odważony.
Sęp. Powstrzymaj, panie, sąd twój ukwapiony.
Mikołaj. Więc cóż tu było?
Sęp. Posłuchajcie, proszę.
Odjeżdżam jutro rano na Wołoszę
Dać żywot za tę, co ma być władczynią
W tamecznéj stronie... Azaż mię obwinią
Twe usta, panie, wierząc oczom jeno?
Jadwiga. Niech on nie jedzie... Matko... taką ceną

Kupować nie chcę mego wywyższenia...
Ja nie chcę... mówię... nie chcę...
Mikołaj. Niech się zmienia
Twój zamiar... chocia piękny bez pochyby...
Sęp. Ja pragnę zginąć.
Mikołaj. Zginąć chcesz? A gdyby
Ofiary życia losy nie przyjęły?
Jadwiga. On jest poetą... niech innemi dzieły
Zdobywa sławę wieczną, niezachwianą.
Mikołaj. Jak tuszę, zginąć nie będzie ci dano,
Chociażbyś tego pragnął sam koniecznie.
Dla ciebie jednak byłoby bezpiecznie
Gdzieindziéj szukać sławy choć z oręża.
Sęp. Do słońca kwiat się zwraca, serce męża
Za słońcem idzie. Toć moje pragnienie!
Mikołaj. Jać mówię, strzeż się słońca... raczéj w cienie
Uciekaj... Słońce w tobie serce spali
Na popiół... Wiész ty, co może być daléj?
Regina. Tak, czy wy wiécie?
Mikołaj. Nuże, spójrz mi w oczy.
Sam nie wiész, jakie brzemię pierś ci tłoczy.
Ty zbadaj siebie... Wierz mi... jać nie szydzę...
Zbadawszy, poznasz, że w naszéj Jadwidze
Coś więcéj widzisz niż hospodarową...
Jać wierzę, iż ty dla niéj nawet głową
Nałożyć gotów...
Sęp. Dobrze widzisz, panie.
Mikołaj. Więc niech na większą ofiarę cię stanie.
Sęp. Na wszystkiem gotów...
Mikołaj. Jeśli tak, u kata,
To uchodź od niéj choćby na kraj świata.
Regina. Natura człecza, pomnij, nazbyt krucha.
Gdy iskra padnie, płomień wnet wybucha
I nie przewidzisz, co ten pożar spali.
Mikołaj. Czy wiész, dlaczego myśmy obiecali
Jadwigi rękę Bogdanowi? Ścisły
Rachunek zmierzył plany i zamysły.
Kojarzy hymen państwa i narody.
Więc wara psuć to dzieło, panie młody.
Sęp. Onemu dziełu służyć pragnę.

Mikołaj. Hola!
Wprzód pytaj, czyli będzie nasza wola
Twe służby przyjąć...
Sęp. Azaż nie zechcecie?
I czemu?
Mikołaj. Różnie bywa na tym świecie...
Przyjmujesz cudzą służbę, jakbyś długi
Zaciągał... Kto wié, czybyś za usługi
Nie żądał kiedyś nagrody takowéj,
Iż za nią wasze płaciłyby głowy?
Sęp. Jak mam rozumiéć twoje słowa, panie?
Mikołaj. Wymowy teraz na to mi nie stanie.
Sam pomyśl — młody rycerz, ozdobiony
Zasługą męstwa, wobec pańskiéj żony,
Co nań nie krzywo patrzy... toć to przecie...
Sęp. Przestańcie, panie, bo snadź to powiecie,
Co będzie krzywdą ciężką i zelżeniem
Téj, któréj nawet podejrzenia cieniem
Urazić nie chcę i nigdy nie chciałem.
Jać zasłoniłbym cześć jéj mocnym wałem.
O pani, wierz mi... czyste moje chęci.
Na zawsze żegnam cię... miéj mię w pamięci,
Wiernego sługę, coć służyć nie może.
Daleko będę, zanim ranne zorze,
W okienko twoje zaglądając, ciebie
Ze snu obudzą. Wyrok ciężki w niebie
Dla ciebie nawet zginąć nie pozwala.
Mikołaj. On żąda, abyś żył, lecz od niéj zdala.
Sęp. Bądź zdrowa, pani! Tam, gdzie słońce wschodzi,
Na ciebie czeka już pośród powodzi
Zaszczytów szczęście, z dawna przyrzeczone
Od dobrych losów. Ja w przeciwną stronę
Odjeżdżam, goniąc słońce zachodzące,
Zostawiam jeno życzenia gorące,
By ci się wszystko według woli działo.
(Do Mikołaja i Reginy).
Więc spełniam waszą wolę, a za trwałą
Gościnność, proszę, przyjmcie dzięki szczere.
(Wychodzi na prawo).
Mikołaj. Tak się więc stało litera w literę,
Jak przewidziałem...

Regina. Ty masz rozum w głowie,
Nie darmo „głową" prosty lud cię zowie.
(Mikołaj kiwa ręką i odchodzi na prawo).
O droga córo, dość już téj zabawy.
Idź, spocznij, bo nas jutro inne sprawy
Ze snu obudzą... będzie ich niemało.
Śpij, śpij spokojnie!
(Całuje w głowę Jadwigę i wychodzi na prawo).
Jadwiga (z westchnieniem). Tak się stać musiało!
(Z głębi wbiega Hanna i zdejmuje kostyum).
Hanna. Przez Boga, pani, weź już swą maszkarę.
A toć ściągnęła na mnie całą chmarę...
Zaledwiem weszła... już mię rój młodzieży
Oblega w koło, wszędy za mną bieży...
Wodziłam ich téż po całym ogrodzie,
Aż jeden w końcu poznał mię... po chodzie,
Czy po postawie.
Jadwiga. Kto?
Hanna. Jegomość Płaza.
Ten chadza za mną wciąż... Czystać obraza
Zalotnik taki!... Czyżby mu się było
Bezżeństwo niecne w końcu uprzykrzyło,
Czy téż swywoli chłopu się zachciało?
A jeno patrzéć, aż będzie miał białą
Pod gębą brodę... Czyżby mię za żonę
Chciał pojąć?... Boże, wstydem się zapłonę,
Że czart mi nadał takowego gacha.
Toć wolałabym już z konopi stracha,
Co wróble płoszy.
Jadwiga. Zmilknij, Hanno droga!
Hanna. Panienko, co to?... Blada!... drży... Przez Boga,
Co się tu stało?...
Jadwiga. O, nie pytaj wcale!
Hanna. Coś się musiało stać, to doskonale
Ja widzę... Co to jest?
Jadwiga. Do méj komnaty
Chodź! chodź! .. Złożymy te cudackie szaty.
Już dość, dość na dziś wszelkich krotochwili.
(Z prawéj wchodzą sługa i Młodecki w ubraniu wojennêm).
Sługa. I pan chorąży i pani tu byli
Przed chwilą właśnie...

Młodecki. Szukaj ich... (Sługa odchodzi na lewo — do Jadwigi). O pani!
Niech Wasza Miłość przedwcześnie nie gani
Nas, że wracamy nie z tém, co być miało.

Jadwiga. Przez Boga, panie, powiédz, co się stało.

(Z lewéj wbiega Regina, za nią Mikołaj, daléj Sługa).

Regina (do Sługi). Gdzie, gdzie ten rycerz?

Młodecki. Na Waszych Miłości
Usługi... Z wojny wracam...

Mikołaj. Takich gości
Witamy mile. Co niesiesz dobrego?

Młodecki. Niech święci Pańscy wszystkich tutaj strzegą.
Skończona wojna...

Regina. Boże, jak mi w łonie
Kołacze serce!

Mikołaj. Bogdan więc na tronie
I waszmość tutaj w poselstwie przysyła?

Młodecki. Jakżebym pragnął, by wieść taką była.
Niestety, jednak...

Regina. Boże!

Mikołaj. Co, u kata!
Czyż co innego niesiesz?

(Z ogrodu przychodzą goście, — niektórzy w kostyumach, — na przodzie Starzechowski).

Starzechowski. Z końca świata,
Z dalekiéj wojny witać cię potrzeba.

Wiele głosów. Co nam przynosisz?

Młodecki. Z wyrokami Nieba
Daremna walka... aleśmy spełnili
Powinność... wszyscy jako lwy się bili...
Zwycięstwem wróg się wcale nie poszczyci.

Płaza. Mówiłem... bili się... jak lwy... lecz zbici
Wracają do nas... stało się na mojém.

Ostrowski. A waść rad temu.

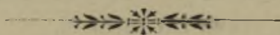
Młodecki. Nie... bynajmniéj bojem,
Lecz głodem, liczbą przeważną zmuszono
Nas ujść z Wołoszy...

Płaza. Więc już za skończoną
Mieć trzeba wojnę. Ha, niech sobie chwałę
Zabiera dyabeł... dość, gdy kości całe

Przywlecze rycerz pomyślnie do domu.
Już tak na świecie... co sądzone komu,
To go nie minie...
Ostrowski. Ten przybył zdaleka
I ledwie prawi... a z ust waści rzeka
Wymowy grozi powodzią w złéj chwili.
Mikołaj. Przez Boga, dajcież mówić!... Czyście zbyli
Rozumu? Mówże, mów nam, cny rycerzu,
Jak się to stało...
Młodecki. Wszystko jak w pacierzu
Zupełna prawda, co wam teraz powiem.
Najwaleczniejszych rycerzy gdy mrowiem
Obsiądą wrogi, to ich w końcu zmuszą...
Płaza. Wziąć za pas nogi i uciekać z duszą.
Ostrowski, Łysakowski, Leśniowski. Zamilknij waszmość!
Młodecki. Znacie już nasz zwyczaj;
Wprost pędź do boju, wrogów nie obliczaj
I nie ustępuj, aż zwyciężysz wroga,
Lub ciałem legniesz, dusza zaś do Boga
Odejdzie. Nikt tam nie szczędził żywota,
Bo wszak każdego z nas własna ochota
Nie żaden przymus wyprowadził w pole.
Lecz nie człek sobie, jeno Bóg mu dolę
Wymierza — tryumf w Jego tylko dłoni.
Regina. Rycerzu, powiédz, azaż w téj pogoni
Złych losów Bogdan?...
Młodecki. Zginąć był gotowy,
Lecz z łaski bożéj włos mu nie spadł z głowy.
On niezadługo tu przed wami stanie.
Regina. O chwałaż Tobie, wszechmogący Panie!
Mikołaj. Z podwórca jakiś tentent dolatuje.
Snadź on przybywa.
Regina (do Jadwigi). Co twe serce czuje
W téj chwili, córko?
Jadwiga. Jestem ślepa, głucha
Na wszystko, co się dzieje... W głębi ducha
Jakoweś jeno przeczucie się kryje...
(Z lewéj wchodzi Sługa).
Sługa. Hospodar przybył! (Z lewéj wchodzi Bogdan z orszakiem).
Wszyscy. Wiwat, niechaj żyje!

Bogdan. Me służby zacnym paniom. Wszystkim czołem.
Szczęśliwy jestem, że was tylu społem
Powitać mogę dziś...
Wszyscy. Waszéj Miłości
Pokorni słudzy...
Bogdan (do Reginy). Macie tutaj gości,
Snadź się zjechali na jakieś festyny,
Więc je przerwałem, lecz nie z mojéj winy...
Mikołaj. Już przedtém, panie, wszystko się przerwało.
Bogdan. Bo wam mój poseł rzekł już, co się stało:
Nieprawdaż? Pewnie takich smutnych wieści
Nikt się nie spodział?
Ostrowski. Tak jest, stąd boleści
Na licach naszych widzisz, panie, ślady.
Bogdan. Ja przedewszystkiém miałbym płakać zdrady
Okrutnych losów... Lecz nie... żyję jeszcze
I co innego wkrótce wam obwieszczę,
Gdy Bóg na niebie i fortuna zdarzą.
Nie szedłbym tutaj z taką śmiałą twarzą,
Jeślibym ręce w bezsilnéj rozpaczy
Opuszczał marnie...
Wszyscy (między sobą). Jak to? Co to znaczy?
Bogdan. Za małe wojsko miałem ja zaiste,
Jeśliby było potrojne, dwoiste,
To wobec znanéj Lechitów odwagi
Nietylko Iwon wziąłby ciężkie plagi,
Lecz nawet sułtan sam, acz król nad króle,
Przed nami z trwogi zadrżałby w Stambule.
Płaza. A co? Mówiłem, że ich było mało.
Bogdan. Zbyt mało, prawda, lecz się wielką chwałą
Okryli wszyscy. Jeśli znów wyruszą
W zwiększonym poczcie, nie ucieknie z duszą
Zuchwały Iwon—pod miecz zegnie szyję,
Jak niegdyś Tomża... niech wié, że ja żyję
I nie wyrzekłem się mojego prawa
Do ojcowskiego tronu.
Ostrowski. Śmiałość dawa
Zwycięstwo... śmiały w końcu wygrać musi.
Leśniowski. Masz, hospodarze, przyjaciół na Rusi
I na wszech ziemiach Rzeczypospolitéj...

Na twoje słowo sypnie się obfity
Junaków poczet ze wszech stron...
Starzechowski. O, panie,
Niejeden młody na wasze wezwanie,
Miast gnuśniéć marnie w domowéj zaciszy,
Za szablę chwyci, skoro znów posłyszy
O wojnie, co da Polsce hołdownika.
Nadzieja dziwna duszę mą przenika,
Że ci na Rusi spory hufiec zbiorę.
Młodecki również nie skryje się w norę;
Po Małéj Polsce krewnych ma on roje,
Z nich wielu pójdzie pod chorągwie twoje.
Gdzie Sęp? I on téż nie od kształtu głowa.
Niech jeno prędko rusza do Krakowa.
Tam jak Tyrteusz pieśnią młodych wzbudzi.
Nie zbraknie Waszéj Miłości tu ludzi,
Co mężném sercem wywalczą zwycięstwo.
Ostrowski. Bądź dobréj myśli, panie — patrz, jak męstwo
Gra w młodych piersiach...
Młodecki. Pójdziem po raz drugi,
By nieść ci wierném sercem swe usługi.
Koronę będzie nosić twoja głowa.
Szlachta (wznosząc szable do góry). Hospodar wiwat!
Inni. I hospodarowa!



AKT III.

Sala w zamku Tarłów w Czapli. — Służba uwija się sprzątając. — Z prawéj wchodzi Hanna.

Hanna. A, co ja widzę? Czemu się guzdrzecie?
Hej, daléj, żwawo! Toć widzicie przecie,
Że czas już... prędzéj...
(Z lewéj wchodzi Płaza).
Płaza. Sługa waszmość panny.
Hanna. Ha, już pan Płaza... proszę...
Płaza. Jak świt ranny
Rumieńczyk pała na twarzy różanéj,
Letniczek świéży... cudnie sfałdowany.

Hanna. Azaliż dziwne?... Wszakże mamy gości.
Płaza. Jam także gościem.
Hanna. To nie dla waszmości.
Bądź tego pewien...
Płaza. Panienka by osa,
Języczek żądło, a ostry jak kosa.
Hanna. A, cóż stąd?
Płaza. Panna ze mnie się natrząsa,
Boć wolałaby chłopca gołowąsa,
A on tymczasem wroga w polu goni.
Hanna. Tam waści niema — waść żałuje dłoni
Dla szabli, snadź jéj to dogodzi lepiéj,
Gdy niewiast suknie szarpie.
Płaza. Boć to krzepi
I uwesela.
Hanna. Cóżeś, zacny panie,
Uwidział do mnie, iż wciąż jak nasłanie
W ślad za mną chadzasz?
Płaza. Bom rozmiłowany
W nadobnéj Hannie.
Hanna. No, dziw niesłychany!
Płaza. Czyliżbym bawił tu nad pożądanie,
Jeśliby nie to mocne przywiązanie,
Gorący afekt ku waszmości pannie?
Chciéj wierzyć, proszę, iż mnie nieustannie
Płomienie palą, trawi żar miłości.
Hanna. Ah, widzę, jako miłość panu kości
Już wysuszyła, aż wyschłeś na szczapę!
Czy chcesz mnie złudzić, bym ci lazła w łapę?
No, jeśli szczere chęci, mości panie,
To nie trać czasu na próżne gadanie,
Przysyłaj swatów, daj na zapowiedzi,
Uwierzę wtedy, że waść tu nie siedzi
Daremnie, że dba o mnie cokolwieczek.
Płaza. Eh, pannom zaraz chodzi o ślubeczek.
Mościwa panno, zwolna... nie tak żwawo...
Jest czas na wszystko...
Hanna. Kręcisz w lewo, prawo,
By lis ogonem. Na dziwne oględy
Przyjeżdżasz waszeć tędy i owędy,

Nie ślub na myśli mając, lecz swawolę.
Azali sądzisz, że wywiedziesz w pole?
O gdybyś nawet po mnie jechał w cugi
Poszóstne, wiodąc dworzan szereg długi,
Chociażbyś kwiaty sypał mi pod nogi,
W pierścieniu dawał rzadki kamień drogi,
Jeszczebyś odszedł z koszem niby zmyty.
A to mi śliczne szczęście i zaszczyty
Zalotnik taki!

Płaza. Pannie snadź to w głowie,
Że się wokoło niéj kręcić panowie
Bogaci będą, by rój złotych muszek.

Hanna. Waść idź po żonę do onych pań duszek,
Z któremiś swoje przemarnował lata.
A dyabeł nasłał mi takiego swata!

Płaza. Tak aśćka śpiéwasz?

Hanna. Nie zdradzieckim głosem,
Boć przecie wąsów nie noszę pod nosem.

Płaza. Weź w rękę księgę, jakiéjbądź jest treści,
I co w niéj najdziesz? O zdradzie niewieściéj.
O, wyście dla nas jak... na nożu szczerba!
Gdy cesarzowéj chciało się pasierba
Zagubić... tak się jęła sztuką całą,
Iż siedmiu mędrców ledwie radę dało.
A co tam było krętactw i mitręgi.
Czy znasz te dzieje?

Hanna. Kto te pisze księgi?
Niewiasty czy też chłopi?

Płaza. Toć że przecie
Mężczyźni leją światło po wszem świecie.

Hanna. A o mężczyńskiéj czy téż piszą zdradzie?

Płaza. Nie... nie czytałem.

Hanna. Waszmość o szkaradzie
Wciąż myślisz jeno... Zaiste, gość słodki,
Po panach jeździ, aby nosić plotki,
We wodzie czystéj mącić dla połowu
Jakowéj rybki. Jeśli waszmość znowu
Zaloty zwróci do mnie podejrzane,
Jać w odpowiedzi dłużną nie zostanę
I waść się skryjesz aż do mysiéj dziury.

(Z prawéj wchodzi Starzechowski).

Starzechowski. Wszem służby moje!
Płaza. Jakież konjunktury
Przywiodły waszmość aż w tutejsze progi?
Jak mi się zdaje, kęs już czasu srogi,
Co waści nasze nie widziały oczy.
Starzechowski. Przeróżne sprawy miałem... Czas się toczy,
Więc snadź z łaskawéj wypadłem pamięci.
Płaza. Niecałkiem przecie...
Starzechowski. Co się u was święci?
Mospanie Płazo, minać nie wesoła.
Płaza. Jak tu weselić się, gdy źle dokoła?
Dziś złe planety przewodzą nad światem.
Ten wrogiem bywa, co być winien bratem,
Z pohańcem w sojusz chrześcianin wchodzi,
Nad starych większy rozum chcą mieć młodzi.
Nabrała buty ona płeć bezwąsa
I z nas się, mężczyzn, zuchwale natrząsa.
Gdzie rzucisz okiem, wszędzie fałsz, niewiara,
A jeno patrzéć, rychło boża kara,
Zaraza, wojna lub głód srogi spadnie,
By świat za grzechy pokarać przykładnie.
Starzechowski. A to ci prawie, że aż się zadyszał.
Hanna. Świat ma się skończyć, żeś waszmość usłyszał,
Co ci się przecie zdawna należało.
Płaza. Was, białegłowy, zwalczać żadną chwałą.
Hanna. A być zwalczonym zasię wielkim wstydem,
Boć wy Goliatem, my jeno Dawidem.
Płaza. Kto tam do ładu dojdzie z tą płcią białą!
No, powiédz lepiéj, co się z waścią działo.
Na Rusi miałeś werbować rycerzy
Dla hospodara, który z serca wierzy,
Że mu z pod ziemi zastępy wyrosną.
To było... kiedy?... Aha, pomnę... wiosną.
I jeśli przytém snadź waszego sługi
Nie zwodzi pamięć... minął rok i drugi,
A tu na wojnę muchy się nie gonią.
Starzechowski. Waść chciałbyś, żeby jeno machnąć dłonią,
A już się rzeczy wywiną jak z płatka.
Wszak zaszła tutaj plątanina rzadka.
Król Zygmunt umarł jakoś niespodzianie,

Elekcya przyszła... na nasze wezwanie
Naonczas ludzie byli trochę głusi.
Płaza. Bo mają rozum tam u was na Rusi.
Podpłomyk w piecu, ogień tęgi płonie,
A ty w płomienie pchajże obie dłonie,
By go ktoś inny zjadał z wielkim smakiem.
Hanna. Niech czart to bierze z porównaniem takiém!
Płaza. A teraz jakże?
Starzechowski. Wszystko się zmieniło.
Już mamy króla, rządy... Z nową siłą
Ruszymy w pole.
Płaza. Tak jak wprzódy pono.
Starzechowski. Eh, co waść pleciesz!...
Płaza. Już raz odpalono
Bogdana... Jeszcze chce drugiego guza.
Starzechowski. A może teraz Iwona wytuza.
I wtedy mu się dostała nauka,
Że nasi wiedzą, co wojenna sztuka.
Płaza. O, wtedy poszli zbrojnie i buńczucznie,
A nim ruszyli, krzykiwali hucznie,
Gębami młócąc, by w stodole cepy,
Że łby tureckie będą jako rzepy
W kawały siekać, samego Iwona
Tak zjedzą łatwo, gładko, jak kapłona
Dostatni szlachcic w obiad sobie zjada.
Ot, poszła w pole zuchwała gromada.
I co sprawiła, chełpiąc się tak hojnie?
Po trzech miesiącach było już po wojnie.
I dziś tak będzie.
Hanna. Dziwny to wróżbita!
Jak puszczyk wieszczy, acz go nikt nie pyta.
Starzechowski (do Hanny). Jest tu kto u was?
Hanna. A jest... pan chorąży.
Starzechowski. To dobrze, w samą porę Bogdan zdąży,
Boć ma tu przybyć... Pisał do mnie w liście,
By się z nim zjechać dzisiaj. Oczywiście,
Że lada chwila mieć go tu będziecie.
Płaza. Ciekawym, co on wskórał tam po świecie.
Hanna. Narada pewnie będzie.
Płaza. Gdy ta ściele
Do tronu drogę... radźcież, bo wesele

Już czas wyprawić, zbyt się długo zwleka,
A tu czekamy, no... i panna czeka.
(Odchodzi na prawo).

Starzechowski. Co to za człowiek!
Hanna. Wciąż by młyn klekoce.
Gadałby tylko całe dnie i noce,
Przygania wszemu, niby satyr z lasu,
Takiego słuchać jeno szkoda czasu.
Waść powiédz radziéj, jakież tam nowiny,
Bo, jako tuszyć śmiem, nie bez przyczyny
On zjazd dzisiejszy...
Starzechowski. A czas! Czas nadchodzi,
By się spełniło to, czego my, młodzi,
Pragniemy... by już raz hospodarową
Została wasza panienka...
Hanna. No, słowo
Już wyrzeczone... niech się z czynem złączy.
Starzechowski. Czekanie każde kiedyś się zakończy.
Cóż się tu dzieje?
Hanna. Czy o nią waść pyta?
Starzechowski. No, o nią.
Hanna. Księgi jeno ciągle czyta,
Jak zakonnica, psując sobie oczy,
I acz nie płacze, poznasz wnet, że tłoczy
Jéj serce jakieś niespożyte brzemię.
Czasami całe godziny wzrok w ziemię
Wlepiony trzyma.
Starzechowski. Ulżysz jéj boleści,
Gdy jéj opowiész one nowe wieści.
Hanna. Azaliż tego waść jéj sam nie powie?
Starzechowski. Powiedziéć radbym, ale mi o zdrowie
Panienki idzie. — Acz ciężko dać wiarę,
Zdarzenia były, że radość nad miarę
Zgon z sobą niosła. Przykładów niemało ..
Hanna. Atoli więcéj ludzi umiérało
Z utrapień wielkich i żałości srogiéj...
(Z prawéj wchodzi Jadwiga).

Jadwiga. Pan Starzechowski!
Starzechowski. Ścielę się pod nogi,
Pokorny sługa.

Jadwiga. Przyjm mój pokłon, proszę.
Hanna (półgłosem). No, mówże, waszmość!
Starzechowski. Dobrą wieść przynoszę.
Jadwiga. Takowe rzeczy bardziéj pożądane,
Niż skarb na drodze.
Starzechowski. Wróżą prędką zmianę
Waszego losu.
Jadwiga. Czy tak?
Starzechowski. Będzie wojna!
Jadwiga. Co mówisz? Boże! Jam już tak spokojna
W méj duszy była, że mi błogiéj ciszy
Nic nie zakłóci, że już nie posłyszy
Me ucho ryku trąb i groźnéj wrzawy.
I któż wam mówił, żem ja żądna krwawéj
Kąpieli waszéj?... Kto przed wami kłamie,
Że jestem potwór, zlęgły w smoczéj jamie,
Co jeno żyje krwią?
Starzechowski. Pani, przez Boga,
Jam jechał pewny, że ona wieść błoga
Strapione serce wasze uweseli.
Jadwiga. Jest matka, stryj mój, niech waszmość udzieli
Im téj nowiny... Najdą ją ucieszną.
Starzechowski. A Wasza Miłość?
Jadwiga. Azaliż mi śpieszno
Wyjeżdżać z zamku?... Waszmość idź do stryja,
Do mojéj matki... idź... idź.. (Starzechowski kłania się i odchodzi na prawo) Wszystko mija,
Największa radość, szczęście niezmierzone,
Strapienie jedno trwa wciąż... W którą stronę
Obrócisz oczy, zewsząd się wynurza
Ponura żałość... Ledwie jedna burza
Minęła, druga już się znowu zbiera.
Hanna. Lecz ona burza dla was znów otwiera
Nadzieję szczęścia... Jako przynależy,
Wprzód Mars skrwawiony, za nim Hymen bieży.
Jadwiga. Więc wprzódy muszą ludzkiéj krwi potoki
Popłynąć, dymy wzbić się pod obłoki,
Nim Hymen zleci. Azaż on położy
Kres wszelkim smutkom... Może będzie gorzéj,
Boć i on niesie pochodnię.

Hanna. Cóż z tego?

Jadwiga. Pochodnia pali... niech się jéj więc strzegą
Niebaczni ludzie... Nieraz się zdarzyło,
Iż się w jéj ogniu niejedno spaliło
Człowiecze szczęście.

Hanna. Jakież dziwne myśli!

Jadwiga. Nie dziwne... proste... Pomyśl jeno ściśléj,
Tak, pomyśl, Hanno. Losy tego chciały,
Żem się zrodziła pośród téj płci białéj,
Dla któréj każdy w uściech słodycz samą
Najduje, ale nawet jéj przed bramą
Nie wolno stanąć, by ujrzéć zdaleka,
Kto ten, co po jéj rękę się przywleka.
Z nim pierwéj inni wiodą o nią targi,
Gdy skończą, jéj iść każą — lecz do skargi
Jéj ust roztworzyć nie dopuści wola
Ich, bo są starsi. — Takać nasza dola!

Hanna. Azali ciebie kto, panienko, zmusza?

Jadwiga. W mém ciele gdyby żyła męska dusza,
Jeślibym szablę dzierżyć mogła w dłoni,
Bachmata dosiąść, co kopytem dzwoni,
Zaiste pewnym nie byłby żywota,
Bezbożna kogo zdjęłaby ochota
Na wolność moją targnąć się zuchwale.

Hanna. Co ona prawi? Boże, czy snadź w szale
Nie pomąciły się jéj ducha siły?
Panienko... bój się Boga... Jezu miły,
Jak patrzy przed się osłupiałém okiem!

Jadwiga. Gdy na nas luną nieszczęścia potokiem,
Przyniosą w końcu skutek wielce błogi,
Że już nie zrani serca oścień srogi.

Hanna. Panienko złota!

Jadwiga. Fortuna tak hojna!
Już zakończona jedna straszna wojna...
Gotują nową... nowa zaś przyniesie
Utrapień, bólów, zgryzot, jak drzew w lesie,
Aż serce do nich zwyknie i zostanie
Od głazu twardszém.

Hanna. Miłosierny Panie!
Litości nad nią!

Jadwiga. Nie módl się... nie!... modły
Bluźniercze, Hanno, do tego przywiodły,
Że dziś we złotym pijemy puharze
Trucizny wszelkie... na nasze ołtarze
Stawiamy dzisiaj nie Pana nad pany,
Lecz najsprośniejsze pogańskie bałwany,
Znaczenie, złoto, potęgę i... zgubę.
Tak, zgubę w końcu... to, co miało chlubę
Nam przynieść, w końcu hańbą nas okryje.
Ah, na cóż, na cóż ja na ziemi żyję?

Hanna. Panienko, bój się Boga — krzyżem świętym
Odegnaj takie myśli.

Jadwiga. Źle zaczętym
Zamysłem wszystko źle się skończyć musi.

Hanna. Ach, przestań, przestań! To złe ciebie kusi.
Weź lepiéj księgę, lutnię — gędźba czysta
Da spokój duszy. Wszak Dawid lutnista,
Na arfie grając, żydowskiego króla
Zaciekłość koił.

Jadwiga. Azaliż Saula
Mam w sobie duszę? Azaż palec Boga
Mnie wytknął?... Dobrze, dobrze, Hanno droga,
Więc przynieś lutnię... ulży snadź boleści...
Tak, przynieś, przynieś! (Hanna odchodzi na lewo).
Przynoszą mi wieści,
Lecz jednéj, jednéj nigdy nie zasłyszę.
Tak, muszę znosić tę okropną ciszę
I nic nie zmąci jéj, choćby nowina,
Że nienawidzi mnie, że mię przeklina.
Na zachód odszedł — słońce w tamtą stronę
Codziennie chodzi... jasne, wyiskrzone,
Lecz go zapytać nadaremna praca,
Bo do nas inną stroną się zawraca,
I nawet ptaszek, choć przyleci z drzewa,
Pod którém siadał, o nim nie zaśpiewa.
Jak się zaczęło, wszystko tą koleją
Już pójdzie .. trzeba żegnać się z nadzieją.

(Z lewéj wbiega Hanna).

Hanna. Panienko. . jest już... właśnie z konia zsiada...
Przyjechał... jest już...

Jadwiga. Kto?
Hanna. Hospodar!
Jadwiga. Biada!
Męczarnia moja ciężka się ponowi.
Azali go już ujrzeli domowi?
Hanna. Ujrzeli... jeden z wieścią szedł do pani.
Jadwiga. Pozostań tutaj! (Odchodzi na lewo).
Hanna. On przyjechał dla niéj,
A ona dziwnie jakoś rzecz swą sprawia,
Odchodzi... mnie tu samą pozostawia.
Ach, co tu będzie,.. z strachu aż truchleję.

(Z głębi wchodzi Bogdan z kilku dworzanami, którzy niebawem odchodzą).

Bogdan. Hej, mościa panno, co się u was dzieje?
Hanna (kłania się). Pokorna sługa! Wszystko, jak bywało.
Bogdan. A ja sądziłem, że się tu coś stało.
Przyjeżdżam przecież niezbyt niespodzianie,
A nikt nie wyszedł na moje spotkanie.

(Z prawéj wchodzą Regina i Mikołaj Tarło).

Regina. Witamy Waszą Miłość w naszéj chacie.
Mikołaj. Pokorni słudzy!
Bogdan. Witam .. Jak się macie?
Mikołaj. Niezgorzéj jakoś, Panu Bogu dzięki!
Bogdan. Niezgorzéj? Przecie na was z hojnéj ręki
Wciąż szczodre dary los powodzią leje.
Mikołaj. Atoli nasze najlepsze nadzieje
Coś się nie pełnią...
Bogdan. Z czyjéj że to winy?
Wszak się odbyły dawno zaręczyny.
Do ślubum gotów... czemuż wy zwłóczycie?
Regina. Wszak Wasza Miłość wié to należycie,
Że sobie ślubów gorąco życzymy.
Bogdan. Eh, wasze słowa są jak one dymy,
Co w górę idą i wiatr je rozprasza.
Mikołaj. Nie tajno Waszéj Miłości, co nasza
Umowa pierwszym warunkiem stawiała.
Bogdan. Z fortuną trzeba zawrzéć pakt, by cała
Rzecz poszła gładko według woli waszéj.
U licha, przecież nie dam zjeść się w kaszy,

Dość siły jeszcze mam, iżby na siodło
Koniowi wskoczyć. Acz się nie powiodło
W imprezie pierwszéj, miłościwy panie,
Com postanowił, to się z czasem stanie,
Lecz czekać trzeba.
Regina. Takić los człowieka!
Co pożądane, wżdy mu się przewleka.
I one śluby za zrządzeniem Nieba
W odwłokę idą.
Bogdan. Raz już skończyć trzeba.
Regina. Jam pełnić waszą wolę wżdy gotowa.
Mikołaj. Lecz zobopólna zastrzegła umowa,
Że przed weselem... Waszą Miłość proszę
Przypomnieć sobie.
Bogdan. Azaż w wacku noszę
Ów tron tam w Jassach, by go waszéj córze
W podarku ślubnym złożyć?
Mikołaj. Znów powtórzę,
Iż punkt to pierwszy, na nim wszystko stawa.
Bogdan. Do tronu przecież nie zbyłem się prawa.
Regina. Że na nim Wasza Miłość znów zasiędzie,
Wierzymy mocno.
Mikołaj. Wtedy wszystko będzie
Spełnione święcie w sens naszéj umowy.
Bogdan. Was nie przekona i świętemi słowy,
Wciąż jedna piosnka uszy mi rozdziera.
Regina. Atoli tak być musi.
Mikołaj. To chęć szczera
Waszego dobra, panie... i naszego.
Bogdan. A gdzież Jadwiga?... Niechże po nią biegą...
Niech przyjdzie!
Regina. Hanno, wołaj tu panienki.
(Hanna odchodzi na lewo),
Bogdan. Wam jednéj rzeczy jeszcze brak... maleńkiéj,
Atoli drogo kupić ją potrzeba.
(Z lewéj wchodzi Jadwiga).
O witaj! Gdyby z wysokiego nieba
Słoneczko zeszło, jeszczeby tak ludzi
Nie ucieszyło, jak twe przyjście budzi
Wesele we mnie... Azali dasz wiarę?

Jadwiga. Twa łaska dla nas, panie, jest nad miarę.

Bogdan. O nie patrz na mnie takim zimnym wzrokiem,
Przez Boga, nie patrz... We mnie się potokiem
Wezbrały wszelkie czucia, które żywię
Dla ciebie, droga. . Jakże utęskliwie
Jechałem tutaj... Po co?... Bóg wié jeno.
Tak, będziesz miała wszystko... drogą ceną,
Najdroższą nawet kupić ci to muszę,
Acz przyjdzie oddać skarby, żywot, duszę...
Och, będziesz miała.

Jadwiga. Co mieć będę, panie?

Bogdan. Och, wszystko, wszystko na twe zawołanie,
Z pod ziemi choćby dobyć to musiano...
Posłuchaj, droga... zaraz jutro rano...
Nie... bądźcie zdrowi... i ty bywaj zdrowa,
Natychmiast jadę.

Regina. Dokąd?

Bogdan. Do Krakowa.

Rogina. Pan Starzechowski zjechał tu i czeka
Na Waszą Miłość...

Bogdan. Listem go zdaleka
Wezwałem, żeby przybył...

Mikołaj. I nowiny
Ucieszne wcale przywiózł.

Bogdan Z téj przyczyny
Pojedziem zaraz obaj... Niech się zbiera
Do drogi... Prawyć to człek, nie przechera,
Co przyrzekł, zdzierżył... oby tak zdzierżyli
I inni, którzy naonczas dobyli
Swych szabli z pochew...

Mikołaj. Dotrzymają słowa.

Bogdan. Więc trzeba zaraz jechać do Krakowa.
Wszak nie odmówi król swéj aprobaty.

Dworzanin (wchodząc zgłębi). Pan wojewoda ruski.

Mikołaj. Co? Zakaty,
Tak niespodzianie! Coś się wydarzyło!

(Zgłębi wchodzi Sieniawski, za nim orszak dworzan, którzy niebawem odchodzą).

Sieniawski. Powitać wszystkich memu sercu miło.

Mikołaj, Regina. Pokorne służby me Waszéj Miłości.
Sieniawski. Me służby paniom... Widzę tu i gości.
Cny hospodarze, czołem...
Bogdan. Witaj, panie!
Sieniawski. Snadź to wam dziwno, że tak niespodzianie
Przybywam... Ważne wiodą mię tu sprawy.
Mikołaj. Zasiądźcie, proszę.
Sieniawski. Pan Bóg tak łaskawy,
Iż, hospodarze, tutaj was najduję.
Bogdan. Za względy wasze z góry już dziękuję.
Sieniawski. Przedwczesne dzięki, bo to, co przynoszę,
Snadź wam nie będzie miłém... ale proszę,
By na mnie żadnéj nie kłaść tutaj winy,
Bo, co się dzieje, to nie z méj przyczyny.
Bogdan. Więc co to? Z czyjéj? Niech mię Niebo skarze,
Gdy co rozumiem.
Sieniawski. Wiem... wiem, hospodarze,
Boć wojewoda wszystko wiedziéć musi,
Więc wiem o waszych zabiegach na Rusi.
Lecz wam oznajmiam, by to miéć na względzie,
Iż z téj imprezy nic a nic nie będzie.

Bogdan, Mikołaj, Regina. A to dlaczego?
Sieniawski. Bo rzecz zakończona,
Kdyż wkrótce zjedzie poselstwo Iwona,
By hołd królowi złożyć, jak należy.
Bogdan. Co? hołd Iwona? I król mu uwierzy?
Toć przywłaszczyciel... szalbierz... jego celem
Oszukać jeno...
Sieniawski. Kto przywłaszczycielem,
Kto prawym panem u was, kto tu zgadnie?
Bogdan. A jednak czyliż odgadnąć nie snadnie?
Mojemu ojcu przed latami wielu
Nie mówił rodzic wasz: przywłaszczycielu,
Lecz sam mu berło książęce dał w dłonie.
Sieniawski. Można by wiele prawić o koronie,
O którą u nas Mars często pochodnię
Zażegał. Powiem jeno, gdyby zgodnie
Nasz król i sułtan mnie ją oddawali,
Jeszczeby na mych postanowień szali

Przeważył stokroć mierny stan szlachcica.
Mikołaj, Regina. Dlaczego, panie?
Sieniawski. Azaż tajemnica,
Jak dla Wołocha lekką dobra wiara,
Jak nie o szczęście ojczyzny się stara,
Lecz o to, aby sprzedać jak najdrożéj
Chociażby ojca swego? Z kary bożéj
Pohaniec od nich wżdy łup dobry złowi.
Wszak on Wołoszę sprzedał Iwonowi.
Bogdan. Ha, mniejsza o to... Czy tam Iwon knowa
Jakową zdradę, tém się moja głowa
Nie będzie teraz wcale kłopotała.
Ten hołd królowi dla mnie téż rzecz mała.
Ja swoich najdę, którzy pójdą ze mną,
Bo przecież rzeczą nie jest to tajemną,
Iż mam tu swoich.
Sieniawski. Boże miłosierny,
Azaliż nadszedł taki czas niezmiernéj
W ojczyźnie naszéj szczęśliwości, żeby
Przelewać polską krew gdzieś bez potrzeby?
Azaliż jest jéj nazbyt? A co będzie,
Gdy wici wezwą nas; kto na koń siędzie,
Jeżeli w polach wołoskich pokotem
Koronne syny legną za obrotem
Nie swojéj sprawy? Azaliż Tatary,
Narzędziem ciągłém będąc Niebios kary,
Nie najeżdżają naszéj biednéj ziemi?
Więc nie pozwolim, abyście, płonnemi
Zamysły łudząc lud niedoświadczony,
Ogałacali nas z własnéj obrony.
Bogdan. Przez Boga, wszyscy już mię opuszczają!
Sieniawski. Gdy chcesz, najmitów werbuj między zgrają,
Co się bezładnie gdzieś po stepach włóczy.
Bogdan. Ach, doświadczenie jakżeż gorzko uczy!
Co pierwsza chwila nie da ci szczęśliwa,
Już potém całkiem wniwecz się rozpływa.
Mikołaj. Nie, nie poddawaj się, panie, rozpaczy.
Bogdan. Daremnie walczyć z losem, gdy inaczéj
Postanowiono tam gdzieś po za światem.
Ach, niech się dzieje, jak chce los... A zatém

Niech Iwon państwem włada bez przeszkody;
Mnie miléj będzie używać swobody
W ojczyźnie waszéj, w téj ziemi wolności.
Wszak dość bogaty jestem, żeby włości
Obszerne kupić sobie gdzie na Rusi.
O droga, bądź spokojna, mnie nie kusi
Czczy blask korony i berło zwodnicze,
Mnie stokroć milsze szczęście i słodycze
Żywota w ciszy przy téj, któréj serce
Nad skarby cenię... Więc ślubne kobierce
Rozścielmy tutaj.
Mikołaj. Jeno pomyśl, panie,
Z umową naszą co się wtedy stanie?
Bogdan. Z umową co się stanie? Cóż u czarta?
Azaliż ona zapisana karta
Jest cyrografem, stawionym na duszę,
Iż co do joty wszystko spełnić muszę?
Mikołaj. Jak wasza wola... U nas inna wiara.
Kto się zapisał na co, ten się stara
Wszyściutko spełnić... wszystko... co do joty.
Bogdan. Więc mię usidlić chcecie w mocne sploty,
Jak pająk muchę?
Mikołaj. Któż tu myśli o tém?
Lecz jeśli sprawy pójdą tym obrotem,
O którym prawisz, panie miłościwy,
Azaliż wtedy jeszcze będą dziwy,
Że pakt nasz cały wniwecz się obróci?
Bogdan. Czyż wy jesteście ze wstydu wyzuci?
Regina. Azaliż to się stanie naszą winą?
Bogdan. Szalbierstwem, fałszem, kłamstwem ludzie giną,
A prawda zbawia! Precz obłudne słowa!
Jadwigi rękę czyś mi dać gotowa?
Mów, mów otwarcie... nie zachodź zdaleka.
Regina. Gdy Wasza Miłość tronu się wyrzeka,
To zrzec się musi i Jadwigi ręki.
Bogdan. Już odsłonięte wszystko, Niebu dzięki!
Więc to był handel jeno?... Oczywiście...
Tę cudną dziewę wy mnie sprzedaliście
I za nią tron ów w Jassach był zapłatą!
A ty, Jadwigo, nic nie rzekniesz na to?

Jadwiga. Co mam rzec, panie?

Bogdan. Mów, bo twe milczenie
Byłoby dla mnie jako objawienie
Okropnéj prawdy, w którą... nie uwierzę.

Jadwiga. I cóż mam mówić?

Bogdan. Wszystko, byle szczerze.

Jadwiga. Więc żądasz, by ci odkryły me słowa
Tę tajemnicę, którą pierś ma chowa.
Azaliś pytał ty mnie onéj chwili,
Gdy mnie przed laty z tobą zaręczyli?
Pamiętasz?... Drżałam blada jako chusta.
Niech ci odpowiedź dadzą one usta,
Co w onym czasie za mnie ci mówiły.

Bogdan. Azaliż dobrze słyszę?... Brak mi siły
Rozbierać ciemną twoich słów zagadkę.

Jadwiga. Tu widzisz, panie, stryja... moją matkę.
Naonczas jeno słuchałeś, co oni
Mówili... i dziś słuchaj...

Bogdan. W jakiéjż toni
Zagrzązłem!.. Cóż więc?

Mikołaj. Wszak mówimy jasno.

Sieniawski. Jesteście jako ten, co mu zatrzasną
Drzwi przed obliczem...

Bogdan. Co? Drzwi przed obliczem!
Czémż jestem dla nich?

Sieniawski. Czém? W téj chwili... niczém.
No, gościem... U nas gość w takowéj chwili
Rozumié wszystko... wcale się nie myli
I jeśli konia uwiązał u płota,
To go odwiąże wnet, boć wielka cnota
Wyjeżdżać w porę...

Bogdan. I ja wnet wyjadę...
Boć trudno znosić obłudę i zdradę.

Regina. Nie naszać to jest...

Mikołaj. Losy was zdradziły.

Bogdan. Ja żyję jeszcze... jeszcze się z zawiłéj
Wyplączę matni... i indziéj są ludzie,
I jeszcze kiedyś po wojennym trudzie
Mojego ojca berło znów posiędę,

Atoli więcéj kołatać nie będę
Do waszéj bramy...
Regina. Byłaby to praca
Daremna... kto tak wyjeżdża, nie wraca,
A choćby wrócił, bram mu nie otworzę.
Bogdan (do Jadwigi). Ty, cudna panno, zamknij się w klasztorze,
Bo zyszczesz karę, którą znoszą hardzi...
Ja tobą gardzę dziś... i każdy wzgardzi.
Mikołaj, Regina. Co mówisz, panie?
Bogdan. Bo któż w dziewosłęby
Swych swatów przyśle po tém?
Sieniawski. Darmoś zęby
Wyszczerzył niby wilk, gdy mu odbiorą
Z paszczęki zdobycz. Idzieć to nie sporo!
Lecz, hospodarze, pomnij dobrze o tém,
Że u nas dziewy to nie wasz pod płotem
Rzucony owoc niegodnéj rozpusty.
A skąd wam przyszło hańbić swemi usty
Dziewicę w zacnym domu urodzoną?
Królewską gdyby miała zostać żoną,
Cesarską nawet, mogę to rzec śmiele,
Jeszczeby dla niéj nie było za wiele
Zaszczytu...
Bogdan. Jednak skoro świat się dowie...
Sieniawski. Że panna wolną... ze wszech stron panowie
Przybywać będą... jutro już... Azali
Wam nie wiadomo, jako się zjeżdżali,
Nim tych zaręczyn pieczęć nie zamknęła
Wrót przed wszystkimi? Nie, nie, tego dzieła
Owocem nie jest dla niéj potępienie!
Ujrzycie, w jakiéj u świata jest cenie
Tak zacna dziewa... Gdy wyroki boże
Rozrządzą... jutro już... kto wié... dziś może
Zalotnik przyjdzie prosić o jéj rękę.
Jadwiga (do siebie). O Boże wielki, ukróć moją mękę.
Bogdan. Co? jeszcze dzisiaj?
Sieniawski. Nie szydźcie... dziś jeszcze,
Boć wam i wszystkim wobec tu obwieszczę
To, że Sieniawski, dziedzic wielkiéj chwały,
Wielkiego mienia, swój dostatek cały
Wraz z ręką u stóp téj dziewicy składa.

Mikołaj, Regina. Co mówisz, panie?
Bogdan. Wszak jasno powiada
Pan wojewoda... trochę niespodzianie...
Och, oni będą radzi téj zamianie.
Sieniawski. Tak, słusznie... słusznie... będzieć to zamiana.
Sieniawskich imię zna ród Lepuszana,
Nie tajnoć światu, że ich to prawica
Przed laty wielu waszego rodzica
Na tron wywiodła... Gdzie Sieniawscy byli,
Tam karki gięły się... lecz ani chwili
Przed nikim oni nie zgięli kolana.
Idź, idź w pokoju, synu Lepuszana.
Gdy cię opuścił Bóg, idź swoją drogą.
Bo po co ciągnąć dziewę tę niebogą
Aż w przepaść, co się u twych stóp otwiera?
Bogdan. Tak radzisz, panie?
Mikołaj. Rada dobra, szczera.
Regina. I nasza takaż!
Bogdan. Więc igraszką było
To wszystko, co się w domu tym pełniło!
I ja, com niósł im nawet blask korony,
Odchodzę smutny, potępion, wzgardzony.
Lecz otrząsając z szaty proch, straszliwe
Przekleństwo strząsam na was... Niech wam mściwe
Potęgi wszelkie zamysły pomącą.
Niech wszystko, czego pragniecie gorąco,
W nieszczęście, w klęskę waszą się obraca...
Niech...
Sieniawski. Przestań, panie! To bezbożna praca
Niebiosa kusić, co już swój wydały
Niezmienny wyrok... Idź, nie szukaj chwały
W niegodnych przekleństw ohydnéj szkaradzie!
Bogdan. Ach, oby kiedyś i wam téż na zdradzie
Stanęła!
Sieniawski. Cicho! Opuść już te progi!
Niech w one mury spokój wróci błogi.
(Bogdan odchodzi drzwiami wgłębi).
Jadwiga (rzucając się w objęcia Reginy).
O matko, matko!

Regina. Bądź... bądź na to głucha.
Szalonych przekleństw Niebo nie wysłucha!
Mikołaj. Cny wojewodo!
Sieniawski. Niechaj się nie biedzi
Twój umysł, panie... Nie chcę odpowiedzi
Wprzód, nim się biedne dziecko uspokoi.
Zostawiam sprawę tę rozwadze twojéj.
Gdy w niéj dojrzeje pewny rozmysł, całą
Imprezę spełnim...
Jadwiga. Tak się stać musiało!

(Dok. nast.) *Bronisław Grabowski.*



GLADSTONE.

E se'l mondo sapesse l'cuor chegli ebbe
Assai lo loda, e piu lo loder ebbe.
Dante, Paradiso VI. 141.2.

W dniu 19 maja — w dniu Wniebowstąpienia — umarł William Ewart Gladstone, wielki mąż stanu, największy jakim poszczycić się może świat brytański w ciągu naszego stulecia, jedna z najczystszych, najwspanialszych osobistości, jakie znaleść można na kartach historyi. Przez lat sześćdziesiąt służył w zawodzie publicznym swemu narodowi i wszystkim wielkim sprawom, które zaprzątały świat cywilizowany. Jeżeli śmierć jego oddźwiękła żałobném echem w sercach wszystkich jego rodaków, to i świat postronny uczuł ją głęboko. Oddawna figura „Wielkiego Starca" stała się popularną w najoddaleńszych zakątkach. Gdy historycy przyszłych czasów poszukiwać będą działaczy, w których uosabia się najwybitniéj nastrój i geniusz naszego stulecia, trudno będzie im znaleść typ doskonalszy, niż Gladstone. Objął on je całe prawie, a wychowawszy dwa pokolenia, stał się niby instytucyą, do któréj za życia jego wiązała się legenda. Obecnie pasmo tego życia się przerwało, i łatwo zrozumieć, że ubytek tego zapaśnika, co kierował losami największego z państw i co charakterem osobistym, zarówno jak darami swego umysłu zasługiwał na cześć i wywoływał podziw, musi być odczuty jako strata dotkliwa. Pora jest przypomnieć główne momenta tego bezprzykładnego zawodu publicznego i skréślić najwy-

datniéjsze rysy jego fizyognomii, zanim rączy prąd cząsu wysunie na pierwszy plan nowych działaczy. Ale jacykolwiek oni będą, nie łatwo im przyjdzie na tak podniosle wznieść się wyżyny i w tak posągowych zarysować się kształtach. Od postaci Gladstona bije łuna moralnego ferworu, humanitaryzmu, która nie tylko daje klucz do władzy, jaką sobie zdobył wśród swego narodu, lecz z któréj płynie wysoka nauka dla wstępujących do czynnego życia pokoleń.

William Ewart Gladstone urodził się w Liverpool'u 29 grudnia 1809 r. Zauważono, że w tym samym roku przyszli na świat Alfred Tennyson, najpiérwszy z poetów, i Karol Darwin, najpiérwszy z uczonych angielskich naszego stulecia. Wrzała wtedy wojna hiszpańska, król Jerzy III zasiadał na tronie, a jego rządy, zarówno jak Jerzego IV, Wilhelma IV i Wiktoryi, snuły się za jego życia, którego główna waga przypada jednak całkowicie na to ostatnie panowanie.

Rodzina Gladstonów, która w dawniéjszych wiekach pisała się Gladstane, jest czysto szkocką, i wiele rysów charakteru narodowego Szkotów było widocznych u wielkiego męża stanu, który sam wielkie znaczenie do tego pochodzenia przywiązywał. Ród Gladstonów był starożytny i wzmianki o nim znajdują się w kronikach już w XIII stulecia. Zdaje się, że należał do zamożnych i wpływowych aż do początków XVIII stulecia. Podupadł wtedy majątkowo, i Tomasz Gladstone, dziadek Williama, przeniósł się z południowéj Szkocyi do Leith, zajmując się handlem zbożowym, a najstarszy syn Tomasza, John, jako młodzieniec przybył do Liverpoolu, który się stał gniazdem rodziny Gladstonów przed końcem zeszłego wieku.

John Gladstone, wielce zdatny i energiczny młodzieniec, wszedł tam do znacznéj firmy kupieckiéj, a wyratowawszy tę firmę od upadku przez śmiałą operacyę w Stanach Zjednoczonych, stał się jéj współwłaścicielem. Po upływie lat kilkunastu, położenie jego ustala się, wzrasta i staje się jednym z „książąt handlowych" pierwszego rynku handlowego w Anglii. Przychodzi do znacznego majątku, który, jak to było wówczas powszechném u kupieckich magnatów, polegał na własności niewolników. Chociaż nie ma najmniéjszéj poszlaki ażeby on był surowszym właścicielem niewolników od innych posiadaczy plantacyi w koloniach, bunt 1823 r. w Demerara wszczął się w jego dobrach, a imię Johna Gladstona znajduje się często w parlamentarnych ankietach, które poprzedziły zniesienie niewolnictwa. Gdy do skupu przyszło, otrzymał za swoich niewolników pokaźną sumę 75 tys. f. szt. Szczegół ten jest ciekawy, wykazując w jakiéj sferze młody William wychowywał się i wzrastał. Ojciec jego był nie tylko w dziedzinie ekonomicznéj gorącym zwolennikiem przywilejów, ale i w politycznéj należał do gorli-

wych torysów. Jako jeden z przywódzców téj partyi, zaprosił był Canninga, aby został reprezentantem Liverpoolu w parlamencie. Dom jego na Rodney Street stał się wtedy ogniskiem agitacyi wyborczéj i z balkonu jego tryumfujący Canning przemawiał wraz z Johnem Gladstonem do wyborców. Przyjaźń, jaką zawiązał z wielkim ministrem, ujawniła się w mianowaniu go baronetem.

Sir John Gladstone, który miał, jak to jest zwyczajem bogaczy angielskich, dom podmiejski, ożenił się był z Anną Robertson, należącą do znakomitéj rodziny szkockiéj, skoligaconéj z królewskim domem Stuartów. Była to kobieta piękna, okazała i wielkiéj dystynkcyi towarzyskiéj, która obdarzyła swego małżonka sześciorgiem dzieci, ale nie zdaje się, aby jéj wpływ umysłowy oddziałał był na dziatwę. W podmiejskim domu *sir* Johna w Seaforth i jego parku wychowywała się ona wygodnie, dostatnio. Cały tryb życia, całe otoczenie, świat, który tam uczęszczał, nosiły cechę wyborową, arystokratyczną, nacechowaną politycznym i religijnym konserwatyzmem, i łatwo zrozumiéć, że takie, a nie inne zasady wynieśli z domowego ogniska synowie. Najstarszy syn, *sir* Tomasz Gladstone, pozostał aż do saméj śmierci zażartym torysem; nie odznaczał się atoli wyjątkowemi zdolnościami; młodszy, Robertson, posiadał je wprawdzie w wysokim stopniu, ale nie zajął w społeczeństwie żadnego wyższego stanowiska, które za to w tak potężnych rozmiarach dostało się w udziale trzeciemu, Williamowi. Ojciec, którego rodzicielska powaga panowała nad całym domem wszechwładnie, zabawiał się z synami w dyalektyczne rozprawy. Każda, najdrobniejsza sprawa stawała się przedmiotem dyskusyi przedłużonych, argumentacyi i nie tylko logika rozumowań, ale i dar wymowy kształciły się u nich z dzieciństwa.

Mając lat jedenaście, wszedł William do szkoły w Eton, gdzie go już dwaj starsi bracia poprzedzili. Nie potrzeba podnosić wysokiego znaczenia i wpływu, jaki życie szkolne wywiera na młodzież angielską i jak się tam charakter jéj wyrabia, a reputacya rozpoczyna. Stąd wynoszą się związki koleżeńskie, które na dalszy bieg życia oddziaływają, a przywiązanie do szkoły trwa u uczniów do grobowéj deski. „*Floreat Etona!*" nigdy nie zostawiało Gladstona obojętnym. Najbliższymi jego przyjaciółmi w ciągu pięcioletniego pobytu w Eton byli Fryderyk Tennyson, brat poety i sam poeta, Arthur Hallam, unieśmiertelniony w *In Memoriam*, Kinglake, późniejszy historyk wojny krymskiéj, James Bruce, lepiéj znany jako lord Elgin, Karol Canning, wice-król Indyi, i wielu innych. Nie odznaczał się on żadnemi wyjątkowemi talentami w szkole, ale był uczniem pracowitym, pilnym, biegłym w językach klasycznych. Z pomiędzy różnych gałęzi sportu, uprawianych namiętnie

przez młódź szkolną, szczególniéj lubował się w wodnym, i łódź jego, mknąca po rozkosznéj dolinie Tamizy, musiała być świadkiem niejednego wybuchu entuzyazmu młodzieńczego. Jest tysiące anegdot o wpływie, jaki wywierał na kolegów, i o powadze, jaką sobie wyrobił, stawając w obronie słabszych, sprzeciwiając się dręczeniu zwierząt, etc. Istnieje pomiędzy uczniami szkół publicznych stowarzyszenie, ukształtowane na wzór parlamentu, gdzie się odbywają rozprawy publiczne. Wyrobił on tam sobie wcześnie reputacyę mówcy, a słynną była w szkole mowa, jaką wypowiedział o wpływie oświaty na lud. Gdy weźmiemy na uwagę, że wygłosił on takie opinie w 1823 r., kiedy były one jeszcze nowością, potępianą przedewszystkiem w kołach, do których on przez urodzenie i wychowanie należał, to można było zawczasu przeczuć, że nie będzie łatwém nagiąć jego umysł pod jarzmo stronnicze. Był także redaktorem i głównym współpracownikiem miesięcznika, wydawanego przez uczniów, i tam mieszczą się pierwsze próby jego pióra, w których jeżeli nas zadziwia wczesna dojrzałość myśli, to śmieszy pompatyczność i emfaza formy.

W 1827 r. opuszcza Eton, a w następnym wstępuje na uniwersytet w Oxfordzie, do kollegium Christ Church. To, co powiedzianém było wyżéj o wpływie szkoły na kształcącą się w niéj dziatwę, ma daleko wyższe zastosowanie w życiu uniwersyteckiém. Każda z dwóch *alma mater* angielskich wyciska niezgładzone piętno na umyśle swych alumnów. Gladstone urobiony został przez Oxford. Do ostatnich dni życia całém sercem przylgnął do téj instytucyi i kochał fanatycznie nieledwie każdą cegłę jéj hall i kollegiów. Wybrany przez uniwersytet swój następnie, jako poseł do parlamentu, uważał to za najwyższy zaszczyt, jaki go mógł spotkać; boleśnie cierpiał, gdy ten węzeł przecięty został, a gdy na śmiertelném łożu otrzymał adres pożegnalny od ciała uniwersyteckiego, drętwiejącą już ręką wyraził swą wdzięczność i niezwykłe wzruszenie, co nim wtedy owładło. Był on przedstawicielem w całém tego słowa znaczeniu doktryn, które przemagały w pierwszéj ćwierci naszego stulecia w Oxfordzie i które poniekąd przemagają tam podziśdzień. Padły one na grunt jakby umyślnie dla nich przygotowany. O tendencyach zachowawczych i wysoce religijnych, spotęgował je jeszcze w tém środowisku. Traktaryanizm i puseizm, cały potężny ten ruch religijny, który w kilkanaście lat późniéj miał się tam zrodzić i pchnąć Newmana do katolicyzmu, nie był się jeszcze wówczas rozpoczął, a ernestianizm, t. j. zwierzchnictwo państwa nad kościołem, był mu zawsze wstrętnym. Chciał on ich związku, jako dwóch potęg równoważnych. Przywiązany był gorliwie, fanatycznie nieledwie do kościoła anglikańskiego i wiarę, dziecięcą, naiwną wiarę tę zachował

aż do ostatka. Podstawą jego wiary było Pismo Ś-te i tradycyonalna historya kościoła. Pragnął zjednoczenia wszystkich wyznań, ale ponieważ pragnął go w imieniu anglikanizmu, nie było podobieństwa, ażeby się jego marzenie urzeczywistniło. Nie potrzeba zapewne przypominać jego stanowiska wojowniczego względem katolicyzmu, o czém kilka jego broszur wymownie świadczyło. Wobec tego, podejrzenie, że był jezuitą i ukrytym agentem Rzymu, wydaje się dziwactwem, zasługującém chyba na wzgardę, a przecież, gdy wyemancypował kościół katolicki w Irlandyi, zmuszony był publicznie zaprzeczać takim baśniom. Trudno było zrozumieć tym i owym, że przy tym ogniu, którym płonął ku swojéj organizacyi kościelnéj, mogło się znaleść u niego miejsce dla szerokiéj tolerancyi. A była ona właśnie u niego wynikiem głębokiéj religijności. Przedewszystkiém szło mu o wiarę, o pozytywną wiarę w naukę kościoła. Nie zaspokajał go mglisty teizm, agnostycyzm zaś równał się w jego przekonaniu ateizmowi. Obstawać przy dogmatach, przyczyniać się do krzepienia zasad religijnych uważał za pierwszy obowiązek, i wobec niego różnice drugorzędne wyznań schodziły na plan dalszy.

W Oxfordzie wszyscy jego towarzysze świadczyli o jego religijnym duchu, o jego nabożności. Kwestye teologiczne nabrały wtedy dla niego nie tylko wagi, ale i ponęty. Rzucił się do ich studyowania z zapałem, który, jak wiadomo, nie ostygł nigdy i zrobił z niego istotną powagę teologiczną. Żartobliwie mówiono o nim, że był anglikańskim papieżem, i nieraz spotkałem się ze zdaniem pastorów, którzy twierdzili, że się rozminął z prawdziwém powołaniem, że nie pierwszym ministrem, ale arcybiskupem Canterbury być był powinien. Atmosfera duchowa Oxfordu rozwinęła w nim ten prąd umysłowy, nauczyła kazuistycznéj dyalektyki, subtelnéj argumentacyi i tego scholastycyzmu, z którego nigdy otrząsnąć się nie potrafił.

Te cztery lata, które spędził w Oxfordzie i gdzie najlepszymi przyjaciółmi jego byli: Manning, późniéj kardynał, Sidney Herbert, lord Sherbroke, wtedy R. Lowe, Jerzy Cornwall Lewis, przeszły młodemu Gladstonowi na wytrwałéj pracy. Nie czytał, ale pożerał książki, a to z regularnością i metodą rzadką w jego latach. Powaga jego imponowała kolegom, z którymi żył po przyjacielsku, ale do których wybryków i nadużyć się nie przyłączał: jego wstrzemięźliwość np. oddziałała na zmniejszenie pijaństwa, tak powszechnego wówczas w wyższych sferach towarzyskich. Pracował nietylko nad teologią, historyą i literaturą klasyczną, ale i nad wyższą matematyką, stosując się co do téj ostatniéj do woli ojca. A studya te były uwieńczone przy opuszczeniu uniwersytetu podwójnemi zaszczytami: „*double first*" wskazywało, że jego

alma mater uważała go za luminarza. Jego kollegium, Christ Church, z którego wyszło siedmiu prezesów gabinetu, przewidywało, że nie było dostojeństwa, do którego by się nie mógł wznieść. Koledzy ochotnie oddawali mu hołd. W stowarzyszeniu akademików, noszącém jego imię „Weg", słynął z wymowy. Jedna z mów, jaką wypowiedział z okazyi bilu reformy 1831 r., który naturalnie potępiał z całą zapalczywością czystéj krwi torysa, wpłynęła na dalszy przebieg jego zawodu. Jeden z kolegów młody lord Lincolne, syn księcia Newcastle, z takim zapałem opisał ojcu swemu piorunującą mowę Gladstona, że ten magnat postanowił ofiarować mu jeden ze swych okręgów wyborczych, (gdzie wiernopoddani wyborcy głosowali ślepo za jego rozkazem), jako pierwszy stopień do parlamentu.

Gdy Gladstone opuszcza Oxford, nie wiedząc sam czy uda mu się, idąc za osobistym nastrojem, wejść w szeregi duchowieństwa anglikańskiego, czy téż obrać inny zawód stosownie do woli ojca, stan jego umysłu nie zapowiadał bynajmniéj przyszłego reformatora. W kwestyach politycznych był zachowawcą, potępiającym demokratyczne tendencye bilu reformy, uważającym niewolnictwo za uprawnione, a w kwestyach kościelnych był wyznawcą doktryny, że kościół jest boską, a państwo ludzką instytucyą, co wzajemny ich stosunek zakreślało z góry. Nie miał najmniejszego wyobrażenia o istotnych warunkach życia, a spoglądał na nie przez okulary uniwersyteckich Don'ów. Jeżeli zaklinając się *in verba magistri* nabrał przeświadczenia o potrzebie władzy, o użyteczności hierarchii, o przywilejach do niéj przywiązanych, o zwierzchnictwie prawa i świętości konstytucyi angielskiéj, to z drugiéj strony, jak sam późniéj przyznał otwarcie, nie podejrzéwał nawet znaczenia innego czynnika społecznego — swobody indywidualnéj. Trzeba ówczesny nastrój umysłowy Gladstona zachować w pamięci, aby zdać sobie sprawę z powolnéj i stopniowéj ewolucyi, jaką odbył; azaliż mogła ona być szybszą, gdy z tak odległéj musiał rozpocząć ją mety?

Wybrany w Newark pod egidą księcia Newcastle, wchodzi do izby gmin w 1833 r. Był on wtedy 22-ch letnim młodzieńcem, pięknym, smukłym, o twarzy bladéj, rysach jakby w kamei wyciętych, gęstych kędziorach ciemnego włosa i oczach, z których sypały się iskry, oczach, nad których wyrazistością zdumiewały się jedne po drugich pokolenia. Poprzedzony reputacyą uniwersytecką, wszedł on do parlamentu, który właśnie co przebył kryzys wielkiego bilu reformy, jako nadzieja, jako filar toryzmu. Pierwszym ministrem był wtedy hrabia Grey, który wraz z lordem Johnem Russsel byli ojcami téj wielkiéj zmiany w publicznym organizmie kraju. Górującemi parlamentarnemi

figurami byli wtedy książę Wellington, lord Brougham, wielki prawnik i popularny adwokat, *sir* Robert Peel, i Daniel O'Connel. Dość jest wymienić tych zapaśników zamkniętéj już historycznéj epoki, staczających bitwy za rozwiązane już oddawna zagadnienia, ażeby zmierzyć całą przestrzeń, jaką w ciągu swego parlamentarnego zawodu przebył ów Gladstone, którego przed paru laty widzieliśmy wiodącym kampanję za usamowolnienie Irlandyi.

Dziewiczą mową jego, wygłoszoną po kilkumiesięczném milczącém studyowaniu i rozpraw i mówców, nie wywarł on wcale piorunującego wrażenia. Ponieważ z okazyi buntów niewolników w koloniach ministrowie proponowali natychmiastowe zniesienie niewolnictwa i wymieniali *sir* Johna Gladstone, jako jednego z właścicieli „czarnéj zwierzyny”, stanął on nie w obronie ojca, ale w obronie istniejącéj organizacyi, którą stopniowo zmieniać radził, nie naruszając prawa własności. Disraeli sądząc go z téj pierwszéj mowy, pośpieszył się zapewnić, że ten młody deputowany nie ma przed sobą najmniejszéj przyszłości. Ale najbystrzejsi znawcy gruntu politycznego widocznie innego byli zdania, skoro w 1834 r. po zwaleniu ministeryum whigów *sir* Robert Peel, obejmując władzę, robi z tego 25-o letniego młodzieńca naprzód podsekretarza stanu skarbu (*Junior Lord of the Treasury*), a w następnym roku awansuje go na podsekretarza stanu kolonii. Wiadomo, jak upajającemi są te pierwsze uśmiechy publicznego zawodu, te pierwsze przebłyski uśmiechu fortuny. Niema najmniejszych wskazówek, ażeby go oślepiły, a natomiast są dowody, z jaką energią rzucił się do studyowania spraw publicznych, będąc u źródła informacyi. Nie musiał téż żałować, że władza jego była krótkotrwałą i że gabinet sir Roberta Peel'a ustąpił miejsca liberalnemu.

Epoka, która się otwiera wtedy, zaznaczona śmiercią króla Wilhelma IV i wstąpieniem na tron w 1837 r. królowéj Wiktoryi z ministeryum lorda Melbourne, a trwa aż do 1841, kiedy znowu wraz z *sir* Robertem Peelem powraca do władzy, może być uważana za najszczęśliwszy peryod jego osobistego życia. Żyje jako bogaty, niezależny młodzieniec w wykwintném kawalerskiém Albany, uczęszcza do salonów, ma powodzenie towarzyskie, śpiewa dźwięcznym głosem tenorowym, miesza się w koła literackie, szczególniéj przez Tennysonów i Moukton Milnes'a, późniejszego lorda Haughton, ale nie daje się pochłonąć światowym rozrywkom. Nie zaniedbuje studyów nad swymi ukochanymi poetami: Homerem, Dantem i Shakespeare'm, a jednocześnie wertuje 22 tomy *in 4-o* Św. Augustyna! Wtedy także kosztuje słodkich owoców rozgłosu autorskiego. Jego dzieło *The state in its relations to Church* okazało w nim poważnego myśliciela. Była już wyżéj mowa

o jego ferworze religijnym. Książka ta dawała mu sposobność do sformułowania swych zapatrywań. Wychodząc z zasady, że państwo, jako żyjący organizm, posiada sumienie, i że sumienie ma, jako swój organ, kościół, dochodził do logicznego wniosku, że kościół państwowy przeznaczony jest do przewodniczenia losom społeczeństwa angielskiego. Łatwo sobie wyobrazić, jaki poklask ta teza znalazła w kościelnym, uniwersyteckim i całym zachowawczym świecie. W obozie liberalnym napotkała natomiast surową krytykę, a w pierwszym rzędzie jéj przeciwników stanął Macaulay.

Zimę 1838 r. spędził Gladstone w Rzymie i w salonach tamtejszéj kolonii angielskiéj poznał się z owdowiałą lady Glynn, która tam bawiła z dwoma pięknemi córkami. Miłość doprowadziła do małżeństwa z jedną z panien. Ślub Gladstona odbył się w zamku Hawarden, rezydencyi lady Glynn, z jéj córką Katarzyną w dniu 25 lipca 1839 r., a tegoż dnia młodsza jéj siostra poślubiła lorda Lyttletona. Gdy niebawem potém *sir* Stefan Glynn umiera bezdzietnie, pani Gladstone staje się po bracie dziedziczką zamku Hawarden. Tam wytwarza się to idealne ognisko domowe, ten „*home*", którego urok przyłożył się wielce do opromienienia nazwiska Gladstona blaskiem nieposzlakowanego życia rodzinnego, do którego Anglicy słusznie tak przeważne przywiązują znaczenie: nie pojmują ażeby przewodnicy narodu nie byli jednocześnie nieposzlakowanymi, wzorowymi ludźmi w rodzinném kole i życiu prywatném. Obyczajami stoją społeczeństwa więcéj, aniżeli prawem. Pod tym względem nie było na domowości Gladstonów najmniejszéj skazy, najmniejszego cienia. Młoda i piękna żona pojęła odrazu swą rolę nieodstępnéj towarzyszki i anioła stróża. Poświęcenie jéj dla męża objawiało się nie tylko troską nieustanną o jego zdrowie i wygody, ale i wzięciem na swe barki wszystkich ciężarów i zachodów, jakie posiadanie znacznego majątku wiedzie za sobą, ażeby on mógł cały swój czas i całą swą działalność poświęcić wyższym, szerokiego zakresu interesom. Pani Gladstone stanęła na téj saméj linii, co lady Beaconsfield, lady Palmerston i lady Salisbury, a przewyższyła je tylko długotrwałością tego niczém nie zamąconego pożycia domowego. Gdy obchodzili swe złote wesele i w wielu innych okolicznościach, wielki mąż stanu oddawał publicznie hołd swéj małżonce, bez któréj współdziałania życie jego nie byłoby mogło tak jasną przewinąć się smugą.

Nowy, ale jeszcze nie stanowczy, a tylko przygotowawczy, albo lepiéj powiedziéć, pośredni peryod jego zawodu politycznego rozpoczyna się w 1841 r., gdy *sir* Robert Peel powraca do władzy. W gabinecie jego zostaje dyrektorem mennicy i wiceprezesem ministeryum handlu.

oraz członkiem rady stanu. Daje mu to sposobność pod przewodnictwem takiego mistrza, jakim był Robert Peel, zgłębić i przyswoić sobie naturę i warunki kwestyi ekonomicznych i finansowych, z jakim skutkiem, wiadomo. Ale nie trzeba było czekać 1853 r., kiedy jako kanclerz skarbu przedłożył był izbie ów preliminarz skarbowy, który stał się historyczną datą, bo zaraz w następnym 1842 r. powstały kwestye ekonomiczne pierwszéj wagi. *Sir* Robert Peel zniżył wtedy skalę ceł zbożowych, która miała niezadługo doprowadzić do całkowitego ich zniesienia i do przyjęcia zasad wolnego handlu. Liga wolnohandlowa z Cobdenem i Brightem na czele agitowała wówczas w łonie narodu, i Robert Peel wraz z Gladstonem, który otrzymał tekę ministra handlu, zmuszeni byli iść krok w krok za tą agitacyą i z wyżyn teoryi schodzić nieustannie do drobnych faktów, do cyfr i rachunków. Trudno było o lepszą szkołę i o lepszą gimnastykę umysłową, jak ta, przez którą wówczas przeszedł. Nawrócony całkowicie do doktryn wolnohandlowych, nie dzieli jednak Gladstone wraz z Peelem zaszczytu wprowadzenia w czyn téj wielkiéj reformy, gdyż okręg wyborczy Newark, gdzie protekcyjne tendencye przemagały i gdzie książę Newcastle dyktował wybór, odmówił wybrania go do parlamentu. W roku następnym 1847 uniwersytet Oxfordzki, którego członek był umarł, naprawia błąd Newarku i wybiera swego słynnego już wychowańca na deputowanego. Jeszcze Canning powiedział, że nie było większego zaszczytu publicznego, jak być reprezentantem Oxfordu, a Gladstone przyznawał, że go pożądał namiętnie. W pamiętnéj polemice wyborczéj, która jego zwycięstwo poprzedziła, Gladstone nietylko w dziedzinie ekonomicznéj oświadcza się za postępowemi, liberalnemi reformami, ale w sferze religijnéj przyznaje się, iż zmienił zapatrywanie swe dawniejsze, że już nie domaga się wyłącznych przywilejów anglikańskiego kościoła, ale że uznaje za słuszne domaganie się swobód przez katolików i przez dysydentów. Jest już wtedy wielka różnica pomiędzy stanowiskiem, które zajmował uprzednio pomiędzy zatwardziałymi torysami, a tém, które obecnie zbliżało go coraz bardziéj do whigów. Przełomowy moment miał jednak nastąpić znacznie później, dopiéro w 1868 r., ale rozumie się, iż charakteryzując tę epokę swego życia, powiedział, iż sympatye ciągnęły go do zachowawczego, ale opinie do postępowego obozu. Widzimy go po powrocie do parlamentu niezależnym, wymierzającym swe ciosy na prawo i lewo, ale uczuł się istotnie wyswobodzonym z więzów, co go z torysami łączyły, po śmierci *sir* Roberta Peela, w 1850 r. Ten mistrz, którego czcić nie przestawał, ten wzór, który sobie postawił, przez swe zniknięcie dał mu swobodę pokierowania swéj łodzi swoim zapatrywaniom gwoli. Jeżeli pozycya, jaką wów-

czas Disraeli zaczął zajmować w generalnym sztabie zachowawców, oddalała go od nich i od tego polityka, którego stać się miał wielkim antagonistą, to nie mniéj energiczną jest jego opozycya przeciw Palmerstonowi, wodzącemu rej wpośród liberałów. Pamiętna walka, jaką stoczył z tym ostatnim z okazyi niezapomnianego epizodu Don Pacifico, rzuca jaskrawe światło na zasadnicze punkty jego etyki politycznéj. Palmerston, ten typ dzisiejszego *jingo*, co uprzedził o wiele istnienie jego jako kierownika polityki brytańskiéj, rzucając na szalę dyskusyi swoje efektowne „*Civis romanus sum*”, twierdził, że wolno Anglikom kierować się swym własnym interesem, drwić sobie z moralności i narzucać słabym mocarstwom swą wolę; Gladstone przeciwnie postawił za zasadę, że słabe państwo, jak tutaj Grecya, nie powinno być gwałcone, ażeby się stać podścieliskiem wielkości Anglii, i że nie interes, ale sprawiedliwość, ale słuszność, ale prawo powinny kierować jéj polityką zagraniczną. Taki optymistyczny idealizm zwyciężony być może w zapasach parlamentarnych i być stłumiony przez koterye, ale z góry i natychmiastowo stawia tego, co się pod jego sztandar zapisuje, na podniosłéj wyżynie i pasuje go na rycerza światła i swobody.

Nie trzeba było długo czekać na inne objawy jego humanitarnego nastroju ducha. Spędzając zimę 1850/1 roku w Neapolu dla zdrowia jednego ze swych dzieci, stwierdza osobiście prześladowania, tyranię, despotyczny ucisk, pod którym jęczało wówczas królestwo Obojga Sycylii, i pod wpływem oburzenia wysyła do lorda Aberdeen'a trzy listy publiczne, w których piętnuje system rządowy króla Ferdynanda, jako haniebne barbarzyństwo. Niby iskra elektryczna przebiegła cały świat cywilizowany na ten ponury obraz i nietylko Anglia, ale i wszystkie liberalne żywioły Europy zsolidaryzowały się z tą drżącą oburzeniem protestacyą Gladstona. Jeżeli walka o wyswobodzenie Włoch z pod obcego jarzma i ich zjednoczenie znalazła w następnych latach cały świat po swéj stronie, to nie można wątpić, iż on był protagonistą tego ruchu, że on zatrąbił pobudkę, co tak szerokiém miała rozebrzmieć echem.

Koniec 1852 r. wprowadza go na nową, szerszą widownię. Ministeryum lorda Derby, w którém Disraeli był kanclerzem skarbu, przedłożyło preliminarz skarbowy, który jego autor wyłuszczył w cynicznéj, urągliwéj mowie, trwającéj kilka godzin. Zaledwie Disraeli usiadł, podniósł się Gladstone i w zaimprowizowanéj, zdumiewającéj siłą argumentacyi, monumentalnéj mowie obalił jednym zamachem całą kunsztowną budowę budżetu i zmusił ministeryum do natychmiastowéj dymisyi. Tak się rozpoczął ów wieloletni pojedynek historyczny pomię-

dzy Disraelim a Gladstonem, pojedynek co się zakończył dopiero śmiercią pierwszego. Istotnie dramatyczny interes wiąże się do tych zapasów, i nigdy imaginacya pisarza nie zdołałaby stworzyć charakterów i postaci o jaskrawszych przeciwieństwach.

Disraeli, żyd portugalski, który z giętkością swéj rasie właściwą umiał być stosownie do okoliczności pokornym albo aroganckim, nie miał żadnych stałych zasad, był sceptykiem, cynikiem i jak powiedziano sprawiedliwie, nie wierzył ani w izraelskiego Jehowę, ani w chrześciańskiego Boga, nie wierzył także w dyabła. Romansopisarz o bystrym darze obserwacyjnym, odznaczał się przedewszystkiém bujną wyobraźnią oryentalną. Obecnie bezstronna historya wypowiedziała o nim ostateczny wyrok, umieszczając go w szeregu genialnych awanturników. Ambitny, widząc że w liberalnym obozie niema dla niego przyszłości, rzucił się żarliwie do zachowawczego. Nie kosztowało go nic przekładać parlamentowi bile radykalne, byle przez to utrzymać się u władzy: *le pavillon couvrait la marchandise*. Jak akrobata z kulami, tak on igrał z kwestyami, o których nie miał wyobrażenia wczoraj, ale które umiał sobie przyswoić dzisiaj. Pochlebiało jego miłości własnéj, że on, przybłęda, niedawno pomiatany, idzie ręka w rękę z najdumniejszą arystokracyą historyczną, że jest ich przywódcą, a tworząc cesarstwo indyjskie, rozbudzając w masach krańcowe tendencye *jingoizmu*, położył istotnie swe własne piętno na dalszym rozwoju świata brytańskiego. Chociaż błędy, jakie popełnił w polityce zagranicznéj, są ogromne, przedewszystkiém ciężyć będą na jego pamięci dlatego, że popełnił je ze świadomością, dla pozyskania sobie faworów tronu, arystokracyi i koteryi wpływowych.

Wiele z tych rysów, tu w jedną całość zebranych, ujawniło się dopiéro w późniejszych latach jego zawodu, ale bystry umysł Gladstona przeczuł je w zarodzie i łatwo zrozumiéć, jaki wstręt budził w nim ten szarlatan, pryskający w każdém słowie ironią Mefistofelesa i jego sarkazmami. On posuwał skrupulatność i sumienność aż do ostatecznych granic, miał wysoki ideał religii i moralności, który pragnął wcielić w życie. Zanim sobie wyrobił opinie, nie szczędził żadnego zachodu, pracy najzmudniejszéj, a gdy je powziął, nie wahał się ich zmienić, skoro mu udowodnioném zostało, iż się myli, że większa doza prawdy, sprawiedliwości, swobody osiąga się na innéj drodze. Obaj, jako przywódcy wielkich stronnictw, musieli naginać swą politykę do zmieniających się okoliczności, ale zmiany te z innych płynęły motywów. Ażeby użyć pięknego porównania Ruskina, opinie i zasady nie mogą się zmieniać, jak chmury przelotne na nieboskłonie, gnane prądem atmosferycznym w tę lub ową stronę, ale powinny się zmieniać jak drzewo, które

z biegiem lat się rozrasta i strzela konary we wszystkich kierunkach, szczytem prąc ku niebu. Pierwsze metamorfozy—oto te koziołki, co wywracał na linie Disraeli, ufny że sobie nigdy karku nie skręci; drugie — oto te, jakie pokazuje zawód publiczny Gladstona, pnący się coraz wyżéj, ku coraz jaśniejszym ideałom, mając wyryte w duszy wysokie godło: *excelsior!*

Gdy zwalił preliminarz skarbowy Disraelego i obalił gabinet zachowawczy, zajmuje miejsce kanclerza skarbu w liberalném ministeryum lorda Aberdeen'a. Przejście z jednéj partyi do drugiéj dokonało się tak stopniowo, tak logicznie i naturalnie, było przeczuwane od tak dawna, że nie dziwiło nikogo, że nie wywołało żadnych protestacyi. Nikt nie wyrzucał Gladstonowi, iż karcąc zuchwałość Disraelego, co się ośmielał napastować finansowe zasady *sir* Roberta Peel'a, sam wziął na siebie urzeczywistnienie programatu swego mistrza. Jego pierwszy preliminarz skarbowy w 1853 r. stanowi epokę w finansach angielskich. Zamiast zamykać się w ciasnéj rutynie swych poprzedników, on odważnie podniósł podatki, przedewszystkiém podatek od dochodu, płacony przez bogaczy, a natomiast zniżył cła i opłaty od więcéj niż trzystu artykułów codziennego użytku. Dzisiaj brać w rachunek elastyczność dochodów, liczyć na ich zwiększenie przez zmniejszenie ciężarów jest pewnikiem elementarnym. Ale przenosząc się myślą o 40 lat wstecz, zrozumiéć można piorunujące wrażenie, jakie te innowacye budżetowe sprawiły. Naród odetchnął odrazu, czując ulgę niespodziewaną, i popularność ministra skarbu była zasłużona. Parlament został olśniony nietylko osnową tego preliminarza, ale sposobem w jakim go Gladstone wyłuszczał izbie. Cyfry suche, bezbarwne cyfry nabierały w jego argumentacyi indywidualności, drgały życiem, a ci dla których przedtém budżet był zamkniętą księgą sybillińską, odrazu rozeznali się w nim i mogli kroczyć po szerokich jego gościńcach. Jakim był pierwszy jego preliminarz skarbowy, takimi były wszystkie następne, i jego geniusz jako ministra skarbu nie ulegał najmniejszéj wątpliwości. Wystarczyłby on dla zabezpieczenia mu sławy, ale tak liczne są jego tytuły do niéj, iż nieledwie zapomniano o téj stronie jego działalności w ostatnich czasach. Jego następcy i jego rywale przyswoili sobie jego zasady i jego metodę, co im się chwali, ale żałować można, że nie zawsze potrafili bronić ich tak energicznie, jak on to zwykł był czynić.

Gdy po lordzie Aberdeen lord Palmerston obejmuje władzę, Gladstone pozostaje wprawdzie kanclerzem skarbu, ale można było przewidziéć, że nie pozostanie w nim chętnie. Nie to mu wyrzucać należy, że się z tego gabinetu szybko usunął, ale to raczéj, że się pozwolił doń

wciągnąć. Odpowiedzialność za przedsięwzięcie wojny krymskiéj, tego ogromnego błędu politycznego popełnionego przez Anglię, byłaby wyłącznie ciążyła na Palmerstonie.

Przez kilka lat następnych zajmuje stanowisko, jeżeli tak powiedziéć można, neutralne, nie napada na gabinet Palmerstona, ale go nie broni, utrzymuje stosunki przyjacielskie z dawniejszą grupą Peela, ale opiniami, które w sobie powolnie i stopniowo wyrabia, zostawia już pod wielu względami liberalizm doktrynerski whigów po za sobą. W tém odosobnieniu, zabierając głos tylko wyjątkowo, stanowisko swoje utwierdza i wzmacnia, i nikt w otoczeniu jego nie wątpi, iż czasy są niedalekie, gdy zostanie pierwszym ministrem i głową stronnictwa. Stojąc na przełomie pomiędzy dwoma wrogiemi obozami, był przedmiotem różnych propozycyi, a najciekawszą jest ta, do któréj przyznał się Disraeli, że go na kolanach błagał, ażeby wszedł do gabinetu zachowawczego. Przeczuł zapewne Gladstone ukryty jego zamiar ubezwładnienia raz na zawsze jedynego ze swych niebezpiecznych antagonistów i odrzucił zarówno te podszepty, jak zaproszenie swego przyjaciela, lorda Derby, aby wszedł do jego gabinetu. Przyjął jednak od niego w 1858 r. misyę udania się na wyspy Jońskie dla zdania sprawy, jak tam rzeczy stały. Złośliwi utrzymywali, że był to po prostu zręczny sposób pozbycia się niewygodnego świadka i ewentualnego spadkobiercy, ale Gladstone przyjął tę misyę ochotnie. Namiętny badacz starogreckiéj poezyi, wyniańczony na Homerze, spoglądał on na nowożytną, wskrzeszoną do bytu Grecyę z gorącém współczuciem. Uśmiechała mu się myśl skąpania się w téj czarownéj atmosferze Hellady i oddania usługi jéj synom. Niedawno przedtém ogłoszona jego książka: „Studya nad Homerem i jego epoką”, usprawiedliwiała zresztą całkowicie wybór ministra, który nie mógł paść na godniejszą osobistość. Pobyt na wyspach Jońskich jest poniekąd powtórzeniem epizodu neapolitańskiego. I tu także miał sposobność zbliżyć się do szerokich mas ludowych, przysłuchać się ich pragnieniom, ich narodowym aspiracyom. Słynnym jest jego objazd wysp Jońskich, mowy które miewał w języku włoskim, przemagającym wówczas pomiędzy mieszkańcami, zapał jaki wzbudzał. Misya jego skończyła się przedłożeniem królowéj petycyi, w któréj mieszkańcy archipelagu wyrazili życzenie, ażeby zniesiono protektorat brytański, a pozwolono im połączyć się z Grekami stałego lądu. Ostatnie słowo tego ruchu miało miejsce po wyrzuceniu przez Greków króla Ottona i ofiarowaniu przez Anglię wysp Jońskich Grecyi, przechodzącéj pod berło nowo obranego króla Jerzego. Do dziś dnia Grecy nie zapomnieli usług, jakie ich sprawie oddał Gladstone.

W dwa lata potém, w 1860 r. znajdujemy go znowu u władzy, tym razem już kanclerzem skarbu w gabinecie lorda Palmerstona. Sympatyi pomiędzy tymi dwoma mężami stanu nie było i być nie mogło, ale dzięki pośrednictwu lorda Johna Russell, który pełnił funkcyę ministra spraw zagranicznych, stosunki stały się możliwemi. Wejście do gabinetu Palmerstona stwierdziło ostateczne zerwanie z torysami i rozpoczęcie nowéj fazy zawodu publicznego. Bacząc, że liczył już wtedy 50 rok życia, przedsięwzięcie mogło się zdawać ryzykowném, ale gdy sobie przypomnimy te kampanie, które wiódł o ćwierć wieku późniéj, dziwić się przestajemy ówczesnéj. Gabinet, w którym stanowisko Gladstona stawało się coraz bardziéj dominującém, dokonał dwóch wielkich dzieł. Zawarcie traktatu handlowego z Francyą miało nietylko doniosłe następstwa ekonomiczne, ale i polityczne, wymazując wiekową zwadę pomiędzy dwoma zachodniemi mocarstwy i przez powiększenie, wzmocnienie wymiany towarów zbliżając do siebie szybko tych dawniejszych przeciwników. Traktat handlowy, który zrazu napotkał silną opozycyę, wszedł w życie głównie dzięki Gladstonowi. Wyłącznie jemu zawdzięcza Anglia drugie pamiętne przedsięwzięcie: mam na myśli zniesienie podatku od papieru. Pociągnęło to za sobą nietylko emancypacyę prasy i utworzenie z niéj potęgi kierującéj opinią narodu, ale i popęd dany oświacie publicznéj.

Wybory 1865 r. stawiły go przed narodem, jako jednego z przywódców stronnictwa liberalnego. Stary zachowawczy Oxford nie miał dość animuszu, aby iść tym samym pośpiesznym krokiem naprzód. Nastąpiło rozłączenie, które niezmiernie wiele kosztowało Gladstona. Została przeciętą niepowrotnie nić pomiędzy całą przeszłością, ku któréj ciągnęły go wspomnienia, a przyszłością, w którą rzucał się z nieustraszoną odwagą. Podług trafnego słowa, Gladstone przestał już być własnością uniwersytetu, a stał się własnością całego kraju. Przemysłowe hrabstwo Lancashire dało mu wygodniejszą podstawę polityczną i zupełną swobodę działania. Śmierć starego Palmerstona, która wtedy nastąpiła, pozwala mu zaraz z niéj korzystać. W gabinecie lorda Russell Gladstone wraz ze stanowiskiem kanclerza skarbu zostaje *leader*'em izby gmin. Tutaj jest na swym własnym gruncie, w właściwym sobie żywiole. Starzejący się lord Russell, jego zwierzchnik, znajdował się w izbie lordów, a on stał się w izbie gmin istotnie głową rządu. Trzeba mu było w téj izbie, co posiada wszechwładzę, a w któréj z tylu sobie nieprzyjaznymi żywiołami miał do walczenia, znaleść nietylko punkt oparcia, ale trzeba było kierować ją wbrew jéj chęciom, jéj instynktom, jéj interesom, trzeba było zawładnąć jéj zbiorowym umysłem, tchnąć w nią własną swą duszę.

Olbrzymiemu temu zadaniu podołał, jak nikt inny. Kluczem, jakim sobie te wrota otworzył, była głęboka cześć tradycyi, szacunek jaki uczuwał dla parlamentu. Przeświadczony o jego potędze, nie wahał się nigdy do niéj odwoływać, a budząc dumę jego członków, odwoływał się zawsze do moralnéj strony, do wielkości ich zadania. Ten szlachetny zapał, co go ożywiał, udzielał się innym, porywał ich. Nikt nie podawał w wątpliwość jego bezinteresowności, czystości jego zamiarów. Szło więc tylko o rozważenie argumentacyi, którą się posługiwał: walka pomiędzy nim a przeciwnikami nieodzownie wznosić się musiała w sfery wyższe. On ani chciał, ani umiał być płaskim i pospolitym. W każdém jego słowie dźwięczał patos, słyszało się kapłana stojącego po za retorem i po za wodzem. Był mówcą, jakiemu równego znaleść nie łatwo, a wyższego niepodobna w rocznikach parlamentarnych Anglii. Posiadał wszystkie warunki zewnętrzne i wewnętrzne, jakich tylko wymagać mogą tryumfy oratorskie. Twarz blada, wyrazista, o orlim profilu, oczy tryskające błyskawicą, gestykulacya żywa, ale nie rażąca nigdy godności, i przedewszystkiém głos głęboki, dźwięczny, metaliczny, o nieskończonéj gamie tonów składały się na całość jedyną. Czytając jego mowy, można oddać sprawiedliwość ich zaletom, ale trzeba było je słyszéć, ażeby zrozumiéć porywające wrażenie, jakie czyniły: wiał z nich czar, któremu trudno się było oprzéć. Wady, jakie pod względem oratorskim posiadały, jak zbyt długie okresy, mnóstwo zdań pobocznych, retoryczne figury, zbyt wielka, kazuistyczna subtelność wywodów, brak prostoty i t. d., wszystko to znikało, tonęło wobec ogólnego wrażenia, jakie wywoływał grając na duszach słuchaczy z maestryą wyrafinowanego artysty. Za daleko by mnie zaprowadziło przytaczanie tu wyjątków z najpamiętniejszych jego mów, albo opisywanie tryumfów, które mu zyskiwały. Sumiennie powiedziéć można, że gdyby *leader* parlamentu potrzebował tylko talentu mówcy, nie byłoby podobna znaleść mu równego.

Ale, jak wiadomo, stanowisko to wymaga jeszcze innych warunków. Należy być strategiem, umiéć grupować stronników, korzystać z błędów przeciwnika, obmyślić troskliwie plan bitwy, przewidziéć nie tylko ewentualności zwycięstwa, ale i nazajutrz po przegranéj posługiwać się dla dopięcia celu podrzędnemi środkami i intrygami. Nie można powiedziéć, ażeby tę stronę swéj misyi Gladstone posiadał tak dobrze, jak niektórzy z jego rywali. Silny swém własném przekonaniem, nie dbał w gruncie o opinie drugich i na myśl mu nie przychodziło zjednywać sobie współdziałaczy inaczéj, jak drogą argumentacyi. Posuwał sumienność i skrupulatność do ostatnich granic i jak Reg. Brett mówi, jego przyjaciele żyli w ciągłéj obawie ciosów, jakie spadną na

stronnictwo i na sprawę przez nadmiar jego cnoty. Zapatrzony w ideał który ścigał, tracił z oczu następstwa, jakie pociągnęłaby za sobą klęska, i jeżeli czasami głośno, a często po cichu wyrzucali mu jego sojusznicy brak przezorności, nieopatrzne rzucanie się na niezwyciężone przeszkody, to było w tych zarzutach nie mało słuszności.

Ministeryum lorda Russel dało sposobność Gladstonowi pokazać w niektórych kwestyach, (np. w sprawie rozszerzenia prawa głosowania), a dać przeczuć w innych, (np. w kwestyi kościoła katolickiego w Irlandyi), jak szerokim i jak lotnym był jego liberalizm. Gdy w r. 1866 upadło, stał on już wobec kraju, jako naturalny, legalny przywódca stronnictwa postępowego i nie było wątpliwości, że gdy koło fortuny znowu przyprowadzi je do władzy, on, nie zaś kto inny, zostanie pierwszym ministrem, głową rządu. Chwila ta przyszła pierwéj, aniżeli spodziéwać się było można. Wypadki zaczęły następować po sobie szybko. Lord Russel z Gladstonem nie mogli przeprowadzić drobnego bilu reformy, który dodawał jakich 400,000 wyborców nowych do dawniejszych. Ale Disraeli, przyszedłszy do władzy, naprzód jako członek gabinetu lorda Derby, a następnie jako pierwszy minister, z właściwym sobie cynizmem przedłożył i przeprowadził bil reformy daleko radykalniejszy: on, zachowawca, w zamiarze podkopania stronnictwa liberalnego z Gladstonem na czele, dał Anglii nieledwie głosowanie powszechne i oparł jéj konstytucyę na podstawie demokratycznéj. Ale apostazya ta nie okazała się dlań tak korzystną, jak mniemał. Przy wyborach w r. 1868, kiedy kwestyą postawioną przed wyborcami do rozstrzygnięcia była emancypacya kościoła katolickiego w Irlandyi, Disraeli i partya zachowawcza zostali pobici na głowę i podali się do dymisyi, nie czekając na odprawę przez izbę. W dniu 3 grudnia 1868 roku Gladstone zostaje pierwszym ministrem, mając większość 115 głosów zapewnioną.

Była to wielka chwila w jego życiu. Liczył 58 lat i przebył długi nowicyat polityczny. Powoli i stopniowo wysuwał się ze środowiska, w którém go były opętały tradycye i okoliczności osobiste, i wyrobił w sobie zasady i opinie całkiem inne. W całéj téj logicznéj ewolucyi zyskał sympatyę ludzi najwybitniejszych, a nakoniec i szeroki poklask mas, które w nim uznały nieustraszonego zapaśnika sprawiedliwości i swobody. Obecnie nadeszła po raz pierwszy chwila, gdy wychodząc z drugorzędnego na pierwsze miejsce, miał usprawiedliwić tę ufność i udowodnić, czy jest istotnym mężem stanu, czy potrafi przewodniczyć temu przekształceniu ustawy narodowéj, które jest rdzeniem angielskiéj wielkości. Pojmował całą odpowiedzialność, jaką brał na siebie, ale, jak przypomniał lord Rosebery w mowie w izbie lordów na

posiedzeniu, co było pośmiertną apoteozą Gladstona, przeważającym rysem jego charakteru była nieustraszona odwaga, nie zatrzymująca go ani na chwilę przed niebezpieczeństwami. Tak jak z siekierą w ręku walił na ziemię pruchniejące dęby i klony w swym parku w Hawarden, tak postanowił otwiérać jasne poręby w gąszczu zadawnionych nadużyć, niesprawiedliwości i przywilejów, co się jeszcze były przechowały. Nie straszyła go nazwa radykalisty, którą mu rzucano w oczy: radykalizm, jak się wyrażał, jest poprostu liberalizmem, który się bierze na seryo. On zawsze i wszystko brał na seryo.

Pierwszą bitwą, którą mu stoczyć było trzeba, była naturalnie za wyswobodzeniem kościoła katolickiego w Irlandyi. Niema potrzeby rozwodzić się nad wyjątkowemi trudnościami, z jakiemi miał do walczenia, przeprowadzając ten bil przez parlament. Przeciwko sobie miał nietylko królowę, dwór, arystokracyę, izbę lordów, ale tego potężnego przeciwnika, kościół państwowy, instytucyę arcypotężną, która broniła się wszelkiemi sposobami przeciwko ukróceniu swych przywilejów, z któremi się zżyła od epoki Henryka VIII-go. Co jednak téj krucyacie Gladstona dawało charakter tragiczny, bohatérski, to, że nie przestawał on być gorącym, namiętnym wyznawcą właśnie anglikanizmu, że kościół ten posiadał w jego oczach spirytualną i teologiczną prawdę po swéj stronie. On, filar i luminarz tego kościoła, nie wahał się jednak pozbawić go przywilejów, niesprawiedliwie posiadanych w kraju katolickim, gdzie anglikanie znajdowali się w drobnéj mniejszości. Napróżno rzucano nań gromy i obelgi, nazywano papistą, podejrzywano o konszachty z Rzymem, nie kruszyło to jego energii, ale przeciwnie podżegało do walki za wzniosły ideał swobody religijnéj.

Za wiele miejsca zabrałoby tutaj przedstawienie faz walki, jakiéj parlament stał się widownią w r. 1869, i walnego zwycięstwa, jakiém się zakończyła. Szczegóły, odnoszące się do tego przedmiotu, piszący podał już dawniéj [1]), i czytelnik takowych ciekawy przekona się, z jakiém uszanowaniem osobistych stanowisk i interesów udało się wielkiemu mężowi stanu przeprowadzić tę sprawę skomplikowaną i drażliwą, jak wszystkie, które sumienia się tyczą. Co uderzało już wtedy, to sposób, w jaki umiał pogodzić abstrakcyjne doktryny, szermierki o zasadę z praktycznym zmysłem, ze zdumiewającą znajomością szczegółów administracyjnych i danych finansowych. Te same rysy charakteryzują i inne strony jego działalności. A obfitował w nie cały ten okres między 1868 a 1873 r., słusznie nazwany złotym wiekiem libe-

---

[1]) Patrz: „Anglia i Anglicy". Warszawa, Paprocki, 1895. str. 95—102.

ralizmu. Za swego pierwszego ministeryum i na jednéj kadencyi przeprowadził cały szereg wielkich reform. Pierwsza sesya zeszła na nadaniu swobody kościołowi irlandzkiemu, druga zaznaczyła się ulepszeniem położenia irlandzkich czynszowników. Jedną z największych dolegliwości ich było, że właściciel gruntu mógł ich wyrzucić z folwarku, nie zwracając ani szeląga z wyłożonych przez nich kosztów na ulepszeniu gruntów i budowli. Przez *Land Act* [1]), który szczęśliwie przez parlament przeprowadził, czynszownicy zabezpieczeni zostali przeciwko eksmisyi, jeżeli czynsz swój opłacali, i otrzymywali indemnizacyę za poczynione nakłady. Bil ten uważać należy za pierwszy krok do uwłaszczenia czynszowników, który to szeroki plan miał być podjęty przez niego późniéj i utonąć w fali rozjuszonéj reakcyi. Po wymazaniu téj niesprawiedliwości, natychmiast wziął się do innéj. Jednym z najpotworniejszych przywilejów, sięgających swym początkiem wieków średnich, było zakupywanie stopni w armii za brzęczącą monetę. Znalazłszy silną opozycyę w parlamencie przeciwko usunięciu tego anachronizmu z ustawy krajowéj, Gladstone rozstrzygnął kwestyę samodzielnie przez reskrypt gabinetu, opatrzony sankcyą korony. Powstała wrzawa na ten zamach despotyzmu, ale gdy się uspokoiła, kraj przyklasnął zniesieniu wstrętnego objawu. Następnie przyszła koléj na projekt utworzenia szkółek elementarnych z ramienia państwa, skoro szkółki utrzymywane przez duchowieństwo nie były obowiązkowemi i zostawiały wiele do życzenia. To utworzenie oświaty elementarnéj stało się dobrodziejstwem narodowém, którego w przelocie tutaj jedynie dotknąć można. Reforma głosowania (*Ballot Act*) zaznaczyła rok 1872-gi i przez zabezpieczenie tajemnicy głosów położyła kres przekupstwu i nadużyciom, jakie zawsze dotąd hańbiły kampanie wyborcze w Anglii. W sprawach zagranicznych wzmianka się należy ścisłemu zachowaniu neutralności w wojnie francusko-niemieckiéj, a więcéj jeszcze położeniu kresu zwadzie ze Stanami Zjednoczonemi w sprawie „Alabamy". Przyjęcie wyroku sądu rozjemczego było wówczas gorzko wyrzucane Gladstonowi. Warto zauważyć, że uprzedził on o ćwierć wieku opinię narodu, który obecnie uważa utworzenie stałego trybunału rozjemczego za najwyższe *desideratum*, ale który wtedy nie marzył jeszcze o unii z Amerykanami. Masa nie przeczuwała wówczas, że siał ziarno, co tak bujnie wzejść miało po dwóch lat dziesiątkach!

Po takim wysiłku reformatorskim, który, jak zrozumiéć łatwo, poruszył organizm społeczny aż do głębokich jego pokładów, nie można się dziwić, że kraj zażądał odpoczynku. Przy wyborach 1874 r.

---

[1]) Tamże, str. 124 i nast

stronnictwo zachowawcze otrzymuje większość i Disraeli tworzy rząd, którego Gladstone miał zostać groźnym oponentem. Ale nietylko nie rzucił się odrazu do opozycyi, ale odsunął się przez parę pierwszych lat kadencyi parlamentarnéj od udziału w rozprawach politycznych. Czynny jego umysł nie wypoczywał, ale skoro wobec marazmu, w który kraj był popadł, i wśród téj skażonéj atmosfery, którą Disraeli naokół siebie roztaczał, nie było żadnéj ze spraw, które jego animusz bojowy podżegały, wziął się do roztrząsania spraw teologicznych, które nigdy nie traciły dlań uroku. Do téj epoki należą jego słynne broszury o „Rytualizmie”, o „Dekretach Watykanu” i t. d. Miały rozgłos ogromny, niektóre z nich rozchodziły się w stu tysiącach egzemplarzy, i zdawało się, że autor cały pochłonięty był temi zagadnieniami. Przypuszczenie to stwierdzone zostało niebawem listem otwartym, w którym oświadczył, że nadeszła dla niego epoka odpoczynku i że nie widzi potrzeby dźwigać nadal odpowiedzialności politycznéj. Pozostając członkiem izby, składa z swych bark stanowisko przywódzcy partyi liberalnéj. Jakiekolwiek mogło być jego zniechęcenie i rozdrażnienie, Gladstone nie powinien był podawać się wówczas do dymisyi. Był to kaprys chwilowy i niedozwolony ludziom jego pokroju. Liczył lat 65 i był czerstwego zdrowia, a chociaż jego zawód parlamentarny trwał już od lat 42, chociaż sprawował urząd pierwszego ministra i do żadnéj wyższéj pozycyi wznieść się nie mógł, to było oczywistém, że nie wypowiedział jeszcze ostatniego swego słowa, że się rola jego nie skończyła. Opuszczenie nagłe dowództwa opozycyi osłabiło ją, i margrabia Hartington, wybrany jako jego następca, nie posiadał ani doświadczenia, ani talentu odpowiedniego wysokości zadania.

Takie anormalne położenie nie mogło trwać długo i zawisło było jedynie od zewnętrznych okoliczności. Sygnał do przebudzenia drzémiącego lwa dały sprawy zagraniczne. Wybuchło w r. 1876 powstanie w Bulgaryi, stłumione przez Turcyę i prowadzące za sobą prześladowania i okrucieństwa przejmujące zgrozą. Mimo tradycyjnéj polityki angielskiéj podtrzymującéj Turcyę, opinia chrześciańskiéj i humanitarnéj Anglii wzdrygnęła się oburzeniem na wieść o męczeństwie bulgarskiém. Drwił z niego cynicznie Disraeli, ale Gladstone z młodzieńczym entuzyazmem stanął jako ich mściciel. Przez cztery lata od roku 1876 do 1880 ściga on, prześladuje, piętnuje czerwoném żelazem politykę Disraelego, egoistyczną, ciasną, niemoralną, awanturniczą. Dokonywa cudów jako agitator. Jego kampanie w hrabstwie szkockiém Midlothian są istotną epopeą. Jako trybun ludowy, z balkonów domów, z platformy drogi żelaznéj, w wielkich halach, albo na placach publicznych przemawia do tysiącznych tłumów, elektryzuje je i pory-

wa. Gdy Disraeli, a raczéj już wówczas lord Beaconsfield, rozpisuje nowe wybory w r. 1880, nietylko Gladstone tryumfuje w Midlothian nad synem księcia Buccleigh, miejscowego potentata, ale cały kraj idzie w tym samym kierunku i na miejsce najsilniejszego parlamentu zachowawczego powołuje nowy, w którym stronnicy Gladstona mają świetną większość nad dwoma przeciwnemi obozami. Ani lord Hartington ani lord Granville nie chcą przyjąć godności pierwszego ministra, wskazując na Gladstona, jako na nieuniknionego przywódzcę. I tak się stało, że w r. 1880 po raz drugi zostaje głową rządu.

Nie pisząc tutaj panegiryku zmarłego męża stanu, ale usiłując nakreślić jego sylwetkę taką, jaka przejdzie mniéj więcéj do historyi, nie mam powodu ukrywać sądu, że ten drugi okres jego rządów nietylko nie zaznaczył się taką seryą zasłużonych tryumfów, jak poprzedni, ale że łatwo dostrzedz w nim błędy. Pomimo znacznéj większości, jaką rozporządzał w izbie, a olbrzymiéj popularności osobistéj, jaką był posiadł, w sprawach wewnętrznych nie był w stanie przeprowadzić żadnych wielkich reform, a w sprawach zewnętrznych był nieszczęśliwy. Brak doniosłych rezultatów praktycznych tłómaczy się poniekąd zaciętością opozycyi i obstrukcyą Irlandczyków. Im więcéj postępową i radykalną stawała się jego polityka, tém żarliwiéj napadali na niego przeciwnicy, którzy przekonali się, że nie tak łatwo dadzą mu radę, jak mniemali. Nietylko w izbie lordów odrzucane były bile, nadesłane z izby gmin, ale i w téj ostatniéj trzeba było każdą pozycyę brać szturmem. W łonie gabinetu nie było jednolitości i usunął się z niego naprzód książę Argyll w r. 1881, jako przeciwnik liberalnego bilu gruntowego irlandzkiego, następnie p. Forster, gdy polityka względem ligi irlandzkiéj uległa zmianie, nakoniec John Bright, gdy przedsięwziętą została kampania egipska. Było istotnie tragiczną okolicznością, że ten Gladstone, który przez akt gruntowy irlandzki uczynił pierwszy wielki krok ku sprawiedliwości i słuszności, miał niebawem do walczenia z rewolucyjną agitacyą ligi narodowéj z jéj występkami i zbrodniami. Po morderstwie lorda Fryd. Cavendish'a, trzeba było uciec się do represyi, i stronnictwo irlandzkie parlamentarne pod dowództwem Parnell'a, które negocyowało z gabinetem o nowe i szerokie ustępstwa, naraz zamieniło się na zażartych wrogów. Nie potrzeba przypominać, jak w r. 1885, dzięki przejściu irlandzkich deputowanych do opozycyi, ministeryum Gladstona upadło.

Ale nim ten upadek nastąpił, zaszły wypadki w polityce zagranicznéj, których pominąć milczeniem niepodobna. Gladstone, który był nieprzejednanym antagonistą awanturniczéj i turkofilskiéj polityki Beaconsfielda, który jedynie ustrzegł Anglię od nowéj hańby interwencyi

zbrojnéj za Turcyą przeciwko Rosyi, był nieprzyjacielem wypraw wojennych i naturze jego był zupełnie obcym ów imperyalizm, owo nieprzerwane zdobywanie nowych dziczy i wcielanie ich do sfery wielkobrytańskiéj. W chwili obecnéj, gdy ten kierunek zwyciężył na całéj linii, niema potrzeby staczać z nim bojów i wykazywać po czyjéj stronie była słuszność. Ale Gladstone, który uosabiał w sobie umiarkowanie, rozsądek, bezinteresowność, wstręt do zamorskich awantur, popełnił błąd interweniując w Egipcie, prowadząc wojnę w Sudanie, wysyłając Gordona do Chartumu, a nie przychodząc mu z odsieczą w chwili, któraby go ocalić mogła. Nie będąc stronnikiem tych wypraw, przemawiał za niemi półgębkiem i prowadził je półśrodkami. Ujemny rezultat, spowodowany rozmaitemi okolicznościami, w które tu wchodzić niema potrzeby, ciążyć będzie na jego pamięci, a fanatyczny dżingoizm rozdmuchał to zarzewie w wielki ogień.

Podczas całéj téj kadencyi, tak pełnéj chaotycznego zamętu, krzyżujących się interesów, nowych indywidualności wybijających się na pierwszy plan, jak lord Randolph Churchill u torysów, a p. Chamberlain u liberałów, w umyśle Gladstona stopniowo krystalizowała się myśl przeprowadzenia porozumienia pomiędzy Irlandyą a Anglią. On, który przez swoją dawniejszą działalność rozwiązał spór wiekowy pomiędzy niemi co do kościoła, on, który w znacznéj części przyłożył się do ułatwienia stosunków gruntowych, pojął, że nie inaczéj będzie można te dwie części monarchii pojednać, jak przez wyrzeczenie się ucisku i niesprawiedliwości, zabezpieczając Irlandyi samorząd. Nie podejrzywano jego studyów, dociekań, rozmyślań i puszczającego coraz głębsze korzenie przekonania, że na téj drodze tylko jest zbawienie.

Gdy kraj przystąpił w r. 1885 do wyborów i gdy Gladstone ponownie zdumiał świat swą energią podczas drugiéj kampanii w Midlothian, otwarcie w swym manifeście oświadczył, że uważa samorząd dla Irlandyi za nieodzowny, i zażądał od wyborców takiéj większości liberalnéj, ażeby nowy rząd, nie potrzebując uciekać się do pomocy głosów irlandzkich w parlamencie, mógł ustawę tę przeprowadzić. Ale rezultat wyborów nie odpowiedział oczekiwaniom, gdyż dwa stronnictwa, zachowawcze i liberalne, stanęły w nowéj izbie prawie w równych zastępach, a pomiędzy niemi, jako rozjemcy, 84 deputowanych irlandzkich. Lord Salisbury był wtedy u steru władzy, i Gladstone, wiedząc, że ten traktuje potajemnie z Irlandczykami, uczynił krok, którego szlachetności nigdy dość wysoko podnieść nie będzie można. Ofiarował lordowi Salisbury swą własną pomoc i poparcie całego stronnictwa liberalnego, jeżeli wniesie bil o samorządzie Irlandyi w parlamencie. Lord Salisbury po niejakiem wahaniu propozycyę tę odrzucił, podjął zapal-

czywą walkę przeciw Irlandczykom, zmuszony był złożyć władzę, i w roku 1886 Gladstone staje po raz trzeci na jéj czele. Na programie jego stanęła wtedy nietylko jako pierwsza, ale jako jedyna kwestya — usamowolnienie Irlandyi.

Wypadki, w których się tu sferę wkracza, są zanadto świeżéj daty i za dobrze znane, ażeby im dużo miejsca wypadało poświęcać. Piszący odesłać może zresztą czytelników do ówczesnych zeszytów „Ateneum”, gdzie historyę tych epicznych zapasów opowiedział z całym ferworem świadka, porwanego wielkością historycznego momentu i czcią dla wodza, co nieustraszony szedł na mury twierdzy niezłomnéj. Nie potrzeba zapewne dzisiaj, po upłynionych latach dwunastu, stawać w obronie Gladstone'a od nieuzasadnionego zarzutu, czynionego mu podówczas przez jego rozwścieczonych wrogów, że nie z przekonania o sprawiedliwości żądań irlandzkich, ale przez ambicyę i żądzę władzy rzucił tę głownię zapalną w łono swego kraju i swego stronnictwa. Już samo objęcie jednym poglądem syntetycznym uprzedniéj działalności jego, już sama ocena pobudek moralnych, co zawsze nim kierowały, wystarcza do odsunięcia podobnego przypuszczenia. Gdy raz przeświadczył się o słuszności, jakiéj sprawy, wszystkie siły piekła nie zatrzymałyby go na wpół drogi. Tak postąpił sobie i tutaj i przy swoim charakterze inaczéj postąpić nie mógł. Odstępstwo najlepszych przyjaciół, zdrada Chamberlain'a, koalicya wszech reakcyjnych żywiołów — podbudzały tylko jego entuzyazm. Świat okolny spoglądał z podziwem na ten bój homeryczny starca, liczącego 77-my rok życia. Nikt nie zapomni tych dwóch bilów — o samorządzie i o uwłaszczeniu czynszowników irlandzkich — do których wypracowania i wniesienia wystarczyło mu trzy miesiące: zaiste herkulesowe dzieło! Gdy izba odrzuca ten projekt większością 50 głosów, nie daje jeszcze wtedy za wygranę i rozwiązawszy parlament, przystępuje do nowych wyborów. Kraj rozdrażniony taką wywieraną nań presyą, oszołomiony, nie mogący jeszcze zoryentować się wobec nowéj a zawikłanéj kwestyi, odrzuca programat irlandzki Gladstona. Trzecie jego ministeryum upada i raz na zawsze zdaje się zagrzebany pod nawałem nagromadzonych ruin.

Z powtórném przyjściem lorda Salisbury'ego do władzy, Gladstone miał nietylko prawo do odpoczynku, ale miał porę rozejrzéć się w wytworzonéj sytuacyi. Gdyby był posiadał więcéj elastycznéj giętkości, a mniéj prawdziwie szkockiéj uporczywości, byłby mógł obrać inną drogę do rozwiązania zagadnienia irlandzkiego. Stwierdziwszy niepodobieństwo przeprowadzenia go na téj podstawie, mógł postawić je na szerszéj, mianowicie na usamowolnieniu każdéj z czterech składowych części monarchii, co Anglicy nazywają *Home rule all round.*

Prawda, że takie przetworzenie jednolitego mocarstwa na federacyjne wymagałoby niemałych prac, potrzebowałoby długich lat propagandy, i wychowania społeczeństwa do téj doktryny jeszcze nowéj. Jeżeli my, ostudzeni po przegranéj i świadkowie jéj tylko, łatwiéj się dzisiaj na tę konieczność zgadzamy, to można pojąć, iż trudne to było wówczas dla Gladstona. Nie pozwalał mu na to ani ognisty jego temperament, ani lata podeszłe, przed których schyłkiem chciał przeprowadzić to szczytne dzieło pogodzenia Irlandyi z Anglią. Szlachetność celu tłómaczy tutaj i usprawiedliwia błędy taktyki lat ostatnich. Nawet ci, co mu pozostali wiernymi do końca, łudzić się nie mogli, żeby im zwycięstwo zapewnić potrafiła. Z interesem, jaki się wiąże do popisów mistrza-wirtuoza, śledziło się za jego opozycyjną działalnością względem gabinetu lorda Salisbury'ego, podziwiało się dziarskość, z jaką korzystał z jego omyłek, moralną czystość, jaką raz jeszcze okazał po procesie i upadku Parnella, i raz jeszcze po wyborach 1893 r. witało się go, wbrew prawdopodobieństwu, przyniesionego na fali popularności po raz czwarty do władzy.

Był to jednak tryumf przedzgonny, apoteoza człowieka, ale śpiew łabędzi wielkiego męża stanu. Każdy z nas pamięta powtórny bil o usamowolnieniu Irlandyi, bronienie go piędź za piędzią przez długie miesiące przeciwko obstrukcyi i nakoniec przeprowadzenie go przez izbę gmin po to tylko, ażeby izba lordów odrzuciła go wzgardliwie; każdy pamięta ostatnią, nieporównanego patosu mowę wielkiego starca, jego złożenie władzy i odsunięcie się ostateczne w wieku lat 84 z widowni politycznéj do prywatnego życia. Gdy opuścił zawód publiczny, zrozumiéć było można, że się wraz z nim skończyła cała epoka historyczna. On był przewodnikiem, ojcem chrzestnym ustroju demokratycznego, który rozsiadł się raz na zawsze w konstytucyjnéj ustawie Wielkiéj Brytanii za panowania królowéj Wiktoryi. Téj potężnéj ewolucyi dokonał on stopniowo i wprowadzając do organizmu publicznego nowe czynniki, robił to nietylko przezornie i z delikatnością ręki wyjątkową, ale ze czcią dla przeszłości i tradycyi. Jak sam słusznie powiedział, pierwszym obowiązkiem męża stanu jest zachowywać, drugim — ulepszać. Będąc z natury zachowawcą, zachowawcą w dziedzinie kościelnéj, państwowéj, społecznéj, towarzyskiéj, lgnąc całą potęgą swéj jędrnéj natury do zwyczajów i tradycyi historycznych, mógł on, snadniéj aniżeli ktokolwiek inny, inaugurować świat nowy, nowe prądy i instytucye. Kiedy ciasne umysły widzą w nim rewolucyonistę, sąd historyczny coraz większy nacisk kłaść będzie na zachowawcze podstawy jego działalności, i dzisiaj już coraz częściéj spotykać się można w Anglii ze zdaniem, że nigdy już nie będzie pierwszego

ministra tak skrupulatnie przechowującego nić tradycyi, jak się to działo za jego rządów.

Ostatnie lata życia spędził Gladstone w swojéj rezydencyi Hawarden. Piękny ten zamek i otaczające go dobra ziemskie, wynoszące 6,900 akrów, stały się własnością jego wnuka — gdyż najstarszy syn, William, ożeniony z córką lorda Blantyre, umarł w r. 1891 — ale do śmierci jego i jego żony był on w jego używalności. Tam w gronie rodzinném, w ciągłém otoczeniu trzech synów, tyluż córek, kilkunastu wnucząt żył jak patryarcha, przyjmując gościnnie ale bez ostentacyi przyjaciół i znajomych, upiększając swój park malowniczy, polepszając gospodarstwo rolnicze swych fermerów, miał pogodny wieczór życia. Nie stracił interesu dla spraw publicznych, jak tego dowodziły płomienne jego mowy za Ormianami, ale coraz bardziéj i coraz wyłączniéj zatapiał się w książki. Był on zawsze namiętnym ich lubownikiem i zgromadził bibliotekę wynoszącą przeszło 30,000 tomów, obejmującą wszystkie działy piśmiennictwa, ale przedewszystkiém dwa działy: teologiczny i literaturę klasyczną. Gdy zaczynało brakować miejsca na pomieszczenie téj biblioteki w zamku, Gladstone zbudował w parku budynek żelazny, który nosił nazwę biblioteki ś-go Deiniola. Ażeby bibliotekę tę uczynić instytucyą publiczną, zabezpieczył jéj istnienie wieczystym kapitałem. Wzniósł także we wsi gospodę, w któréj studyujący w bibliotece teolodzy i filologowie żyć mogą w pożądanych warunkach. Ta fundacya, nad którą do ostatniéj chwili czuwać nie przestawał, kosztowała blisko 40,000 f. szt.

Z tego spokojnego zacisza, nawet w latach żywéj działalności publicznéj, puszczał w świat różne swoje utwory literackie. Są porozrzucane po wielu pismach czasowych rozmaite jego artykuły, studya i monografie, które świadczą o żywym udziale, jaki brał w ruchu umysłowym swego czasu. Przedniejsze z tych prac drobniejszych zebrane zostały w jedną całość i wyszły w siedmiu tomach w r. 1879, p. t. *Gleaning of Past Years.* Równe objętością pokłosie dałoby się prawdopodobnie zebrać z prac, które ogłaszał późniéj. Ale nie w tych pracach leży jego najwybitniejszy rys, jako pisarza, lecz w teologicznych i w studyach nad Homerem. Była już mowa wyżéj o pierwszych. Gladstone od swych lat młodzieńczych, gdy w swéj pierwszéj książce, traktującéj o stosunku państwa do kościoła, przemawiał za teokracyą, aż do komentarzy, poświęconych biskupowi Butler, które wydał na dwa lata przed śmiercią, brał zawsze najżywszy interes w dyskusyach i kwestyach teologicznych. Pod tym względem był on istotnie czémś niezwykłém, i nie ulega wątpliwości, że współczesne pokolenia nie rozumiały nieraz jego zapału. Nie mając najmniejszéj kompetencyi w tym przedmiocie,

zamykam go przypomnieniem, że aż do ostatnich chwil życia zachował on swą prostą naiwną wiarę w całość dogmatów chrześciaństwa. Jeszcze przed trzema laty ogłosił pracę „O warunkach człowieka w życiu przyszłém". Nie można się dziwić, że, stojąc wyłącznie na fundamencie biblijnym, wpadał w kolizyę z wiedzą. Jego polemika z uczonymi, jak Huxley etc., nie poszła w zapomnienie. Żadne napaści, żadne szyderstwa, tak samo jak najoczywistsze dowody, nie były w stanie zachwiać jego doktryny. Nawet jéj przeciwnicy czuć musieli szacunek dla téj niezachwianéj wiary.

Prace Gladstona nad Homerem stanowią drugą jego specyalność umysłową. Płodami jego na téj niwie są, oprócz wielu innych, naprzód trzy grube tomy z r. 1858 p. t. „Studya nad Homerem i homeryczną epoką", i w r. 1869 „*Juventus Mundi*". Nikt się nie zadziwi, że i w téj dziedzinie Gladstone był zachowawcą, że odrzucał wiele zdobyczy nowożytnéj krytyki i że wbrew sceptycznemu jéj nastrojowi obstawał przy tradycyi. Zapał polemiczny, z jakim się rzucał do walki z filologami z zawodu, rodzaj namaszczenia kapłańskiego, z którém przemawiał w obronie swego epicznego barda, porywały nawet najobojętniejszych do wzięcia udziału w tych dyskusyach akademicznych i do poznajomienia się z naturą kwestyi spornéj. Jak p. H. D. Trail słusznie zauważył, że jego Homer studyowany jest obecnie w Anglii bardziéj w duchu starodawnym, jeżeli zajął poważniejsze miejsce w wyższéj oświacie, jeżeli przyczynił się do pogłębienia znajomości historyi religii i życia publicznego w starożytności, to nie małą część téj zasługi przypisać należy Gladstonowi.

Byłoby przesadą utrzymywać, że, jako pisarz, jest on pierwszorzędną wielkością, ale gdy się weźmie na uwagę, że mamy tu do czynienia z rozrywkami, z godzinami wczasu męża stanu, znajdującego się w pełnym wirze doniosłych zagadnień, dotyczących praktycznych stron życia współczesnego, to musimy oddać hołd bezwarunkowy potędze umysłowéj, co w tak rozlicznych promieniała kierunkach. Pozostawała ona tak świéżą i czerstwą, że społeczeństwo angielskie nie dopuszczało możliwości przerwania się pasma tego życia wyjątkowego. Głębokie wrażenie wywołała wiadomość wczesną wiosną r. b., że dni jego są policzone. Głos stronnictw zamilkł i oczy całego kraju zwróciły się ku Hawarden, gdzie, świadomy swego końca, dogorywał przez dwa miesiące z pogodą na czole, w poważnym nastroju ducha, ale bez żalu i jakby wzdychając ku innemu życiu, patryarcha narodu. Błogosławiący i błogosławiony, żegnany nietylko przez przyjaciół i rodzinę, ale przez niezliczone organizacye publiczne, do których należał, spokojnie

wyzionął ducha z dłonią złożoną w rękach swéj nieodstępnéj towarzyszki pielgrzymki życiowéj.

Wieść o jego śmierci wywarła daleko potężniejsze uczucie żalu, aniżeli nawet najbliżsi i najgorliwsi jego orędownicy przypuszczać mogli. Od wyżyn tronu aż do szerokich warstw proletaryatu, wszędzie dostrzedz można było uczucia żałoby, i jeden tylko głos się rozlegał, że świat angielski stracił najwyższą, najczystszą, najbardziéj świetlaną ze swych osobistości. Ci, co nie byli politycznymi jego przyjaciółmi, oddawali hołd bezinteresowności kierujących nim pobudek i życiu kryształowéj, nieskażonéj czystości. Jeżeli męża stanu uznawać mogło za swego jedno stronnictwo, to człowiek należał do całego narodu, całéj rasy i był jéj chlubą. Dopóki społeczność ta istniéć będzie, imię jego będzie czczone, a pamięć pozostanie świéżą.

Manifestacye narodowego żalu były niezliczone i jeżeli świadczą one wymownie o miejscu, jakie zajmował, i o osobistéj jego wielkości, to przemawiają także na korzyść społeczeństwa, które ją należycie oceniło i dało jéj odpowiedni wyraz zewnętrzny. W parlamencie wypowiedziane zostały na jego cześć mowy pochwalne, których nastrój panegiryczny nie wydawał się przesadzonym. Gdy śmiertelne jego zwłoki wystawiono w wielkiéj nawie Westminster Hallu, pół miliona ludzi przyszło schylić się przed niemi. Na ostatni spoczynek w grobach opactwa westminsterskiego, téj brytańskiéj Walhalli, ponieśli go najwyżsi dygnitarze i przyszły oraz domniemany następca tronu. Wszystkie honory, jakie mu oddać było można, oddano mu po śmierci, bo za życia odmawiał ich wszystkich. Korona, kościół, rząd, arystokracya, mieszczaństwo i lud, wszystkie składowe czynniki organizmu narodowego wysławiały jego wielkość, i słychać tylko o posągach, o fundacyach, co jego imię przekazać mają potomności. Słuszne to i chwalebne, ale w tym powszechnym hołdzie przedewszystkiém podniéść należy to, że oddany został moralnéj sile, entuzyazmowi, jaki ożywiał Gladstona ku dodatnim pierwiastkom cywilizacyjnym i zasadom. Trudno o wymowniejszą lekcyę optymizmu, tego klucza do przyszłości.

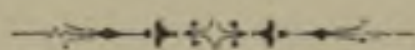
M. E. Trepka.



CHARAKTER WSPÓŁCZESNY

POWINNOŚCI ORĘŻNÉJ.

w głównych państwach europejskich.



Przez główne państwa europejskie rozumiemy tutaj: Rosyę, Niemcy, Austro-Węgry, Francyę i Włochy, ponieważ w szóstém główném państwie europejskiém, w Anglii, powinność orężna w rzeczywistości nie istnieje: siła zbrojna angielska składa się wyłącznie z ochotników.

Wszystkie wymienione wyżéj państwa lądu europejskiego pracują usilnie od lat przeszło dziesięciu nad powiększeniem swego zasobu wyćwiczonych żołnierzy, celem zapewnienia bezpieczeństwa swym poddanym i zabezpieczenia całości swego terytoryum.

Nikt nie zaprzeczy, że państwo, dążąc do tego celu, spełnia swój najpierwszy obowiązek; lecz każdy przyzna również, że działalność jego w tym kierunku nie powinna zbytnio szkodzić interesom społeczeńswa i jednostek.

Zdaje nam się, że kwestya, w jaki gdzie sposób pogodzono interesa jednostek i społeczeństwa z wymogami współczesnego militaryzmu, kwestya, kto ma być powołany w razie wojny do obrony ojczyzny, zasługuje na zbadanie.

Rezultat studyów swoich wyłożyliśmy krótko w pracy niniejszéj, którą ogłaszamy drukiem w przekonaniu, że przedmiot jéj powinien zainteresować każdego poważniéj myślącego człowieka.

P o w i n n o ś c i ą o r ę ż n ą nazywamy obowiązek należenia do siły zbrojnéj; termin ten odpowiada niemieckiemu *Wehrpflicht.* Nie należy utożsamiać go z p o w i n n o ś c i ą w o j s k o w ą, zwaną w Niemczech *Militärpflicht,* w Austryi *Stellungspflicht,* ta bowiem jest obowiązkiem stawania przed komisyą poborową celem uzyskania względem swojéj osoby stanowczego jéj orzeczenia w materyi poboru.

W głównych państwach lądu europejskiego powinność orężna jest p o w s z e c h n a i o s o b i s t a.

Wyraz p o w s z e c h n y w zastosowaniu do powinności orężnéj ma znaczenie ścieśnione. Jest ona powszechna tylko dla ludności męskiéj, znajdującéj się w pewnym wieku.

Granice wieku, w których na ludności męskiéj ciąży powinność orężna, są określone w rozpatrywanych prawodawstwach nie jednakowo.

W Rosyi poddany obowiązany jest należéć do siły zbrojnéj od najbliższego 1 października st. st. po skończeniu lat 20 aż do ukończenia lat 43. Rosyjscy zatém poddani należą do siły zbrojnéj przez czas nie jednakowo długi, zależnie od daty urodzenia, najkrócéj przez lat 22, najdłużéj przez lat 23.

W innych głównych państwach europejskich powinność orężna ciąży na każdym poddanym przez czas jednakowo długi, a mianowicie: w Niemczech przez lat 28, w Austro-Węgrzech przez lat 24, we Francyi przez lat 25, we Włoszech przez lat 20.

Najwcześniéj powinność orężna ciążyć zaczyna w Niemczech, mianowicie z chwilą ukończenia lat 17, najpóźniéj zaś w Rosyi, gdzie ci, którzy nie skończyli lat 20, a nawet ci, którzy nie skończyli lat 21, o ile urodzili się pomiędzy 1 października a 31 grudnia st. st., są bezwarunkowo wolni od obowiązku należenia do siły zbrojnéj.

Poddany przestaje należéć do siły zbrojnéj: we Włoszech—z końcem roku kalendarzowego, w którym skończył lat 39, w Austro-Węgrzech—z końcem roku kal., w którym skończył lat 42, w Rosyi — z chwilą ukończenia lat 43, w Niemczech—z chwilą ukończenia lat 45, we Francyi — od 1 listopada tego roku kal., w którym skończył lat 45. Przepisy wszakże powyższe obowiązują tylko podczas pokoju: podczas wojny, po ogłoszeniu ogólnéj mobilizacyi, poddany n i e p r z e s t a j e n a l e ż é ć d o s i ł y z b r o j n é j nawet po osiągnięciu wieku krańcowego, i nawet przechodzenie z jednéj kategoryi siły zbrojnéj do drugiéj (na-

przykład, z wojska do pospolitego ruszenia) zostaje wstrzymane. Jest to przepis, wspólny ustawom wszystkich państw tutaj rozpatrywanych.

Zważyć należy, że w Rosyi i w Niemczech od zasady, że powinność orężna jest powszechna, ustanowione są wyjątki nietylko ze względu na płeć i wiek: w obu tych państwach wypadło ustanowić pewne wyjątki od powyższéj zasady, a mianowicie: w Rosyi — ze względu na jéj obszar i różnorodny skład jéj ludności, któréj część jest bądź niepewna, bądź fizycznie lub umysłowo od natury upośledzona, w Niemczech zaś — ze względu na sposób, w jaki się to państwo uformowało.

W Rosyi zwolniona jest od powinności orężnéj, a zarazem i od powinności wojskowéj: cała ludność kraju Turkestańskiego, obwodu Nadmorskiego i Amurskiego i niektórych najbardziéj na północ wysuniętych okolic Syberyi; daléj, ludność tubylcza gubernii Astrachańskiéj i Stawropolskiéj, obwodu Turgajskiego, Uralskiego i Zakaspijskiego i całéj Syberyi; wreszcie, ludność muzułmańska obwodu Terskiego i Kubańskiego oraz Kaukazu Południowego, z wyjątkiem Osetyńców.

W Niemczech nie są obowiązani należéć do siły zbrojnéj członkowie domów panujących, tudzież członkowie domów medyatyzowanych, dawniéj niezależnych.

Powiedzieliśmy wyżéj, że obowiązek należenia do siły zbrojnéj jest nietylko powszechny, ale i o s o b i s t y. Charakter jego osobisty wyklucza możność wykupienia się lub dania zastępcy. Dopuszczalna w Rosyi i we Włoszech w pewnych wypadkach zamiana pomiędzy braćmi nie stanowi wyjątku od téj zasady, ponieważ zastąpiony nie przestaje należéć do siły zbrojnéj.

Ażeby módz skutecznie bronić ojczyzny z bronią w ręku, potrzeba się do tego przygotować za pomocą przesłużenia pewnego czasu pod chorągwią w czasie pokoju, czyli w a r m i i s t a ł é j.

Żołnierze téj armii po ukończeniu służby czynnéj przechodzą na pewien czas do r e z e r w y, a następnie do p o s p o l i t e g o r u s z e n i a.

Armia stała i rezerwa, razem wzięte, stanowią w o j s k o, któremu na morzu odpowiada marynarka.

We Francyi siła zbrojna lądowa składa się tylko z wojska; w innych głównych państwach istnieje nadto p o s p o l i t e r u s z e n i e.

Składa się ono nietylko z byłych rezerwistów, ale i z ludzi, zaliczonych doń bezpośrednio przy poborze. Nadto, w razie wojny, należy doń każdy poddany, nie zaliczony ani do wojska, ani do marynarki, w granicach wieku wyżéj wskazanych.

Oprócz rezerwy zwykłéj, istnieje w niektórych państwach pod różnemi nazwami rezerwa zapasowa, złożona wyłącznie z ludzi, zaliczonych do niéj wprost przy poborze. Stanowi ona część składową wojska, względnie marynarki.

Widzimy tedy, że powinność orężna nie jest dla wszystkich poddanych jednakowo uciążliwa.

Istotnie, jednych popisowych zaliczają przy poborze do armii stałéj, skąd przechodzą na czas pewien do rezerwy, a następnie do pospolitego ruszenia; innych zaliczają do rezerwy zapasowéj, skąd przechodzą do pospolitego ruszenia; inni, wreszcie, nie należą wcale do wojska, zaliczani są bowiem bezpośrednio do pospolitego ruszenia. Obowiązki tych ostatnich popisowych nie dają się przyrównać do obowiązków, jakie ciążą na popisowych pierwszéj kategoryi.

Tego rodzaju ulgi, przyznawane niektórym popisowym, sprzeciwiają się pojęciu równości wszystkich przed prawem; niemniéj ustanowione są we wszystkich rozpatrywanych państwach, chociaż nie w jednakowym zakresie.

Niejednakowa dla wszystkich uciążliwość powinności orężnéj (a mówimy tu, oczywiście, tylko o uciążliwości, płynącéj z saméj ustawy, niezależnie od położenia indywidualnego poszczególnych jednostek) wypływa z natury rzeczy i jest nieunikniona. Ustawa, któraby wymagała, iżby każdy poddany, doszedłszy do pewnego wieku, należał do armii stałéj przez czas pewien, dla wszystkich jednakowo długi, byłaby w praktyce niewykonalna, a nawet — niesprawiedliwa. Postaramy się to udowodnić.

Roczny kontyngens rekrutów, wcielany do armii stałéj, w zasadzie równa się ilorazowi z podzielenia cyfry armii stałéj, czyli tak zwanéj stopy pokojowéj armii, przez liczbę lat służby czynnéj. Jego wysokość zatém jest w stosunku prostym do wielkości stopy pokojowéj i odwrotnym do okresu służby czynnéj.

Ponieważ wszędzie liczba popisowych jest większa od kontyngensu rekrutów, który może być co rok wcielany do armii stałéj, przeto oczywistém jest, że pewna część popisowych musi być tak czy owak od obowiązku należenia do armii stałéj zwolniona. Nie chcąc tego uczynić, wypadłoby albo odpowiednio powiększyć stopę pokojową armii, albo téż odpowiednio skrócić okres służby pod chorągwią. W obecnych warunkach ekonomiczno-politycznych żadne z głównych państw europejskich nie może zastosować żadnego z tych środków w sposób odpowiedni, żadne z nich nie może ani zbytnio powiększyć stopy pokojowéj, ani téż zbytnio skrócić służby czynnéj: na pierwsze nie pozwala

obawa ruiny finansowéj, na drugie—konieczność należytego wyćwiczenia żołnierza.

Gdyby interes państwa polegał głównie na zachowaniu zasady równości wszystkich obywateli przed ustawą poborową, to rozstrzygnięcie pytania, kogo należy pobrać do wojska i marynarki, gdy wszystkich pobrać nie można, wypadłoby pozostawić losowi. Nikt wszakże nie zaprzeczy, że państwo powinno stawiać pewne interesa swoje i swych poddanych ponad ścisłe przestrzeganie powyższéj zasady, i dlatego trzeba uznać konieczność uwzględniania interesów państwa, społeczeństwa i jednostek przy udzielaniu ulg w zakresie wykonywania powinności orężnéj przez ludność, a odrzucić zasadę udzielania tychże ulg wyłącznie na podstawie ślepego trafu.

Wspomniane ulgi zasadzają się bądź na zwolnieniu od powinności orężnéj, bądź na zaliczeniu bezpośrednio do pospolitego ruszenia, bądź na zwolnieniu od służby czynnéj, bądź na skróceniu okresu służby czynnéj, bądź wreszcie na odroczeniu służby czynnéj, które jednak w pewnych razach bywa ciężarem. Ulgi te nie płyną z samego prawa: muszą być udzielone przez komisyę poborową.

Wiemy już, że siła zbrojna składa się z wojska i z pospolitego ruszenia. Komisya poborowa albo uwalnia popisowego od obowiązku należenia do siły zbrojnéj, albo téż zalicza go do jednego z tych dwu składników siły zbrojnéj.

Od powinności orężnéj zwalniają wszędzie jednostki niezdatne lub zniesławione, we Francyi wszakże tylko pierwsze [1]). Jednostki te zwalniane są bezwarunkowo. Oprócz nich zwalniają: w Rosyi, bezwarunkowo—duchownych wszystkich wyznań chrześciańskich i warunkowo — niektórych psałterzystów i organistów; we Francyi zaś — bardzo niewielu kolonistów, zamieszkałych w dalekich krajach, w których niema wojska francuskiego, i to jedynie na czas pokoju.

Obrona ojczyzny, a tém samém należenie do wojska, jest nietylko obowiązkiem, ale i zaszczytem, którego nie powinny dostąpić jednostki zniesławione.

---

[1]) We Francyi kategorya osób niegodnych nie jest pozbawiona prawa należenia do siły zbrojnéj; jednakże za karę uzupełnia tylko pewne specyalne oddziały wojska (kompanie dyscyplinarne i bataliony lekkiéj piechoty afrykańskiéj), które mają wzbroniony sobie pobyt na terytoryum Francyi europejskiéj. Francuski prawodawca wychodzi z założenia, że służba wojskowa jest bądź co bądź ciężarem, aczkolwiek przedewszystkiém jest zaszczytem, i że byłoby zatém rzeczą rażącą, gdyby popełnienie przestępstwa uwalniało kogokolwiek od tego ciężaru.

Z tego wychodząc założenia, wszystkie rozpatrywane tutaj prawodawstwa, z wyjątkiem francuskiego, pozbawiają tego rodzaju jednostki prawa należenia do siły zbrojnéj.

Rosyjska ustawa poborowa uważa za niegodnego należenia do siły zbrojnéj tego, kogo wyrok sądowy pozbawił wszystkich praw stanu, lub wszystkich szczególnych praw i przywilejów, do osoby lub do stanu przywiązanych.

Prawodawstwa innych państw zawierają przepis analogiczny.

Kategorya zniesławionych popisowych (ze względu na ich młody wiek) jest nieliczna: w 1895 r. we Francyi takich popisowych było 108, w Niemczech 1285. O wiele, oczywiście, liczniejszą jest kategorya popisowych, zwalnianych od powinności orężnéj z powodu braku odpowiedniego uzdolnienia fizycznego lub duchowego. Zwolnienia takiego wymaga zarówno interes wojska, jak i interes społeczeństwa: ludzie, niezdatni do służby wojskowéj, na inném polu mogą być pożyteczni, a dla wojska byliby tylko ciężarem To téż we wszystkich państwach od powinności orężnéj zwalniane są jednostki nieprzydatne do wojny z powodu niemocy fizycznéj lub duchowéj.

W kwestyi niezdatności do posług wojskowych nasuwa się samo przez się pytanie: czy istnieją pewne cechy d o d a t n i e, któreby można było uważać za dowód nieomylny zdatności do służby wojskowéj, pytanie wielkiéj doniosłości zarówno ze względu na konieczność udzielenia osobom, dopełniającym oględzin popisowych, pewnych wskazówek na doświadczeniu opartych, jak i ze względu na konieczność zabezpieczenia popisowych od samowoli i kaprysu komisyi poborowych.

Dawniéj, istotnie, uważano niektóre symptomata, jako to: wysoki wzrost, pewien stosunek pomiędzy wzrostem a wagą ciała, pewną objętość klatki piersiowéj i t. p., za nieomylny dowód zdatności do służby wojskowéj, lecz wszystkie takie cechy dodatnie okazały się zwodniczemi, skutkiem czego prawodawca współczesny poprzestaje zwykle: na określeniu wieku poborowego, na wskazaniu najmniejszego wzrostu i na wyliczeniu i opisaniu chorób i wad cielesnych, uwalniających od służby w wojsku w ogóle, lub tylko w pewnych jego rodzajach.

Zdatnym do służby wojskowéj może być tylko organizm, który się całkowicie rozwinął. Następuje to zwykle pomiędzy 23 a 26 rokiem życia; ponieważ wszakże służba wojskowa byłaby zanadto uciążliwa dla ludności, gdyby się zaczynała w tak późnym stosunkowo wieku, przeto wiek poborowy jest we wszystkich rozpatrywanych tutaj państwach o wiele niższy.

Ustanowienie téj lub innéj miary, jako *minimum* wzrostu wymaganego od rekrutów, zależy od średniego wzrostu ludności danego pań-

stwa i od stosunku liczebnego rocznego kontyngensu rekrutów do ogólnéj liczby popisowych nieuprzywilejowanych.

Co się tyczy wreszcie chorób i kalectw, uwalniających od służby wojskowéj lub od służby w pewnych rodzajach wojska, lista ich jest długa i z natury rzeczy wszędzie prawie jednobrzmiąca, aczkolwiek w każdém państwie według innego systemu ułożona.

Ponieważ obowiązek należenia do siły zbrojnéj w ogólności jest powszechny, więc i obowiązek należenia do wojska, jako jéj głównego składnika, powinien być powszechny. Jest on wszakże powszechny tylko we Francyi, w któréj niema pospolitego ruszenia, skutkiem czego wszyscy popisowi, z wyjątkiem wymienionych wyżéj, zaliczani są do wojska. W innych państwach istnieją wyjątki od powyższéj zasady; najmniéj wyjątków ustanowiono w Austro-Węgrzech, drugie miejsce zajmują Niemcy; najwięcéj wyjątków widzimy we Włoszech, a zwłaszcza w Rosyi.

W Austro-Węgrzech zaliczani są bezpośrednio do pospolitego ruszenia tylko popisowi mniéj zdatni do służby wojskowéj, mianowicie niezdatni do służby pod bronią (*waffenunfähig*), w Niemczech zaś, oprócz popisowych mniéj zdatnych — i tacy zupełnie zdatni do służby wojskowéj popisowi, których praca jest niezbędna dla utrzymania ich rodziny, lub którzy wskutek zaliczenia ich do wojska na zbyt wielkie straty materyalne byliby narażeni.

We Włoszech kategorya zwalnianych od służby wojskowéj jest o wiele liczniejsza. Do téj ulgi mają prawo tak podczas pokoju, jak w czasie wojny, popisowi, których obecność w domu dla utrzymania rodziny jest według ustawy niezbędna, lub którzy przez innych zostali zastąpieni.

W Rosyi kategorya takich uprzywilejowanych popisowych jest jeszcze liczniejsza, bo ustawa jeszcze bardziéj uwzględnia interes rodzin: stanowią oni połowę ogólnéj liczby młodzieńców, stawających do poboru.

Oprócz popisowych, zasługujących na ulgę ze względów familijnych, zaliczani są do pospolitego ruszenia w Rosyi i we Włoszech tacy popisowi, którzy, będąc pobranymi do wojska lub służąc w wojsku, przez innych dobrowolnie zastąpieni zostali.

Nie jest to wyjątek od zasady, że powinność orężna jest osobista, gdyż zastąpiony nie zostaje od téj powinności zwolniony; zważywszy wszakże, że jéj kwintesencyę stanowi służba wojskowa, od któréj zastąpiony dzięki zamianie zostaje uwolniony, przyjść należy do wniosku,

że zamiana taka tylko w rzadkich wypadkach powinna mieć miejsce. Tak też postąpił prawodawca zarówno w Rosyi jak i we Włoszech.

W Rosyi zamiana dozwolona jest, za zgodą zobopólną, pomiędzy dwoma braćmi rodzonymi, przyrodnimi, lub w czwartym stopniu pokrewieństwa pomiędzy sobą zostającymi, z których jeden zaliczony został do wojska, lub już się w służbie czynnéj znajduje, drugi zaś nie staje do poboru, nie należy do rezerwy i liczy co najmniéj lat 21, a co najwyżéj 26. Zastępca obowiązany jest przesłużyć pod chorągwią i w rezerwie cały czas ustawą przepisany, zastąpiony zaś przechodzi do pospolitego ruszenia. Zastępstwo pomiędzy żydami jest niedopuszczalne.

We Włoszech zamiana jest dozwolona tylko pomiędzy braćmi rodzonymi lub przyrodnimi.

Mówiliśmy wyżéj o popisowych, zwalnianych od służby w wojsku. Nie wszyscy wszakże popisowi, zaliczeni do wojska, służą w armii stałéj, i następna z kolei ulga polega zatém na zwolnieniu od służby czynnéj, a mianowicie na zaliczeniu bezpośredniém bądź do rezerwy zwykłéj, bądź do rezerwy zapasowéj.

Bezpośrednio do rezerwy (t. j. do zwykłéj rezerwy) zaliczają tylko w Rosyi W innych państwach uldze téj odpowiada zaliczenie do rezerwy zapasowéj, skutkiem czego rezerwa składa się tam wyłącznie z wyćwiczonych żołnierzy.

W Rosyi zaliczani są wprost do rezerwy, w razie wylosowania nizkiego numeru, popisowi, posiadający stopień doktora medycyny lub lekarza, magistra farmacyi, magistra weterynaryi lub weterynarza, o ile nie ukończyli zakładu naukowego, do służby w wydziale wojny obowiązującego; daléj, pensyonarze Cesarskiéj Akademii Sztuk Pięknych, wysłani zagranicę dla dalszych studyów na koszt skarbu; nauczyciele, etatowi guwernerowie i etatowi ich pomocnicy we wszystkich rządowych zakładach i niektórych innych; wreszcie, inspektorowie seminaryów i szkół duchownych.

We Francyi zaliczają do rezerwy zapasowéj popisowych, którzy nie trzymają minimalnéj miary wzrostu, lub do służby pod bronią nie są zdatni, aczkolwiek za zupełnie niezdatnych nie mogą być uznani; we Włoszech zdatnych zupełnie popisowych, a nie mających prawa do wyższéj ulgi, którzy wylosowali wysoki numer; wreszcie, w Niemczech i w Austro-Węgrzech znacznie więcéj popisowych, niż gdzieindziéj, jest to bowiem najbardziéj rozpowszechniona w tych państwach ulga.

Zaliczenie do rezerwy jest ulgą tylko w czasie pokoju. W razie wojny, położenie rezerwistów zapasowych jest o tyle tylko dogodniej-

sze, niż położenie zwykłych rezerwistów, że nie odrazu przenoszeni są na teatr wojny, formują z nich bowiem w zasadzie tylko oddziały zapasowe, zapełniające luki w oddziałach walczących, i tylko wyjątkowo użyci będą do zmobilizowania oddziałów walczących. Jedynie francuscy rezerwiści zapasowi tudzież niemieccy, zaliczeni do rezerwy zapasowéj, począwszy od 1893 roku, przeznaczeni są do rozmaitych gałęzi służby pomocniczéj (na kolejach, w składach, piekarniach i t. d.).

Dodajmy, że w razie wojny nie wszyscy rezerwiści obowiązani są stawić się pod chorągiew: we wszystkich państwach piastowanie pewnych urzędów uwalnia od tego obowiązku.

Popisowi, którym komisya poborowa nie udzieliła żadnéj z ulg wyżéj omówionych, zaliczani są do armii stałéj. Lecz i ta kategorya nie jest jednolita, i tu są jednostki uprzywilejowane, mianowicie jednostki służące pod chorągwią krócéj od innych.

Skrócone okresy służby czynnéj są ustanowione: 1) dla niektórych rekrutów—we wszystkich państwach, z wyjątkiem Włoch, 2) dla ochotników uprzywilejowanych — we wszystkich państwach, w których instytucya ta istnieje.

We wszystkich państwach zaliczają do wojska, oprócz rekrutów, młodzieńców, dobrowolnie zaciągających się pod chorągiew. Ochotnicy tacy dzielą się na zwyczajnych i uprzywilejowanych.

Ochotnicy zwyczajni dlatego się tak nazywają, że pod względem obowiązków nie różnią się wcale od rekrutów.

Kategorya ta w Rosyi jest bardzo nieliczna, ponieważ od ochotników zwyczajnych wymaga się w Rosyi 21 lat skończonych, a do poboru stają młodzieńcy, którzy skończyli lat 20, skutkiem czego w charakterze ochotnika zwyczajnego może się zaciągnąć tylko ten, który do wojska nie jest obowiązany należéć, a więc, naprzykład, popisowy zaliczony do pospolitego ruszenia. Przeciwnie, w Niemczech i w Austro-Węgrzech, gdzie można zaciągać się już po skończeniu lat 17, we Francyi i we Włoszech, gdzie od zaciągających się dobrowolnie na warunkach rekrutów wymaga się skończonych lat 18, kategorya ochotników zwyczajnych jest stosunkowo bardzo liczna, możność bowiem wcześniejszego odsłużenia czasu obowiązkowego pod chorągwią nęci niejednego.

Instytucya ochotników uprzywilejowanych ma na celu: z jednéj strony ułatwić wykształconéj młodzieży wypełnienie obowiązku służby wojskowéj, z drugiéj —wytworzyć dostateczny zasób niższych oficerów, lekarzy, weterynarzy i farmaceutów wojskowych, niezbędny dla postawienia armii na stopie wojny. Instytucya ta istnieje

we wszystkich państwach, z wyjątkiem Francyi. Wszędzie ochotnicy uprzywilejowani mogą wybrać sobie z pewnemi zastrzeżeniami rodzaj broni i pułku.

W Rosyi skrócone okresy służby czynnéj są ustanowione dla rekrutów, posiadających pewne, nawet nieznaczne wykształcenie szkolne. Każdy zakład naukowy, wymieniony w dodatku do art. 53 ustawy o powinności orężnéj, daje pewne prerogatywy w tym względzie. I tak młodzieńcy, którzy ukończyli zakład naukowy I-go lub II-go rzędu, sześć klas gimnazyum lub szkoły realnéj, lub drugą klasę seminaryum duchownego, pozostają w służbie czynnéj 2 lata (zamiast obowiązkowych pięciu); ci, którzy skończyli zakład III-go rzędu, służą 3 lata; ci wreszcie, którzy skończyli szkółkę elementarną lub inny zakład IV-go rzędu, pozostają w służbie czynnéj 4 lata.

W charakterze ochotników uprzywilejowanych mogą zaciągać się tylko: 1) młodzieńcy, którzy w razie zaciągu przymusowego mieliby prawo do służby dwuletniéj (I kategorya ochotników) i 2) tacy, którzy zdali specyalny egzamin, według programu odpowiadającego mniéj więcéj kursowi czterech klas gimnazyum (II kategorya ochotników). Oprócz tego, ochotnik winien odpowiadać przepisanym warunkom budowy fizycznéj i zdrowia i liczyć co najmniéj lat 17, a w razie niepełnoletności złożyć zezwolenie rodziców lub opiekunów. Nie mogą zaciągać się w charakterze ochotników uprzywilejowanych młodzieńcy, znajdujący się pod śledztwem lub sądem, skazani na karę połączoną z pozbawieniem prawa do służby rządowéj, lub uznani przez sąd za winnych kradzieży lub oszustwa. Ochotnicy, wstępujący do gwardyi i jazdy liniowéj, muszą, a pozostali mogą utrzymywać się własnym kosztem. Ulga polega na tém, że ochotnicy I kategoryi służą pod chorągwią jeden rok, ochotnicy II kategoryi i ochotnicy marynarki (do któréj przyjmują tylko tych, którzy ukończyli wyższy zakład naukowy) dwa lata; do rezerwy wszyscy ochotnicy należą przez dwanaście lat, a zatém ogółem należą do wojska przez lat 13 lub 14, czyli o 5, względnie 4 lata krócéj od rekrutów. W innych państwach ochotnicy należą do wojska przez tyleż lat, co i rekruci, tylko zostają pod chorągwią krócéj.

W Niemczech nauczyciele szkół ludowych i kandydaci na ten urząd egzaminowani są przenoszeni do rezerwy już po 10 tygodniach pobytu pod chorągwią. Jeżeli jednak taki osobnik porzuci zawód, lub złożony zostanie z urzędu nauczyciela ludowego przed upływem roku, w którym kończy lat 25, to władza wojskowa może go powołać do odsłużenia reszty czasu (w Niemczech służba czynna wynosi: w wojsku pieszém dwa lata, w konném trzy). Następnie, jeden rok tylko obo-

wiązani są przesłużyć pod chorągwią ochotnicy uprzywilejowani, zwani tam dlatego jednorocznymi.

W Austro-Węgrzech służą jeden rok pod chorągwią wszyscy młodzieńcy, którzy przed 1 marca roku poborowego skończyli średni zakład naukowy, albo zdali egzamin przed komisyą wojskową: zaciąg dobrowolny nie jest konieczny. Wszyscy tacy młodzieńcy noszą nazwę ochotników jednorocznych, chociażby pochodzili z zaciągu przymusowego.

We Francyi wszyscy popisowi, mający prawo do skróconéj służby czynnéj, oraz tacy, którzy mogą być od niéj zwolnieni, noszą miano *dispensés* i dzielą się na cztery kategorye:

1) tacy, którzy nie służą wcale pod chorągwią (patrz o nich wyżéj).

2) którzy służą jeden rok pod chorągwią,

3) którzy służą rok i cztery tygodnie,

4) którzy służą dwa lata (we Francyi obowiązuje trzyletnia służba czynna).

Prawo do służby jednorocznéj przysługuje: 1) uprzywilejowanym z samego prawa popisowym (*soutiens légaux de famille)* i 2) popisowym, stanowiącym niezbędną podporę swéj rodziny (*soutiens effectifs de famille).* Różnica pomiędzy temi dwiema kategoryami polega na tém, że na rzecz popisowych pierwszéj kategoryi ustanowione jest domniemanie prawne, iż są podporą swoich rodzin, domniemanie, które może być obalone tylko na skutek skargi tychże rodzin, podczas gdy popisowi drugiéj kategoryi muszą udowodnić, że są istotnie podporą swéj rodziny, t. j. rodziny, do któréj należą, nie zaś téj, którą sami założyli (takie same stanowisko zajmują ustawy poborowe innych państw).

Rok i cztery miesiące obowiązani są przesłużyć popisowi, wymienieni w artykule 23 ustawy, jako to: nauczyciele publicznych zakładów naukowych, którzy zobowiązali się do służby dziesięcioletniéj w tych zakładach, studenci czterech fakultetów i innych wyższych zakładów naukowych w kraju i t. p. Tego rodzaju popisowi utracają prawo do ulgi w razie nieuczynienia zadość wymaganiom, wskazanym w tymże artykule 23-m, naprzykład, nauczyciele, jeżeli w ciągu pierwszego roku, po odsłużeniu jednego roku pod chorągwią, nie otrzymają posady nauczycielskiéj, lub ją utracą; studenci, jeżeli w roku kalendarzowym, w którym kończą lat 27, nie otrzymają patentu; seminarzyści, jeżeli przed tym terminem nie zostaną wyświęceni — i t. d. Tego rodzaju popisowi są powoływani pod chorągiew na 4 tygodnie w ciągu roku poprzedzającego ich przeniesienie do rezerwy (służą czynnie rok, dwa lata zaś są na urlopie), służą zatém rok i cztery tygodnie.

Wreszcie, dwa lata służą wojskowi, którym dowódzcy oddziałów samoistnych władni są udzielić urlopu, jako niezbędnym podporom swoich rodzin, po dwu latach służby czynnéj.

We Włoszech skrócone okresy służby czynnéj są ustanowione tylko, jak rzekliśmy, na rzecz ochotników uprzywilejowanych.

Pozostała do omówienia jeszcze jedna ulga w zakresie wykonywania powinności orężnéj, mianowicie odroczenie poboru.

Odroczenie poboru, jak wiemy, może być albo ulgą albo ciężarem, a mianowicie zależnie od tego, czy będzie udzielone na skutek wyrażonego życzenia, czy téż zurzędu, bez względu na życzenie popisowego, wyłącznie w interesie siły zbrojnéj.

W tym ostatnim wypadku popisowy nie kwalifikuje się do wojska, mimo to nie zostaje zwolniony od służby, a przynajmniéj od służby czynnéj, i zmuszony jest stanąć jeszcze raz do poboru.

Przeciwnie, w pierwszym wypadku popisowy mógłby być wzięty do wojska odrazu, w pierwszym roku swéj powinności wojskowéj, odraczają mu wszakże czynną służbę w jego własnym interesie, na skutek objawionego życzenia. Odroczenie poboru, jako ulga, jest często udzielane odrazu na dwa lub więcéj lat; jako ciężar, jest udzielane za każdym razem tylko na rok.

Odraczają pobór we wszystkich państwach z powodu niedostatecznego rozwinięcia fizycznego. Wobec wczesnego powoływania ludności do poboru, staje się rzeczą niemożliwą pobrać potrzebną ilość rekrutów śród popisowych nieuprzywilejowanych jednéj klasy wieku, i dla tego popisowi, co do których można mieć nadzieję, że w najbliższéj przyszłości staną się zdatnymi do służby wojskowéj, otrzymują odroczenie. We wszystkich państwach odraczają pobór z tego powodu dwukrotnie, za każdym razem na przeciąg jednego roku. Odroczenie poboru z téj zasady nie jest, oczywiście, ulgą, lecz ciężarem, popisowy bowiem pozostaje w niepewności i musi wykonać po raz wtóry lub trzeci w całości lub w części powinność wojskową, bynajmniéj nie we własnym interesie.

Ustawa rosyjska odracza pobór popisowym, którzy jeszcze nie zmężnieli o tyle, aby módz służyć w wojsku; popisowym, dotkniętym chorobą, która nie uwalnia od służby wojskowéj; wreszcie popisowym, którzy jeszcze nie powrócili do sił po niedawno przebytéj chorobie, lub którym do wzrostu minimalnego brakuje 1 werszka lub mniéj.

Odroczenie poboru w charakterze ulgi ustawa rosyjska zapewnia w razie wyrażonego życzenia:

1) tym, którzy zarządzają osobiście majątkiem ziemskim, nieruchomością miejską, zakładem handlowym, fabrycznym, lub przemysłowym — dla uregulowania spraw majątkowych;

2) wychowańcom zakładów naukowych I i II rzędu—dla dokończenia edukacyi, wreszcie

3) osobom, które na podstawie kontraktu służą na rosyjskich okrętach handlowych.

Odroczenie, udzielane dla względów majątkowych, nie może przenosić lat dwu.

Odroczenie dla względów edukacyjnych jest udzielane na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu, zależnie od rodzaju zakładu naukowego: najkrótsze dla ukończenia gimnazyum — do 22 roku życia włącznie, najdłuższe dla ukończenia uniwersytetu — do 27 i dla ukończenia akademii duchownéj — do 28 roku.

Wreszcie dla popisowych, którzy służą w marynarce handlowéj, służba wojskowa może być odroczona najwyżéj do ukończenia lat 25, lecz każde dwa lata, spędzone na okręcie, skracają o jeden rok czas należenia do rezerwy (w marynarce rosyjskiéj służba czynna trwa lat 7, a do rezerwy należy się przez lat 3).

W Niemczech, celem powiększenia środowiska, z którego wybiera się rekrutów, odraczają pobór bardzo licznéj rzeszy popisowych, a mianowicie:

1) z powodu czasowego istnienia przyczyn, pozbawiających poddanego prawa należenia do siły zbrojnéj,

2) z powodu czasowéj niezdatności,

3) z powodu stosunków rodzinnych (popisowym, którzy w Rosyi byliby odrazu zaliczeni do pospolitego ruszenia),

4) z powodu nadmiaru zdatnych popisowych,

5) dla ukończenia edukacyi.

To ostatnie jest udzielane na zasadzie posiadania świadectwa, uprawniającego do służby jednorocznéj w charakterze ochotnika. Młodzieńcy, posiadający takie świadectwo, otrzymują w pierwszym roku swéj powinności wojskowéj jednorazowo odroczenie poboru na lat trzy, mianowicie do 1 października tego roku, w którym kończą lat 23. Następnie, młodzieńcy tacy mogą uzyskiwać co rok odroczenie poboru do następnego roku aż do 1 października siódmego roku swéj powinności wojskowéj, t. j. tego roku, w którym kończą lat 26.

W Austro-Węgrzech odraczają pobór wszystkim popisowym dwu ostatnich klas wieku, którzy do wojska nie zostali zaliczeni, z wyjątkiem zakwalifikowanych do pospolitego ruszenia i zwolnionych od obowiązku do należenia siły zbrojnéj, jako zupełnie niezdatnych. Tym

sposobem obowiązek stawienia się po raz wtóry lub trzeci do poboru ciąży w Austro-Węgrzech na znacznie większéj liczbie jednostek, aniżeli w jakiémkolwiek inném państwie.

Odroczenie, jako ulga, jest udzielane tylko młodzieńcom mającym prawo do służby jednorocznéj i zaliczonym do wojska (*assentiert*). Młodzieńcy tacy obowiązani są w zasadzie wstąpić do wojska w tym roku, w którym doń zaliczeni zostali, mogą wszakże, po złożeniu dowodu pobierania nauk w wyższym zakładzie naukowym, odroczyć swą służbę czynną na rok, dwa lub trzy lata, t. j. najdaléj do 1 października tego roku, w którym kończą lat 24.

We Francyi udzielają odroczenia tylko dla względów fizycznych, dwukrotnie, za każdym razem na przeciąg jednego roku.

W ustawie włoskiéj oprócz przepisu analogicznego znajdujemy inny, według którego otrzymują odroczenie poboru aż do 26 roku życia ochotnicy jednoroczni, uczęszczający do uniwersytetu lub wyższéj szkoły technicznéj, albo handlowéj, oraz tacy, dla których przerwanie studyów lub nauki dla służby wojskowéj byłoby zbyt wielką krzywdą, lub którzy są niezbędnie potrzebni do kierowania gospodarstwem rolném, zakładem przemysłowym lub przedsiębiorstwem handlowém, należącém do nich lub do ich rodziny.

Następnie ulga ta jest udzielana studentom uniwersytetów i tym podobnych zakładów naukowych, zaliczonym do armii stałéj w charakterze rekrutów; jest ona udzielana, na skutek ich prośby, z upoważnienia ministra wojny, aż do ukończenia lat 26, względnie do chwili ukończenia zakładu lub wystąpienia zeń przed skończeniem, o tyle wszakże, o ile należeli co najmniéj przez rok do jednego z towarzystw strzeleckich.

Chcąc mieć dokładne wyobrażenie o pewnym przedmiocie, należy go badać z kilku stron.

Badając charakter powinności orężnéj na jéj współczesnym stopniu rozwoju, omówiliśmy zosobna każdą ulgę w zakresie wykonywania powinności téj w głównych państwach lądu europejskiego, t. j. wskazaliśmy, jakie kategorye popisowych korzystają w tych państwach z każdéj ulgi zosobna. Chcąc jeszcze oświetlić ten sam przedmiot z innéj strony, należałoby odpowiedzieć na pytanie, jakie ulgi ustanowione są w rozmaitych państwach na rzecz jednych i tych samych kategoryi popisowych, ażeby czytelnik mógł jaśniéj zdać sobie sprawę z tego, w jaki sposób zostały uwzględnione w rozmaitych państwach interesa poszczególnych jednostek i całego społeczeństwa. Szczupłe ramy ni-

niejszego artykułu pozwalają nam przyjrzéć się tylko ulgom, ustanowionym przez wzgląd na interes rodzin.

Ulgi takie mają niewątpliwie największą racyę bytu po ulgach ze względów fizycznych. Aczkolwiek armia stała traci przez to pewną liczbę rekrutów, to jednak korzyść, którą państwo osiągnęłoby przez pobranie tych jednostek do armii stałéj, nie mogłaby wynagrodzić strat materyalnych, któreby poniosło państwo i społeczeństwo wskutek ruiny materyalnéj rodzin rzeczonych jednostek i wydatków na wsparcie dla tychże rodzin.

We wszystkich państwach prawo do ulgi przysługuje jedynemu zdolnemu do pracy mężczyźnie, należącemu do rodziny, a więc: jedynemu zdolnemu do pracy synowi, którego matka jest wdową, lub ojciec jest do pracy niezdolny, a gdy rodzice nie żyją — jedynemu zdolnemu do pracy wnukowi, którego babka jest wdową, lub dziadek jest do pracy niezdolny, i jedynemu zdolnemu do pracy bratu, opiekującemu się pozostałém rodzeństwem. Lecz ta wspólna wszystkim ustawom zasada jest stosowana w rozmaitych państwach rozmaicie. W Niemczech i w Austro-Węgrzech a po części we Francyi ulgi udzielane są tylko członkom rodzin, rzeczywiście potrzebujących pomocy; jasną jest rzeczą, że liczba popisowych, korzystających z ulgi, wahać się musi zależnie od zapatrywania się władz na położenie materyalne rodzin zainteresowanych; przeciwnie, w Rosyi, we Włoszech i po części we Francyi ulga udzielana jest na podstawie pewnego składu rodziny, niezależnie od tego, czy ta może utrzymywać się bez pomocy ze strony popisowego, czy nie. Następnie, w rozmaitych ustawach wyrazy: zdolny do pracy i rodzina są rozmaicie pojmowane. We Francyi i we Włoszech uważani są za niezdolnych do pracy mężczyźni, którzy skończyli lat 69, w Rosyi mężczyźni, którzy skończyli lat 55; w Niemczech i Austro-Węgrzech jedni i drudzy mogą być uznani za zdolnych do pracy, bo tego rodzaju domniemanie prawne jest obce ustawom tych dwu państw. Podobnież, gdy idzie o przyznanie ulgi, inne osoby wyłączane są ze składu rodziny w Rosyi, inne we Włoszech i t. d.

Daléj ulga jest ustanowiona w Rosyi, we Francyi i we Włoszech na rzecz rodzin, których jeden lub kilku członków znajduje się pod chorągwią. Następnie, w Rosyi i we Włoszech prawo do ulgi przysługuje jedynakowi, tudzież jedynemu zdolnemu do pracy synowi, gdy ojciec jest także zdolny do pracy; w tym razie ustawa rosyjska poczytuje za niezdolnych do pracy synów, którzy nie skończyli lat 18, włoska zaś synów, którzy nie skończyli lat 12. Daléj, we Francyi prawo do ulgi przysługuje najstarszemu lub jedynemu synowi w rodzinie, liczącéj co najmniéj siedmioro dzieci, w Austro-Węgrzech—w braku synów, jedy-

nemu zięciowi niezdolnego do pracy ojca lub matki wdowy, o ile takowy nie znajdował się w położeniu, zapewniającém mu tę ulgę, już przy wstępowaniu w związki małżeńskie.

Ulgi są ustanowione w zasadzie tylko na rzecz dzieci prawych lub uprawnionych przez małżeństwo ich rodziców.

Położenie dzieci naturalnych i przysposobionych tudzież pasierbów i braci przyrodnich w różnych państwach wobec powinności orężnéj jest mniéj dogodne. Dla przykładu weźmy ustawę rosyjską.

W Rosyi syn naturalny posiada prawo do ulgi, jeżeli rzeczywiście utrzymuje ze swéj pracy matkę, nie mającą innego zdolnego do pracy syna, siostrę, lub niezdolnego do pracy brata. Tak więc dzieci naturalne nie korzystają z domniemania prawnego, ustanowionego na rzecz dzieci prawych.

Dzieci przysposobione należą w Cesarstwie do rodziny osoby, która je przysposobiła, o ile zostały przysposobione przed skończeniem lat 10. W Królestwie, w myśl kodeksu polskiego z 1825 r., przysposobienie nie może mieć miejsca przed pełnoletnością mającego być przysposobionym; dlatego u nas istnieje przepis specyalny o udzielaniu ulgi na skutek przysposobienia. Przepis ten głosi, że podrzutki i sieroty zupełne, wzięte w opiekę dobrowolną przed osiągnięciem lat 10, otrzymują odroczenie poboru na lat dwa, ażeby mogły być przysposobione. Po upływie tego czasu, przysposobieni nabywają prawo do ulgi ze względu na skład rodziny, a nieprzysposobieni zaliczani są do armii stałéj, o ile, oczywiście, nie wylosowali wysokiego numeru.

Pasierb wreszcie należy do rodziny swego ojczyma lub macochy, dopóki żyje jego matka lub ojciec; pasierb, który utracił oboje rodziców, korzysta z ulgi, gdy ojczym lub macocha oświadczy, że takowy rzeczywiście opiekuje się ich rodziną, o ile wszakże ta ostatnia nie posiada w swym składzie zdolnego do pracy mężczyzny; wreszcie, rodzeństwo przyrodnie stanowi jedną rodzinę, gdy żadne z nich nie posiada swoich rodziców.

Widzieliśmy już, że uprzywilejowani dla względów rodzinnych popisowi nie korzystają we wszystkich państwach z jednakowéj ulgi, zaliczają ich bowiem: w Rosyi i we Włoszech do pospolitego ruszenia, w Niemczech i w Austro-Węgrzech do rezerwy zapasowéj (w Niemczech wyjątkowo i do pospolitego ruszenia), wreszcie we Francyi na rok do armii stałéj. Tak więc ulga pod każdym względem jest największa w Rosyi i we Włoszech; w Niemczech i w Austro-Węgrzech uprzywilejowani dla względów rodzinnych popisowi tylko podczas pokoju nie pełnią służby czynnéj (z wyjątkiem okresów ćwiczeń), gdy we

Francyi nawet w czasie pokoju obowiązani są odsłużyć rok pod chorągwią.

Wszystkie inne ulgi posiadają znaczenie drugorzędne, ponieważ stają się udziałem niewielkiéj liczby popisowych i polegają przeważnie na odroczeniu poboru i skróconych okresach służby czynnéj.

Wyłożyliśmy wyżéj powody, z których powinność orężna nie może być dla wszystkich poddanych jednakowo uciążliwa. Ażeby złagodzić to złe konieczne, prawodawcy austryacko-węgierscy i francuscy ustanowili specyalny p o d a t e k w o j s k o w y i do płacenia go pociągnęli tych wszyskich, którzy dla jakichbądź powodów powinności orężnéj wcale, lub przynajmniéj w pewnym jéj zakresie nie spełnili.

W Austro-Węgrzech podatek wojskowy *(die Militär-Taxe)* pod względem wysokości jest podzielony na klasy, których w Austryi jest 14, na Węgrzech 12. Najniższa taksa wynosi w Austryi 1 gulden, na Węgrzech 3 guldeny, najwyższa 100 guldenów rocznie.

Podatek wojskowy ciąży:

1) na popisowych, którzy z powodu niezdatności nie zostali do wojska zaliczeni;

2) na tych, którzy z powodu niezdatności od należenia do wojska zostali zwolnieni, o ile przyczyną niezdatności nie było pełnienie obowiązków służby wojskowéj;

3) na tych, którzy przed upływem obowiązkowéj dwunastoletniéj służby wojskowéj wyemigrowali.

Dochód z podatku wojskowego wynosi rocznie około 4 milionów guldenów (w Austryi 1.3, na Węgrzech 2.7). Z téj sumy dołącza się 2 miliony (w Austryi 1,171,465, na Węgrzech 828,535 guldenów) do tak zwanego funduszu taksy wojskowéj *(Militärtax-Fonds)*, przeznaczonego do polepszania bytu inwalidów i wspiérania wdów i siérot po wojskowych, którzy polegli w obliczu nieprzyjaciela, lub zmarli wskutek trudów wojennych. Fundusz ten wynosi obecnie około 34 milionów guldenów. Reszta stanowi dochód państwowy; za to ciąży na państwie obowiązek troszczenia się o rodziny wojskowych nieczynnych i pospolitaków, powołanych przy mobilizacyi do służby czynnéj.

Francuska taksa wojskowa *(la taxe militaire)* składa się z trzech elementów:

1) z podatku pogłównego, jednakowego dla wszystkich *(taxe fixe)*;

2) z podatku, ustosunkowanego do środków opodatkowanego *(taxe proportionnelle)*;

3) z podatku dodatkowego, ustosunkowanego do środków rodziny opodatkowanego *(taxe additionnelle)*.

Do tego dochodzi opłata na koszta ściągania i administracyę w ilości 8%.

Taksa pogłówna jest stała i wynosi 6 franków.

Taksa proporcyonalna równa się podatkowi od osoby i ruchomości, przypadającemu od kontrybuenta podatku wojskowego.

Taksa dodatkowa równa się ilorazowi z podzielenia podatku od osoby i ruchomości, przypadającego od wstępnego najbliższego i najbardziéj opodatkowanego, przez liczbę dzieci żyjących lub reprezentowanych; czynność tę powtarza się dwukrotnie, jeżeli kontrybuent posiada tylko wstępnych drugiego stopnia.

Do utworzonéj w ten sposób sumy dodaje się 5% na administracyę, a od téj dopiéro sumy oblicza się pozostałe 3% na koszta ściągania.

Podatek wojskowy we Francyi jest ustosunkowany nietylko do zamożności kontrybuenta, ale i do czasu, jaki ten ostatni przesłużył pod chorągwią. W tym celu podatek ten jest podzielony na 36 części, odpowiednio do normalnéj 36 miesięcznéj służby czynnéj, i każdy całkowity miesiąc, spędzony pod chorągwią, pociąga za sobą zmniejszenie podatku o $^1/_{36}$. Na poczet trzyletniéj służby czynnéj, uwalniającéj od podatku, zarachowywany jest czas, spędzony przez kontrybuenta pod chorągwią z jakiegokolwiekbądź powodu i w jakimkolwiekbądź roku służby wojskowéj, byle nie z powodu ćwiczeń, tak, iż te trzy lata mogą stanowić okres przerywany.

Podatek wojskowy ciąży na kontrybuencie aż do zaliczenia jego klasy wieku do rezerwy armii terytoryalnéj, czyli w zasadzie przez lat 19. W razie mobilizacyi ogólnéj ściąganie taksy zostaje zawieszone; obowiązek płacenia jéj ciąży w dalszym ciągu tylko na tych, którzy nie stawili się pod chorągiew, na dezerterach i na zwolnionych od powinności orężnéj z powodu niezdatności.

Podatek wojskowy ustanowiony został we Francyi w r. 1889-ym (w Austro-Węgrzech w r. 1880). Przypuszczalną liczbę kontrybuentów podawano wtedy na 142,000, a przeciętną wysokość taksy rocznéj na 12 franków; iloczyn tych dwu liczb, wynoszący 1,704,000 franków wypada zmniejszyć o część, przypadającą od ubogich.

Kwestyę, kto ma płacić podatek wojskowy, rozstrzygnięto we Francyi inaczéj, aniżeli w Austro-Węgrzech.

W tém ostatniém państwie podatek płaci każdy, kto nie należał przez lat 12 do wojska, we Francyi zaś każdy, kto nie przesłużył 3 lat pod chorągwią. Z tego wynika, że w obu państwach istnieje jedna tylko wspólna kategorya opodatkowanych, mianowicie kategorya popisowych, nie zaliczonych do wojska z powodu niezdatności. Po za tém,

inne kategorye poddanych płacą podatek wojskowy w Austro-Węgrzech, inne we Francyi.

Podatek wojskowy jest znany także i w Rosyi, ma on tu jednak odrębny charakter i niewielkie zastosowanie.

Podatek wojskowy w znaczeniu francuskiéj lub austryacko-węgierskiéj „taksy wojskowéj” istnieje tylko w niektórych wojskach kozackich. Płacą go kozacy niezdatni do służby wojskowéj, i jedynie w wojsku Uralskiém podatek wojskowy płacą wszyscy kozacy kategoryi polowéj, nie znajdujący się pod chorągwią, chociażby sami już odsłużyli swój czas w szeregach pułków czynnych. Podatek ten wynosi od 50 do 55 rs. rocznie od osoby.

Istnieje jeszcze w Rosyi inny rodzaj podatku wojskowego: podatek, ustanowiony wzamian powinności orężnéj. Płaci go część ludności, zwolnionéj przez ustawę od powinności orężnéj, mianowicie ludność tubylcza gub. Stawropolskiéj i muzułmańska obwodu Terskiego i Kubańskiego i Kaukazu południowego (z wyjątkiem Osetyńców), oraz niektóre inne plemiona.

W każdéj gubernii, względnie w każdym obwodzie, musi być co rok ściągnięta pewna suma, wskazana w ustawie: np. w obwodzie Czarnomorskim 400 rs., w obwodzie Terskim 38,000 rs., w gubernii Elizawetpolskiéj 140,000 rs. Ogólna suma podatku wojskowego wynosi 543,440 rs.

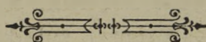
Przypadającą na gubernię lub obwód sumę, rozdziela pomiędzy gromady wiejskie i nie należące do nich jednostki komisya, złożona z członków, mianowanych przez naczelnika wydziału cywilnego na Kaukazie i ministra finansów, oraz z mieszkańców, zaproszonych przez naczelnika gubernii lub obwodu. Dokonany przez nią rozkład musi być zatwierdzony przez naczelnika wydziału cywilnego na Kaukazie, który takie rozpatruje podane w tym przedmiocie skargi i prośby.

Tak się przedstawia w najogólniejszych zarysach charakter współczesny powinności orężnéj w głównych państwach europejskich.

Piotr Malinowski.



KRONIKA GALICYJSKA.



Lwów, 3 lipca.

Kto chce przypiąć łatkę Galicyi, ma w téj chwili tyle sposobności do tego, że może dowolnie wybiérać najlepszą. W innych, t. j. mniéj smutnych warunkach wyborną w powyższém znaczeniu sposobność stanowiłby już sam fakt, że w odbytym niedawno wskutek śmierci ś. p. St. Wysockiego uzupełniającym wyborze posła rady państwa z Sanockiego okręgu piątéj kuryi gorąca, wprost zaciekła walka wyborcza rozgrywała się tylko między dwoma kandydatami, z których żaden do koła polskiego nie wstąpi, a więc nie uzna dotychczasowéj naszéj kardynalnéj normy na wiedeńskiéj arenie parlamentarnéj, t. j. solidarności klubowéj. Kandydata, któryby objąwszy mandat, opróżniony po ś. p. Wysockim, tak samo, jak on, należéć chciał do koła polskiego, krajowy komitet wyborczy dla braku szans nawet wysunąć nie próbował. Z dwojga złego, t. j. z pomiędzy dwóch kandydatów, łamiących normę solidarności, wyborcy wybrali mniejsze złe, t. j. kandydata mniéj niebezpiecznego, Jana Stapińskiego, jednego z koryfeuszy téj frakcyi stronnictwa ludowego, któréj najwybitniejszym reprezentantem jest sympatyczny a niezwykle uzdolniony i wykształcony włościanin, Jakób Bojko. Już z tego tytułu Jan Stapiński zasługiwał na większą sympatyę, aniżeli jego kontrkandydat, dr. Włodzimierz Lewicki, forytowany przez ks. Stojałowskiego pod firmą antysemityzmu. Byłby to jednak tytuł ujemnéj tylko natury, gdyby nic innego za J. Stapińskim nie prze-

mawiało. Tymczasem rzecz się ma inaczéj, bo kto nie jest zasadniczo uprzedzony przeciw całemu ruchowi ludowemu, jego koryfeuszom i aktorom, ten musi przyznać, że mimo programowego radykalizmu J. Stapiński, człowiek jeszcze bardzo młody, niepospolicie utalentowany jako pisarz i działacz agitacyjny, a wszystko, co dotąd osiągnął, własnym trudom i pracy zawdzięczający, daje pod niejednym względem rękojmię, że postępując w dobréj wierze, przeciw któréj dotąd świadomie nie grzeszył tak, jak inni bohatérowie ruchu ludowego, a zwłaszcza przeciwnik jego ks. Stojałowski, zmityguje się z czasem w swoim radykalizmie i wśród poważnéj pracy parlamentarnéj odda niejedną usługę sprawie publicznéj.

W takim składzie rzeczy stratę jednego mandatu dla koła polskiego możnaby było uważać za przemijającą tylko porażkę. Wszystko to jednak, co nastąpiło zaraz po owym wyborze uzupełniającym, jego następstwa czy akcesorya, lub może tylko niezależne od niego wypadki, owe rozruchy antysemickie włościan kilku powiatów, które zaznaczyły się spustoszeniem mnóstwa karczem i splądrowaniem kramów żydowskich, doprowadziły już w jednéj miejscowości do rozlewu krwi, do śmierci kilkunastu niewinnych ofiar ze stanu włościańskiego, a w końcu zmusiły nawet rząd do zaprowadzenia sądów doraźnych w dwóch, a stanu wyjątkowego (zawieszenia lub ścieśnienia niektórych praw konstytucyjnych) w 33 powiatach, pomimo notorycznéj niechęci światłego, ludzkiego i wyrozumiałego do ostatecznych granic namiestnika dzisiejszego, Leona hr. Pinińskiego, — wszystko to, powtarzam, stanowi już wielką klęskę dla kraju, która wrogów jego, a nadewszystko organa zbankrutowanych politycznie epigonów centralizmu germanizacyjnego w Wiedniu, wielką napawa radością. Jednym chórem głoszą one przed światem, że Galicya wyłudziła tylko opinię ładu i porządku co do swoich stosunków społecznych i administracyjnych, że włościanin polski (bo chodzi tu głównie o zachodnie powiaty kraju) jest mimo wszelkich przechwałek naszych tak samo ciemny i dziki, jak przed 50 laty, kiedy się rzucał na dwory i mordował szlachtę po barbarzyńsku, że wreszcie cały nasz dzisiejszy ustrój polityczny opiéra się na fikcyi, bo jeżeliby postrach sądów doraźnych ze sprowadzonym już z Wiednia katem nie steroryzował tłumów chłopskich, to po karczmach i kramach żydowskich przyszłaby koléj na dwory, których mieszkańców jednak nie oszczędzanoby tak samo jak żydów, lecz traktowano znowu tak, jak w r. 1846.

Wszystkie szczegóły rozruchów i dalszego przebiegu téj sprawy pozostawić muszę sprawozdaniom prasy codziennéj, zastrzegając sobie ogólne omówienie sprawy, gdy spokój wszędzie wróci, a urzędowe do-

chodzenie wyświeci dokładnie źródło haseł rzuconych pomiędzy lud wiejski, autorów baśni o wrzekomém zezwoleniu rządowém na splądrowanie mienia żydowskiego i t. d. Tutaj ograniczę się tylko do tego, co jest niewątpliwe i co zarazem już teraz zadaje kłam insynuacyom i zapowiedziom naszych wrogów. Stawiam tedy najpierw pytanie, czy w chwili, gdy antysemityzm ogarnął wszystkie kraje, nie wyłączając najinteligentniejszego społeczeństwa, francuskiego (*vide* przebieg procesu Dreyfuss Zola), i tam doprowadza do wybuchów brutalnych, gdy bezwzględni i nieprzebierający w środkach antysemici, jak wiedeński Lueger i jego satelici, opanowywują w stolicy państwa naczelne stanowiska i mandaty, czy w chwili takiéj włościanin galicyjski, najbiédniejsza w świecie ofiara najzachłanniejszego i najbieglejszego w lichwie i wogóle w wyzysku żydowstwa, jakiém jest galicyjskie, może być uważany sam jeden tylko za ciemnego barbarzyńcę za to, że odzierany ze wszystkiego, wyzyskiwany do krwi, rugowany z ojcowizny na zabójczą emigracyę za ocean, w chwili desperacyi i zwątpienia porwał się na swojego ciemięzcę? Zgoda na zarzut barbarzyństwa *in abstracto*, ale *in concreto* włościanin nasz nie jest pewnie barbarzyńcą większym od episiera wiedeńskiego i paryskiego, któremu wyzysk żydowski nie dokuczył tak, jak włościaninowi w Galicyi, który ucisk tego wyzysku uczuwa tak, jak nagniotek, kiedy tymczasem dla chłopa galicyjskiego jest on formalnym rakiem, wżérającym się do rdzenia życia ekonomicznego. Ale z karczem i kramów żydowskich dzisiejszy włościanin nigdy, przenigdy nie podąży ku dworom z zamiarem powtórzenia krwawych orgii z r. 1846. Wiedeńscy oszczercy, stawiający taki horoskop, powinniby nie tykać smutnych wspomnień z r. 1846, bo jeżeli one mają stanowić plamę na historyi Galicyi, to sprawców téj plamy historya już dawno odszukała — po za Galicyą. *Quieta non movere!* Kto, jak dzisiejsi bankruci centralizmu germanizacyjnego..., podnosi tę sprawę dla spotwarzenia Galicyi przed światem i chce stąd wysnuwać wniosek, że cały nasz dzisiejszy dorobek narodowy, polityczny, wogóle kulturalny nie jest dorobkiem rzetelnym, lecz fikcyą, budowlą na piasku wzniesioną, ten musi być przygotowany na odprawę historycznie udowodnioną a boleśniejszą od samego ataku.

W ostatniém dziele słynnego, niedawno zmarłego utopisty amerykańskiego Bellamy'ego („Równość") bohatér, Julian West, obudzony przez dr. Leete w r. 2000 ze snu hypnotycznego, w który zapadł w ostatniém dziesięcioleciu XIX wieku, ochłonął już z osłupienia, w jakie wprawił go widok zmienionego do gruntu na modłę socyalistyczną ustroju społecznego... Kiedy nawrócony Julian West już sam zaczyna mówić z politowaniem o zasadach i poglądach swoich dawno zmarłych

rówieśników, dr. Leete wyciągnął z biblioteki swojéj dzieło Kenloego „Księga ślepych” i odczytał z niéj Westowi główniejsze ustępy. Ta „Księga ślepych” stanowi, tylko antologię wszystkich prawideł, zasad, tez i poglądów ekomiczno-społecznych, które do chwili zapadnięcia Westa w sen hypnotyczny uchodziły w świecie uczonym za niewzruszone, a teraz, w r. 2000, ta brzmią, jakby rezonowanie człowieka od urodzenia ślepego o różnych nieznanych mu kolorach.

Gdyby to tak można zbudzić ze snu wieczystego, jak ze snu hypnotycznego, jakiego matadora téj biurokracyi austryacko-niemieckiéj, która w epoce Metternichowskiéj, a zwłaszcza w r. 1846 gospodarowała w Galicyi na naczelnych stanowiskach administracyjnych, np. takiego barona Kriega, który pod nominalném namiestnikowstwem arcyksięcia Ferdynanda d'Este, jako ówczesny prezydent gubernium galicyjskiego, był głównym reżyserem całéj akcyi rządowéj! Jeżeliby potém jaki polityczny dr. Leete zdołał, oprowadziwszy takiego reprezentanta Metternichowskiéj biurokracyi po Galicyi, oswoić go z widokiem nietylko wielkiego postępu kulturalnego, do jakiego według ówczesnych pojęć biurokratycznych galicyjski „*Börenland*” był niezdolny, lecz nadto i z tą zdumiewającą metamorfozą polityczną, wśród której Niemcy zeszli na pochyłą drogę obstrukcyonistów, miotających obelgi na dynastyę i naruszających same podstawy ustroju państwowego Austryi, a Polacy wznieśli się na wyżynę żywiołu konserwatywnego w polityczném, społecznem i — co najważniejsza — państwowém tego słowa znaczeniu, to „Księga ślepych” byłaby gotowa. Z niéj mógłby galicyjski dr. Leete odczytać pyszne ustępystaro-biurokratycznemu Westowi z większym efektem dla czytelnika, aniżeli się to dzieje w utopii Bellamy'ego. Ten utopijny dr. Leete bowiem wisi z Westem w obłokach fantasmagoryi i czytelnik czuje, że lada chwila spadnie z nimi na grunt rzeczywistości, na którym owi wrzekomo ślepi, a istotnie trzeźwo myślący, powitają ich uśmiechem politowania. Natomiast polityczno galicyjski dr. Leete stałby od początku do końca na twardym gruncie aktualnéj rzeczywistości, skąd zbudzonemu biurokracie palcem pokazywać może obłoki, albo raczéj ciemne, złowrogie chmury, w które uniósł go w swoim czasie dawny system rządowy—na złamanie karku!

Taką polityczną „Księgę ślepych” stanowiłyby ówczesne archiwa rządowe, mianowicie akta gubernium galicyjskiego, nieprzebrana a jeszcze niewyzyskana, bo wprost niedostępna, kopalnia materyału dla przyszłych historyków Austryi i Galicyi z końcowéj doby okresu Metternichowskiego. Z prywatnych zbiorów mała tylko część materyału informacyjnego została opracowana w dwóch książkach, wydanych we Lwowie przed dwoma laty z okazyi pięćdziesięcioletniéj rocznicy stra-

sznego roku (1846), a już to samo możnaby uznać za historyczne stwierdzenie tej od pierwszej chwili powziętej opinii, że rok 1846-ty stanowi przedewszystkiem plamę krwawą w dziejach biurokracyi autoramentu Metternichowskiego, która w Galicyi po za plecyma nieświadomego prawdziwego stanu rzeczy, nominalnego tylko generał-gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, i nieodgadującego nawet tego stanu cesarza Ferdynanda, nazwanego Dobrotliwym, formalnie odkomenderowała zbałamuconego chłopa do akcyi zbrodniczej. Ta ręka szatańska, która wtedy ślepym mieczem bezkarnie wojowała, dzięki powyższym publikacyom już dziś zarysowała się wyraźnie na trwałem tle historycznem, a w chwili, gdy sumienny historyk dotrze do tajnych archiwów rządowych z r. 1846, rysy te wypełnią się tak potwornie, że przed obrazem kompletnym wzdrygać się będzie uczucie ludzkości nawet w każdym nieprzebłaganym wrogu naszym, że zdziwienie budzić będzie raczej fakt, iż przy takiem jawnem popychaniu na drogę zbrodniczą i jawnem także wynagradzaniu czynów zbrodniczych posiew szatański wydał plon stosunkowo za mało obfity, wybujał tylko w niektórych punktach kraju, wykarmił wprawdzie całą rzeszę zbrodniarzy, ale nie sprowadził trwałej deprawacyi na całą ludność włościańską. Takiemu historykowi łatwo przyjdzie wytłómaczyć, jak się to wszystko ukryć mogło już nietylko przed Europą, wyprowadzaną wtedy w pole artykułami, które z inspiracyi br. Kriega wysyłano ze Lwowa do najpoczytniejszej wówczas augsburskiej *Allgemeine Zeitung*, lecz nawet przed dworem wiedeńskim za rządów cesarza, Dobrotliwym zwanego. Cała sieć zabiegów policyjnych rozciągniętą została między Wiedniem a Lwowem, aby do tronu nie doszła jaka autentyczna rewelacya, demaskująca galicyjską bandę biurokratyczną. Stąd ustaliło się wtedy w Wiedniu mniemanie, że chłop galicyjski ma we krwi swojej taką zaciętą i nieprzebłaganą nienawiść do szlachty, iż na każde skinienie gotów byłby urządzić po raz wtóry takie krwawe wyprawy jak w r. 1846. Zdradził się z tem przekonaniem jeden z matadorów ówczesnej biurokracyi galicyjskiej (lwowski dyrektor policyi, Sacher-Masoch), który pamiętnik swój w kilkanaście lat później wydany zamyka cyniczną przechwałką, że Austrya nie potrzebuje się już obawiać zamachów w Galicyi, bo tam: „chłop czuwa” nad jej interesami; oczywiście, chłop taki, jakiego biurokracya austryacka z r. 1846 wychować sobie zamyślała, chłop uzbrojony od stóp do głowy pod hasłem: hejże na szlachtę!

Sacher Masoch, wskrzeszony na chwilę, z większem osłupieniem, niż bohatér Bellamy'ego, patrzałby na obecny stan rzeczy w Austryi, w której chłop galicyjski, dziś chwilowo do ekscesów antysemickich popchnięty, czuwa nad interesami państwa, ale nie w śmiertelnych za-

p sich ze szlachtą, lecz razem z nią (*vide* głosowanie polskich chłopów w radzie państwa nad zeszłorocznemi wnioskami postawienia Kazimierza hr. Badeniego w stan oskarżenia); nie w sojuszu z Niemcami, lecz przeciw nim, jako przeciw żywiołowi podkopującemu obstrukcyą podwaliny państwa! Wystarczyła już w owym smutnym okresie lojalna wobec kraju i tronu refleksya hr. Gołuchowskiego, jako namiestnika Galicyi (w latach 1849—1859), aby szlachetnemu monarsze dzisiejszemu otworzyć oczy na prawdziwy stan rzeczy. Z owéj „Księgi ślepych", czyli z zamkniętych jeszcze na razie archiwów rządowych, wyjdą może kiedyś na jaw relacye składane cesarzowi Franciszkowi Józefowi przez hr. Gołuchowskiego w pierwszych latach jego pierwszego namiestnikowstwa, relacye przedstawiające stan kraju i usposobienie ludności w prawdziwém świetle, bez téj podejrzliwości oszczerczéj, którą przedtém niemiecka banda biurokratyczna utrzymać się starała rządzące sfery w Wiedniu w obawie o nowy wybuch buntu, a tém samém w przekonaniu o niezbędności zachowania rygoru absolutno terorystycznego. Gdy kiedyś na jaw wyjdą wszystkie szczegóły w powyższym rodzaju, świat otrzyma historyczny przykład pogromu wszechwładnego chwilowo, ale na fałszowaniu obrazu stosunków opartego systemu rządowego nie za pomocą wielkich wpływów i ich długiego trwałego oddziaływania, lecz tylko dzięki sile moralnéj jednego męża (hr. Gołuchowskiego), który miał odwagę odsłonić zaćmioną prawdę i umiał pogodzić lojalność urzędniczą wobec monarchy z lojalnością obywatelską wobec kraju. Nadto świat przekona się, że wielką krzywdę wyrządza wieśniakowi galicyjskiemu każdy, kto zbrodnie popełnione w r. 1846 kładzie wyłącznie na karb jego wrzekoméj nienawiści do szlachty. Biurokratyczna ręka zbrodnicza kierowała wtedy ślepym mieczem. Dziś niema téj ręki i niema już—ślepego miecza, a natomiast jest lud w ogromnéj większości tak oświecony i po obywatelsku usposobiony, że nawet wskrzeszony z grobu br. Krieg nie zdołałby go poprowadzić na dwory szlacheckie z głownią i siekierą!

Z téj „Księgi ślepych", na którą się tutaj powołujemy, epigonowie dawnéj biurokracyi austryackiéj i jéj rodzonego braciszka, centralizmu germanizacyjnego z pierwszych lat ery konstytucyjnéj w Austryi, będą mogli wziąć jeszcze wiele, bardzo wiele zbawiennych lekcyi. Weźmy jeden, dziś już wszechstronnie wyświecony przykład, sprawę polonizacyi uniwersytetu lwowskiego, o którą hr. Gołuchowski za drugiego namiestnikowstwa swojego (1866 r.) wytrwale i konsekwetnie dobijać się zaczął. Hrabia Belcredi, jako minister-prezydent z r. 1866, uznawał słuszność zadań, ale zanim mógł dotrzymać danego przyrzeczenia, ustąpić musiał przed zwycięskim na lat kilka skrajnym centra-

lizmem, którego przedstawiciele w gabinecie austryackim ze zgorszeniem słuchali wniosków hr. Gołuchowskiego, wierząc w to święcie albo raczéj wmawiając to w siebie, że zaprowadzenie polskich wykładów na uniwersytecie lwowskim równa się nietylko zagładzie jego całéj wartości naukowéj, lecz nadto zaprzepaszczeniu wszystkich interesów państwowych, wychowaniu buntowniczego pokolenia urzędników i t. d. Hr. Gołuchowski nie ustąpił, kilka lat pokonywał piętrzące się trudności, aż w końcu cel swój osiągnął. Niechżeż teraz wstanie z grobu germanizacyjno-centralistyczny Julian West i niech oceni skutki polonizacyi uniwersytetu. Wyszły z jego murów całe zastępy nie takich rzemieślników-biurokratów, jakimi darzyli Galicyę niemieccy profesorowie, nasyłane z innych prowincyi miernoty, lecz światłych urzędników-obywateli, umiejących lepiéj strzedz interesów społeczno-państwowych dzięki wyższéj inteligencyi i żywszemu poczuciu harmonii swoich obowiązków tak wobec państwa, jak i wobec własnego społeczeństwa. Na katedrach spolszczonego już uniwersytetu lwowskiego zasiadali profesorowie, którym, jak np. dr. Rittnerowi i dr. Bilińskiemu, niemiecka krytyka naukowa za ogłoszone prace hołd złożyć musiała, którzy nadto zasłynęli potém jako mężowie stanu na krzesłach parlamentarnych i na fotelach ministeryalnych. A obecny namiestnik Galicyi, Leon hr. Piniński, głośny oddawna jako autor wielkiego po niemiecku napisanego dzieła prawniczego i jako mówca parlamentarny? To także jeden z wychowańców polskiego uniwersytetu we Lwowie, i to jeden z młodszych. Wymieniam tylko kilka nazwisk dla przykładu, bo historya uniwersytetu lwowskiego została już w jego roku jubileuszowym napisana, a książka ta stanowi niezbity dokument historyczny, stwierdzający prawdziwość powyższych uwag. Niema już we Lwowie, na szczęście kraju i Austryi, pepiniery takich opryszków-biurokratów, jacy rok 1846 stworzyli, a jest natomiast szkoła urzędników obywateli, na których monarcha i kraj polegać mogą.

Nasi najserdeczniejsi w Wiedniu przytaczają często jedno twierdzenie, bardzo dla nas dotkliwe, a dla uprzedzonych uderzające na pierwszy rzut oka wrzekomą notorycznością, twierdzenie, że dzisiejszy upadek Austryi, a w każdym razie doprowadzenie państwa na brzeg przepaści jest dziełem polskiego męża stanu, Kazimierza hr. Badeniego, i na zawsze złączone będzie w historyi z jego nazwiskiem. Powtarza się to twierdzenie szczególnie dziś, obok alluzyi do r. 1846, i z tym złośliwym dodatkiem, że niema wtém nic dziwnego, iż mąż stanu, wrzekomo już smutném przeznaczeniem do téj roli powołany, wyszedł z łona tego społeczeństwa, które własnego państwa ani uszanować, ani utrzy-

mać nie umiało. Na to znowu kiedyś „Księga ślepych" odpowie faktami tak dosadnie, jak tego dziś uczynić nie można setkami artykułów polityczno-polemicznych. Na pierwszym planie stanie wtedy fakt, że z łona tego samego społeczeństwa wyszedł mąż stanu (Gołuchowski), któremu, jako autorowi dyplomu październikowego z r. 1860, już i niemiecki tendencyjny historyk odmówić nie zdoła tytułu do nazwy fundatora konstytucyi austryackiéj, inicyatora ery konstytucyjnéj całéj monarchii, więc pogromcy systemu, który rok 1846 uważał za swoje arcydzieło polityczne. Dziś o tym dyplomie coraz częściéj mówią i piszą, bo wśród obecnego przesilenia myśl mimowoli zwraca się ku aktowi, którego konsekwentne przeprowadzenie w duchu autonomicznym, t. j. takim, w jakim pomyślany został, mogło było oszczędzić Austryi tyle przejść niemiłych i upokarzających, nie wyłączając najświeższego. Kiedy z wielkiéj idei politycznéj dyplomu październikowego zrodziła się w końcu przykrojona do aspiracyi centralistycznych konstytucya grudniowa z r. 1867, a pierwszy gabinet konstytucyjny od tego zaczął swoją działalność, że na każdym kroku w praktyce próbował zeskamotować zawarte w niéj szczątki zasad autonomicznych, twórca dyplomu październikowego był wtedy (1868) za drugim nawrotem namiestnikiem galicyjskim. Przed jego bystrym wzrokiem machinacya ta ukryć się nie mogła. To téż nie pominął żadnéj sposobności konkretnéj, przy któréj mógł gabinetowi centralistycznemu nietylko wykazać naruszenie ducha konstytucyi, lecz nadto przedstawić jasno konsekwencye, do jakich doprowadzić musi dalsze systematyczne nakręcanie autonomicznych dążności konstytucyi do z góry zakrojonéj, a krytym sztychem forytowanéj centralizacyi i germanizacyi. Z tych pism urzędowych hr. Gołuchowskiego przebija niekiedy duch prawie proroczy, a ton ich jest tak stanowczy i energiczny, że trzeba dopiéro domyślać się, dlaczego tak dumny i na pozór niewzruszony ówczesny gabinet centralistyczny od razu nie postawił kwestyi na ostrzu i nie zażądał ustąpienia zbyt śmiałego namiestnika. Widocznie przewidywał w takim razie klęskę u cesarza i zwlekał z tém, dopóki nie zyskał silniéjszéj podstawy do tego. Zadaleko idąca pamiętna rezolucya sejmu galicyjskiego z r. 1868 dostarczyła niestety zbyt rychło takiéj podstawy, i hr. Gołuchowski zniknął na lat kilka z widowni politycznéj. Tymczasem gospodarka polityczna centralistów tyle już zdziałała złego, że na próbie cofnięcia rozwoju konstytucyjnego na tory autonomiczne, na tory dyplomu październikowego stérały się siły polityczne hr. Alfreda Potockiego i hr. Karola Hohenwarta, a późniéj po nowym okresie rządów centralistycznych także siły hr. Edwarda Taaffego i hr. Kazimierza Badeniego. W „Księdze ślepych" zatém zapisany będzie fakt, że zbawcze dla Austryi dzieło konstytucyjne wyszło z głowy

polskiego męża stanu w formie, umożliwiającéj trwałe przekształcenie ustroju państwowego na zasadach autonomicznych, i że idea ta skrzywiona została przez niemieckich centralistów do spółki z niedobitkami dawnéj biurokracyi tak dalece, iż potém wysiłki najdzielniejszych mężów stanu złego zupełnie już naprawić nie zdołały.

Ostatnie uwagi odbiegły cokolwiek od wstępnego wątka tego listu, ale za to doprowadzają nas do refleksyi, którą jako szczególnie ważną w dzisiejszéj właśnie fazie naszego życia politycznego z naciskiem podnieść należy. Mam na myśli lukę zachodzącą w wykształceniu politycznem szerszych kół inteligencyi, nie biorących bezpośredniego udziału w wytycznych akcyach publicznych. Lukę tę stanowi niedostateczna znajomość historyi politycznéj kraju z ostatnich lat kilkudziesięciu. Mam tutaj na myśli oczywiście pragmatyczne objęcie materyału historycznego, taki dokładny obraz toku wypadków i rozwoju głównych spraw, aby w nim zarysowały się wybitnie łączniki między przyczynami a skutkami oraz rysy charakterystyczne głównych aktorów, naszych znakomitych przodowników politycznych. Pisarze, którzy w ostatnich zwłaszcza latach pióro swoje poświęcili téj właśnie dobie naszéj przeszłości, traktują przeważnie rzecz fragmentarycznie, z predylekcyą dla epizodów dramatycznych ze świetnym przebiegiem lub tragicznym zwrotem w następstwach. Na tę szarą tkaninę historyczną, jaka stanowi powolny, spokojny rozwój spraw w ciężkiéj, twardéj, a w dodatku zaciemnionéj epoce przedkonstytucyjnéj, uwaga mało jest zwróconą. A właśnie wyświecenie téj epoki i ujęcie jéj w ramy zamkniętego w sobie obrazu historycznego stanowiłoby nietylko jedno z takich dzieł pouczających, jakie historya, jako mistrzyni życia, podawać powinna, lecz nadto i chlubę dla społeczeństwa, które w twardych warunkach i wśród najeżonych na każdym kroku przeciwieństw umiało znojnie pracować i zdobywać krok za krokiem grunt dla pracy owocnéj. Takie zdobycze i takie zasługi nie powinny blednąć w oczach przyszłych pokoleń wobec świetnych dzieł, dokonanych wśród okoliczności sprzyjających. Społeczeństwo pruskie nie zapomni o Steinie, Hardenbergu i innych pracownikach tego pokroju z ciężkiéj doby dziejowéj, chociażby do takich gwiazd promiennych jak Blücher, Moltke i t. d. przybył cały szereg nowych bohaterów.

Że na braku takiéj historyi najbliższéj nam przeszłości cierpi wiele zasłużonych postaci, które zeszły z widowni politycznéj bez rozgłosu lub nawet wśród objawów niepopularności i niewdzięczności ze strony społeczeństwa zaślepionego, albo raczéj niedość poinformowanego o wszystkich zasługach, częstokroć nawet wielkich i godnych zapisania na honorowéj karcie dziejowéj, to się rozumie i tego wcale

lekceważyć nie można. W zdrowém życiu politycznėm bowiem takie zasługi nigdy nie powinny iść w zapomnienie lub w poniewierkę, aby nie wpływały w sposób zniechęcający na następne pokolenia pracowników. Takie zniechęcanie równa się wprost demoralizacyi, oczywiście w politycznėm tego słowa znaczeniu.

Wina nie spada wyłącznie na piszących, którzy tylko w wyjątkowych wypadkach mogą dotrzeć do źródeł autentycznych. U nas zwłaszcza ludzie takiéj miary, jakich tutaj mamy na myśli, powinniby nietylko dla własnéj satysfakcyi, lecz także dla dobra publicznego w powyższém oświetleniu tych wyrazów pamiętać o téj niejednokrotnie przez polityków, historyków a nawet poetów zalecanéj regule, że kogo los postawił w społeczeństwie na pierwszym planie, a bodaj na stanowisku wybitniéjszém i kazał mu odegrać rolę działacza, ten poczuwać się winien do obowiązku przekazania potomności swoich wspomnień w sposób pamiętnikowy. W naszém społeczeństwie zeszli z widowni bez takiéj spuścizny mężowie, których nazwiska same niejako wypełniają całe okresy życia publicznego, których pamiętniki stanowiłyby dziś nieprzebraną kopalnię nietylko zwyczajnego materyału historycznego w literackiém tego słowa znaczeniu, lecz także lekcyi politycznych. Weźmy np. Agenora hr. Gołuchowskiego (ojca), jego towarzysza i współpracownika w najważniéjszéj kwestyi z r. 1846 (indemnizacyjnéj) Maurycego Kraińskiego, Leona ks. Sapiehę, Grocholskiego, Zyblikiewicza i wielu a wielu innych. Ich pamiętniki stanowiłyby najświetniéjsze odparcie zarzutu, jakoby nasze stanowisko dzisiejsze było tylko przemijającém dziełem szczęśliwego zbiegu okoliczności, nie zaś trwałym dobytkiem.

Jeden z takich działaczy, zmarły przed dwoma laty wiceprezes koła polskiego w Wiedniu, długoletni poseł sejmowy i profesor filozofii w uniwersytecie lwowskim, dr. Euzebiusz Czerkawski, zostawił w swoich papierach niewykończony wprawdzie do ostatnich lat, ale mimo to nadzwyczaj ciekawy pamiętnik, który ma niebawem być drukiem ogłoszony, a już obecnie wyzyskany został przez prof. dr. A. Skorskiego, jako materyał do monografii o wielce zasłużonéj działalności Czerkawskiego na polu pedagogiczném. Kto w całości wyda pamiętnik Euzebiusza Czerkawskiego lub na téj podstawie napisze o nim monografię, obejmującą całą działalność publiczną, ten mógłby pracy swojéj śmiało nadać taki drugi tytuł: „Popularność a zasługa“. Czerkawski bowiem stanowi jeden z licznych a wybitnych przykładów tego rozdźwięku, jaki często zachodził, zachodzi i zawsze często zachodzić będzie między kapryśną *aura popularis* a zasługą rzetelną. W drugiéj połowie życia swojego Czerkawski był bardzo ceniony, szanowany, nawet chwilami demon-

stracyjnym hołdem darzony, ale popularnym w zwyczajném tego słowa znaczeniu nigdy nie był i nawet być nie mógł. Powód tkwił nietylko w zimnéj i ponuréj, surowemi pozorami zniechęcającéj powierzchowności tego wielce utalentowanego, niezwykle bogatą wiedzą górującego, niezmordowanego w pracy i zasłużonego męża, lecz także w pewnych przejściach z przeszłości, które zakrawały na los tragiczny i byłyby tém niezawodnie, gdyby Czerkawski nie był dożył ery konstytucyjnéj i miał być sądzony tylko z tego, co o nim mówiono i pisano dawniéj. Żeby rzecz tę krótko a dosadnie przedstawić, zaznaczam, że to samo pokolenie, które w dojrzałym wieku składało hołdy nietylko pamięci Czerkawskiego na wspaniałym pogrzebie lwowskim w r. 1896, lecz jeszcze za życia po niektórych świetnych a głośnych wystąpieniach w radzie państwa, w swoim wieku studenckim oklaskiwało zapaleńców, którzy go w Krakowie brutalnie na ulicy znieważyli i powtarzało jednym chórem ułożony po tym zamachu wierszyk:

Złoty galon na kołnierzu, a pirog [1]) na głowie
Szwabski język proteguje, Czerkawski się zowie,
Póki ten łotr żyje,
Kto żyw, niech go bije! i t. d.

A na czém polegało to wrzekome łotrostwo? Czerkawski pokrzyżował demonstracyjne plany gorącéj młodzieży gimnazyalnéj w jednym wypadku, a starsi nie umieli czy może nawet i nie chcieli jéj poskromić, upatrując w znieważonym inspektorze szkolnym zwolennika germanizacyi szkolnéj, a już co najmniéj przeciwnika spolszczenia szkół średnich. W dobrém towarzystwie politycznem znajdował się wtedy Czerkawski, bo pracował razem i zgodnie ze swoim niezmiennym protektorem — namiestnikiem Gołuchowskim, który szczęśliwy jak zawsze w wyborze ludzi zwrócił uwagę na Czerkawskiego już za czasów pierwszego namiestnikostwa swojego (1849 — 1859). W tych ciężkich czasach już samo negacyjne działanie, t. j. tamowanie szalonego zalewu germanizacyjnego, stanowiło większą zasługę, aniżeli późniéj konkretne zdobycze w duchu decentralizacyjnym i autonomicznym. Kiedy się nadarzyła jaka taka sposobność do wyjścia po za te ciasne granice działania, do pozyskania minimalnego ustępstwa od reakcyjno-germanizacyjnego systemu na rzecz języka krajowego w urzędach lub w szkołach, w lot chwytali ją nasi ówcześni działacze na posterunkach rządowych, a między nimi w pierwszym rzędzie Czerkawski. Jedyną nagrodą za te twarde walki z małemi zdobyczami była moralna satys-

[1]) Kapelusz uniformowy.

fakcya, moralne zadowolenie, że przybyła mała cegiełka do wielkiéj późniejszéj budowy autonomicznéj. Na uznanie, na przychylne poparcie opinii nikt nie liczył, a o popularności nikt nawet marzyć nie mógł, skoro samo zetknięcie się z ówczesnym systemem rządowym uchodziło już, jak w owéj piosence studenckiéj o Czerkawskim, za — łotrostwo! Kiedy się dziś czyta pamiętnik Czerkawskiego, najpierw nasuwać się musi smętna myśl, że w braku pamiętnikarskiéj żyłki u innych działaczy współczesnych na zawsze już może pozostanie wiele krzywd nienaprawionych, wiele zasług cichych niewynagrodzonych i wiele lekcyi politycznych zmarnowanych.

Ale nawet i z tych lekcyi politycznych, któreśmy otrzymali w spuściźnie po fundatorach i koryfeuszach naszego dzisiejszego stanowiska politycznego w Galicyi, niejedna idzie w zapomnienie dlatego, że w braku pragmatycznego przedstawienia naszych walk i kolei w pierwszym okresie ery konstytucyjnéj, polityczne wykształcenie szerokich kół jest niekompletne. Okazuje się to na dzisiejszém postępowaniu powołanych i niepowołanych krzewicieli braterstwa czesko-polskiego, wogóle słowiańskiego, przy nadarzających się sposobnościach, mianowicie na ostatnim praskim obchodzie jubileuszu Palackiego.

Braterstwa tego właściwie teraz dopiéro krzewić nie potrzeba, bo leży ono w naszéj tradycyi nietylko historycznéj z dawnych wieków lecz politycznéj z czasów walk konstytucyjnych. Ta tylko zachodzi różnica, że kiedy dawniéj koryfeusze naszéj zwycięsko przeprowadzonéj walki o autonomię postępowali rozważnie, a gdy Czesi ze swojéj krewkości politycznéj zwracali się na pochyłą drogę, ostrzegali ich, ale porwać się nie dali nad brzeg przepaści,—dziś wielu jest takich entuzyastów, którzy gotowi zapomniéć o przestrogach, jakie nam daje historya ostatnich lat 30-tu. Wystarczy tutaj przytoczenie jednéj przestrogi, przypomnienie pamiętnéj uchwały sejmowéj z 2 marca 1867 r. Czesi postanowili wtedy nie obsyłać rady państwa i usunąć się od wszelkiego współpracownictwa przy układaniu nowéj, na dualizmie opartéj konstytucyi, wywieszając równocześnie sztandar federalistyczny. Wtedy powoływanie się na braterstwo czesko-polskie także rozbrzmiewało dokoła, ale sejm usłuchał rozważnéj rady hr. Gołuchowskiego i dr. Ziemiałkowskiego, a oparł się sympatycznym dla uczuciowych polityków nawoływaniom Smolki do zejścia razem z Czechami na manowce polityki abstynencyjnéj. Kto miał słuszność dobitnie wykazały następstwa. Polska delegacya w radzie państwa, chociaż była w mniejszości znikającéj, wywalczała jedną koncesyę autonomiczną po drugiéj na polu językowém i szkolném, a Czesi, nieobecni w radzie państwa, marnowali czas i siły w jałowéj polityce abstynencyjnéj. Smolka ocknął

się i zaniechał już w r. 1870 nawoływań do takiéj bezpłatnéj polityki, wszedł późniéj sam do rady państwa i został jéj prezydentem w chwili, gdy mógł już oglądać świetne rezultaty osiągnięte przez swoich dawnych przeciwników politycznych z lat 1867—1869. Czesi w końcu tak samo postąpili, ale dopiéro od chwili wstąpienia do rady państwa zaczynać musieli to, co nasza delegacya już od r. 1867 robiła. Czasu zmarnowanego i opóźnienia się w owocach roztropnéj polityki już nie można było powetować. Tak samo nie dałyby się kiedyś powetować następstwa nierozwagi w téj tak ciężkiéj chwili obecnéj, kiedy roznamiętnienie w Wiedniu porywa i popycha do kroków hazardownych.

Najhazardowniejszym krokiem jest dziś stawianie kwestyi na ostrzu w ten sposób, jak gdyby walka, rozpoczęta i prowadzona dotąd w radzie państwa pod hasłem autonomii i równouprawnienia narodowego, miała odtąd toczyć się pod hasłem rasowego antagonizmu wobec Niemców, albo nawet pod hasłem hegemonii słowiańskiéj w Austryi. Kto zna dobrze dzieje Austryi i jéj ustrój obecny, a nie unosi się sympatycznemi dla uczucia i fantazyi rojeniami, ten obawiać się musi, że takie postawienie kwestyi zakrawa na poryw samobójczy. Węgrzy, którzy w r. 1870 z obawy przed przewagą Słowian nad Niemcami w Austryi obalili gabinet hr. Hohenwarta w chwili wniesienia artykułów fundamentalnych dla Czech, dziś jeszcze prędzéj obalą każdy gabinet austryacki, zbaczający z drogi autonomicznego równouprawnienia narodowości na tory hegemonii słowiańskiéj, lub—co na jedno wychodzi—na tory federalizmu, dlatego, że najpierw są dziś o wiele silniejsi niż w r. 1870 i faktycznie w monarchii ton nadają, a powtóre dlatego, że więcéj niż przedtém lękają się, aby w naturalném następstwie sami nie ulegli naporowi słowiańszczyzny zakarpackiéj w obrębie własnego, ustroju państwowego. Już dziś po obchodzie praskim wystąpienie kierujących organów prasy węgierskiéj brzmi tak złowrogo, że kto wié, czy uroczystość praska w takiém oświetleniu nie osłabiła w decydujących kołach wiedeńskich pozycyi tych czynników, które utrzymują łączność między programem dzisiejszego rządu a programem gabinetu Kazimierza hr. Badeniego.

Prawda, że sprawę zaostrzył w ten sposób nie czeski lub polski uczestnik uroczystości, lecz gość z Rosyi, redaktor Komarow, w swojéj słynnéj przemowie, prawda i to, że ów gorąco kąpany gość rosyjski otrzymał w swojéj ojczyźnie stanowcze *desaveu* ze strony kierujących organów prasy, a więc nie może uchodzić za reprezentanta jakiegoś powszechnego prądu opinii rosyjskiéj,—ale słaba to pociecha, bo Niemcy i Węgrzy odpowiadają na to, że w latach 1874—1876 tak samo Rosya nieoficyalna, reprezentowana przez dziennikarzy-szowinistów, przygoto-

wywala powoli ale skutecznie grunt dla pamiętnych wypadków dziejowych na półwyspie bałkańskim. A zresztą zaszło tu niewątpliwe *peccatum omissionis*, gdyż nikt z polskich lub czeskich uczestników uroczystości nie zmitygował p. Komarowa, chociaż można to było i nawet należało uczynić z wszelkim oczywiście respektem dla gościa i bez najmniejszéj ujmy dla idei solidarności czesko-polskiéj, a nawet wogóle słowiańskiéj, w politycznėm, rozważnėm tego słowa znaczeniu, co byłoby stanowczo z wielką korzyścią dla dalszego przebiegu i rezultatu toczącéj się obecnie w Wiedniu walki o autonomiczne równouprawnienie narodowości w Austryi.

Istny fatalizm zrządził, że kiedy w Pradze żaden głos mitygujący nie odezwał się po zbyt hazardownych wynurzeniach politycznych p. Komarowa, powstał natomiast dysonans tam, gdzie był bardzo niepożądany, to jest w Krakowie, podczas uroczystości Mickiewiczowskiéj, w chwili przemówienia profesora Spasowicza, a zwłaszcza prof. Brandta (z Moskwy), na temat zbliżenia rosyjsko-polskiego. Z natury rzeczy kronika ta nie może obejmować szczegółów, znanych już zresztą ze sprawozdań prasy codziennéj. Jednakże z naciskiem zaznaczyć należy, że jeżeli obaj mówcy zostali w Krakowie zrażeni porywem demonstracyjnym garstki malkontentów, to w poważnéj opinii naszego kraju, wyrażonéj dobitnie i bez ogródek przez jeden z najpoczytniejszych dzienników lwowskich, otrzymali już satysfakcyę. Znaczenie wspomnianego porywu zmaleje jeszcze bardziéj, jeżeli sprawę postawimy na takiém stanowisku, z jakiego ona dziś przedewszystkiém oceniana być powinna. Postawmy pytanie sobie i zapytajmy zarazem rosyjskie koła inteligencyi politycznéj: czy niedawno jeszcze, dajmy na to w chwili poprzedniéj uroczystości Mickiewiczowskiéj, gdy Kraków składał zwłoki wieszcza do krypty na Wawelu, byłoby to możliwém, aby profesor uniwersytetu moskiewskiego zjechał do Krakowa, zgłosił się i został przyjęty jako gość na bankiecie, uznał całe otoczenie i wogóle całą atmosferę polityczną za stosowną do zabrania głosu na temat zbliżenia się Rosyan do Polaków, aby daléj na ten temat mówił swobodnie ze stanowiska rosyjskiego i sprawił dodatnie wrażenie nietylko w gronie większości słuchaczy, lecz i wogóle w szerokich kołach polskiéj inteligencyi politycznéj? Obie strony muszą, jeżeli dobrze rozważą wszystkie okoliczności, dać na to pytanie jednobrzmiącą odpowiedź. Możliwości takiéj wówczas nietylko nie było, a nawet jéj nie przewidywano w tak bliskim czasie. Jeżeli zaś tak się rzecz ocenia, to mimo dysonansów, owe przemówienia krakowskie uważane być mogą za brzask świtający w ciemnéj stronie sprawy słowiańskiéj, za dowód, że obie strony, jeżeli nie zbliżyły się ku sobie, to przynajmniéj zbliżyć się usiłują, a w każ-

dym razie o tyle uległy spokojnéj, z jednéj i z drugiéj strony, refleksyi, iż myślą o wypełnieniu przepaści, która się między niemi od wieków rozwarła, a za sprawą fatalizmu dziejowego dotąd ciągle pogłębiała. Byle tylko myśl o takiém wypełnieniu przepaści szczerze się ustaliła i ze sfery pragnień weszła w fazę działania! Pomyślny rezultat w takim razie można przepowiedzieć w myśl przysłowia francuskiego, dającego się na zawołanie ilustrować mnóstwem przykładów historycznych że w historyi polityki—niema przepaści, któréjby zapełnić nie można. Poprzestanę na jednym przykładzie. Czy w roku 1846 mógł ktokolwiek przewidzieć ten dobry stosunek Galicyi do państwa austryackiego i nawzajem, jaki się ułożył w ostatnich lat dziesiątkach?

Ita.



STAROŻYTNOŚĆ

W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ.

Genialny twórca nowoczesnéj metody badania w zakresie nauk ścisłych, Bakon z Verulamu, w zasadniczém dziele swojém *Novum organon* osobny rozdział poświęca idołom czyli urojeniom [1]), t. j. fałszywym wyobrażeniom, które więcéj na subiektywném mniemaniu niż na doświadczeniu oparte, zbadaniu prawdy i rzeczywistości przez ludzi niepospolite stawiają zapory. Jak wielką siłę życia posiadają niekiedy takie idoły i jak trudna z niemi walka, tego najlepszym pono dowodem sam uczony autor epokowego dzieła, który mimo całéj swojéj bystrości umysłu porówno z innymi uczonymi owéj doby był stanowczym przeciwnikiem systemu Kopernika i ogłosił go nie za nowy system naukowy, ale za pomysł awanturniczy wybujałéj fantazyi. A dzieje innych wielkich odkryć naukowych i wynalazków niemniéj pełne są podobnych przykładów. Widocznie każda nowa prawda z góry skazana jest na to, aby zwolna tylko zdobywać sobie prawo obywatelstwa i w twardéj walce z fałszami i uprzedzeniami wsiąkać w umysły ludzkie. Ale myśl ludzka nie spoczywa. Coraz więcéj rozszerza

[1]) Z greckiego εἴδωλον, obraz, zjawisko.

się zakres tych przedmiotów, które wiedza nowoczesna podciąga pod mikroskop krytyki, coraz więcéj niknie dawna naiwna wiara, biorąca bez zastanowienia myty i urojenia za prawdy oczywiste, i przekazująca je takiemi następnym pokoleniom, jakiemi je odziedziczyła po ojcach. Ludzie płaczą z początku na świętokradzkich nowatorów, którzy śmiałą ręką strącają wiekiem uświęcone bożyszcza z ich piedestałów, zwolna jednakże przyzwyczajają się do owych zapatrywań, i na gruzach staréj wiary wyrasta nowa, nie tyle już może szczera i naiwna jak dawniejsza, ale niemniéj uszczęśliwiająca, gdyż napełniająca serce człowieka świadomością, iż znowu o krok jeden zbliżył się do poznania prawdy.

Ten proces wewnętrznego przeobrażenia dokonywa się dzisiaj w Niemczech na polu badań nad wartością etyczną studyów klasycznych i ich przydatnością do celów wykształcenia publicznego. Rzecz bowiem wiadoma, iż od czasów ojca i twórcy nowoczesnéj filologii klasycznéj, Fryderyka Augusta Wolfa, i poety-krytyka, Lessinga, w świecie uczonym niemieckim ustaliło się przekonanie, jakoby życie starożytnych narodów pod względem swéj zawartości idealnéj o całe niebo przewyższało czasy obecne a suma szczęścia, którego zażywały Rzym i Grecya przeciętnie, była większa od téj, która nam, ludziom nowoczesnym, dostała się w udziale. Schiller, Goethe, Herder i cała plejada niepospolitych talentów poetycznych, jaka się pojawiła w Niemczech w dobie klasycyzmu, dając całą swoją działalnością literacką widomy wyraz temu przekonaniu, ponieśli je w masy narodu niemieckiego i przyłożyli się niepomiernie do tego, iż nabrało ono poniekąd znaczenia dogmatu. A dogmat ten okazał się tak silnym, iż nawet reakcya, jaka w początkach naszego wieku pod nazwą i sztandarem romantyzmu wszczęła się przeciw klasycyzmowi w Niemczech, nie zdołała w niczém zachwiać jego siły.

Ale duch czasu i mimo studyów klasycznych nie przeszedł zupełnie bez śladu. Obudził on się najpierw na polu badań nad przeszłością Rzymu. Tu bowiem Niebuhr, mąż równie uczony jak genialny, opierając się na nieskończenie bogatym materyale badań lingwistyczno-historycznych, pierwszy wartość tradycyi rzymskiéj podał w wątpliwość i obudził ducha krytycyzmu, który, podjęty i daléj pielęgnowany przez jego następców, Schweglera, Drumanna, Momsena, Neumanna, Ihnego i in., z gruntu odmienił zapatrywania uczonych na przeszłość dziejową dawnego Rzymu. Albowiem wynikiem uczonych badań było wprawdzie głębsze i wielostronniejsze zrozumienie znaczenia cywilizacyjnego narodu rzymskiego, ale ów cały aparat mityczno-poetyczny, którym fantazya patryotyczna dziejopisarzów rzymskich upstrzyła rze-

czywistość, padł jego ofiarą. Cała pierwsza doba dziejów Rzymu z onemi dwutysięcznoletnią tradycyą uświęconemi i dorastającemu pokoleniu od najrańszego wieku znanemi postaciami siedmiu królów okazała się surogatem, i to niezbyt udatnie zestawionym przez późniejszych kronikarzy w miejsce zaginionéj tradycyi pierwotnéj. Podobny los spotkał liczne postaci rzymskich bohaterów i świętych narodowych doby późniejszéj, owych Scewolów, Brutusów, Poplicolów, Cyncynatów, którzy pod lupą krytycznych badań napowrót się rozpadli w tę nicość, z jakiéj na scenę dziejową wywołała ich fantazya dziejopisarzy. Czyny ludzi historycznych również nie uszły bacznego oka i trzeźwego sądu historyków nowoczesnych. Roztrząsane ze względu na pobudki, przedstawiły mniemaną idealność owych zamierzchłych czasów w bardzo wątpliwém świetle, a sądzone podług ich skutków, doprowadziły do przekonania, iż w świecie rzymskim niebywała świetność kilkuset uprzywilejowanych rodów za czasów rzeczypospolitéj okupiona była nędzą nie do opisania mas, i że owe zniesławione czasy cesarstwa, przynajmniéj w pierwszéj ich połowie, rozpatrywane ze stanowiska interesów ogółu narodów, wchodzących w skład państwa rzymskiego, stanowczo zasługują na pierwszeństwo przed onemi przesławionemi czasami republikańskiéj swobody.

Tak więc krytyka nowoczesna co do dziejów rzymskich doszła do zupełnéj negacyi panujących wszechwładnie jeszcze na początku tego wieku poglądów konwencyonalnych i uprzątnęła gruntownie przesąd, jakoby dawne wieki były bogatsze w idealne dążności, niż nasze czasy. Za to, co do Grecyi, dogmat o niezrównanéj idealności narodu greckiego i jego stosunków utrzymał się w dawnéj sile do chwil ostatnich. Wprawdzieć bowiem i na polu badań nad przeszłością grecką znalazł się umysł bystry, który okiem trzeźwém i nieuprzedzoném rozglądając się w materyale historycznym, przez starożytność nam przekazanym, w swoich sądach o wartości Greków doszedł do wniosków wielce ujemnych. Był nim jeden z najgenialniejszych badaczów i najwszechstronniejszych znawców historyi i literatury greckiéj, Boeckh, który w wiekopomném dziele swojém „*Die Haushaltung der Athener*” wydaje na końcu taki sąd ogólny o wartości kultury greckiéj: „Nie zamykamy bynajmniéj oczu na to, co wielkie i wzniosłe w historyi greckiéj; przyznajemy nawet, iż w niejednym względzie lepiéj u nich było, niż w naszych państwach, ale w wielu względach było téż i gorzéj niż u nas. Tylko jednostronność lub powierzchowność widzi w starożytności wszędzie ideały. Są u nich strony odwrotne, które mniéj są piękne niż te, które się zazwyczaj uwydatnia. Spojrzyjmy tylko we wnętrze życia greckiego w państwie i rodzinie: znajdziemy tam nawet u ple-

mion najszlachetniejszych, do jakich Ateńczyków niewątpliwie zaliczyć należy, głębokie zepsucie moralne, które wniknęło do szpiku kości narodu. Hellenowie w całym blasku swéj sztuki i rozkwicie wolności nieszczęśliwszymi byli, niż zazwyczaj mniemamy; mieli oni zarodek upadku w swém wnętrzu i drzewo to musiało być wycięte, gdy wypróchniało" [1]).

Zaiste, obraz to zupełnie odmienny od onego jaśniejącego wdziękami prawdziwéj poezyi obrazu szczęśliwości greckiéj, jaki w znanéj swéj elegii „*Die Götter Griechenlands*" przed zachwyconym wzrokiem czytelnika roztacza Schiller! Ale czar, rzucony ongi przez tych klasycznych wielbicieli ducha greckiego, okazał się dość silnym, aby przetrzymać to niebezpieczne wstrząśnienie panujących przekonań. Boeckh nie znalazł następców takich, jak Niebuhr, i głos jego pozostał głosem wołającego na puszczy. Świat wykształcony niemiecki poszedł raczéj za nawoływaniami jego naukowych przeciwników, Godofreda Hermanna i Zehrsa, którzy po dawnemu w Grekach upatrywali więcéj bogów niż ludzi i wpadali w zachwyt na samo imię Grecyi. Kierunek ten zaś utrzymał się niezachwiany po chwile ostatnie, gdyż główni przedstawiciele wiedzy na polu studyów nad klasyczną przeszłością Grecyi w czasach obecnych, Curtius i Hertzberg, byli równymi entuzyastami.

Rzecz zresztą wiadoma, iż te zapatrywania oddziałały potężnie na ustrój szkolnictwa wyższego w Niemczech, oddając pod wszelkiemi względami pierwszeństwo gimnazyum klasycznemu, które pomimo wszelkich reform, wymuszonych potrzebami czasu, co do ducha i tendencyi utrzymało się takiém, jakiém w ciągu trzeciego i czwartego dziesięciolecia naszego wieku stworzył je w Prusiech Schulze, a w Bawaryi Thiersch. Ale téż nawzajem, gimnazyum klasyczne kierunkowi ducha, jakiemu zawdzięcza swój początek, wywdzięczyło się sowicie, szerząc zamiłowanie do studyów klasycznych w warstwach oświeconych społeczeństwa niemieckiego.

W ostatnich wszakże czasach w badaniach nad klasyczną przeszłością Grecyi zarysowywać się począł pewien zwrot ku otrzeźwieniu. Głosy, które, idąc śladem Boeckha, oną rzekomą idealność stosunków greckich coraz bezwzględniejszéj poddają krytyce i coraz gruntowniéj rozskubują myty, jakiemi dzieje greckie oplotła łatwowierność i niekłamany entuzyazm dawniejszych pokoleń, nawet w kołach fachowych filologów nie są już rzadkością. I tak profesor Dühring w dziełku swojém „*Burgunderkriege und Perserkriege*" wykazał całą nicość podań Herodota o owych milionowych wojskach i flotach Persów, niby to na-

[1]) W skróceniu.

jeżdżających Grecyę. Welzhofer zaś w swojéj bardzo godnéj czytania rozprawie: *„Zur Geschichte der Perserkriege"* [1]) poszedł nawet daléj i nietylko one miliony odsunął w dziedzinę baśni, ale odarł owe wielkie walki, które przez chwalców Grecyi wysławiane bywają, jako doba najwyższego polotu ducha greckiego, z wszelkiego uroku tak gruntownie, iż sympatye nasze niemal więcéj stoją po stronie Persów, niż po stronie Greków. Do tych zaś głosów sporadycznych i więcéj poszczególne traktujących kwestye, niż obejmujących całość stosunków,—a jest ich sporo — przyłączył się w czasach ostatnich nowy głos, wielce godzien uwagi. Jest nim dzieło profesora uniwersytetu peszteńskiego, Juliusza Schwarca, niewątpliwie jednego z najgruntowniejszych znawców dziejów greckich w czasach obecnych, pod tytułem *„Die Demokratie Athens"* [2]). Uczony autor poszedł tu i pod względem treści i pod względem tendencyi śladami Boeckha i z niesłychaną erudycyą [3]) cały ustrój państwa ateńskiego, niemniéj jak charakter jego mieszkańców, ściśléj i bezwzględnéj poddaje analizie. Ton jego dedukcyi, miejscami nieco jaskrawy, zdradza często rozczarowanie, jakiego doznał autor, zagłębiwszy się w swój temat, ale nie przeszkadza mu wcale zachować stopień obiektywności, jakiego czytelnik od piszącego wymagać ma prawo. Pod względem rzeczowym nagromadzony jest tu materyał niesłychanie bogaty. Ale ta właśnie obfitość materyału czyni je mniéj podatnèm dla wielkiéj masy wykształconych czytelników. Za to tém większą jest jego przydatność dla fachowców, filologów i historyków z zawodu, którzy, gdy znajdą czas i cierpliwość przedrzéć się do końca przez gąszcz cytat i wniosków, znajdą w niém obfite pouczenie i rozszerzenie własnych poglądów.

Prof. Schwarc, podobnie jak Boeckh, daleki jest od tego, aby odmawiać Atenom i ich demokracyi wszelkiéj zasługi. „Wielkość Aten — mówi on — jest rzeczą niewątpliwą, aczkolwiek zasługi ich dla ludzkości na pierwszy rzut oka większemi się wydają, niż były faktycznie. Wielkość Aten nie polega wszakże ani na bitwie pod Maratonem, ani na rzekomych zasługach około ludzkiéj wiedzy, ani na mniemanéj wzorowości ich urządzeń państwowych, ani téż na ich konstytucyjnéj moralności. Wielkość Aten spoczywa jedynie i wyłącznie w niepospolitym zmyśle ich mieszkańców do plastyki, budownictwa, epiki, dramaturgii, tudzież w wytworzeniu niektórych urządzeń." A daléj: „Ponad wszelkie wątpliwości wyniosłemi były zasługi, jakie demokra-

1) *„Jahrbücher für klassische Philologie u. Pädag."*, rok 1891/2.
2) W Lipsku, nakładem Friedricha.
3) Samo wyliczenie odnośnéj literatury zajmuje 56 stron.

cya ateńska zjednała sobie około podniesienia sztuk pięknych. Niewątpliwie miał Perikles prawo zasługi te uwydatnić z dumną samowiedzą. Gdyby Ateny nie były pozostawiły światu żadnych innych dowodów swego bytu państwowego, krom swych zabytków sztuki, które taż demokracya stworzyła za inicyatywą i podług planu Periklesa, jużby to państwo musiało być przedmiotem podziwu nawet dla najdalszych pokoleń. Plastyka i budownictwo osiągnęły tu bowiem stopień doskonałości, na jaki nigdy przedtém, ani nigdy potém, nie wzniósł się zapal artystyczny żadnego z państw helleńskich."

Niemniéj gorące słowa zachwytu nasuwa Schwarcowi na usta kraj atycki. Nieco chłodniéj wyraża się natomiast o wrażeniu, jakie miasto samo robić musiało na przychodniu. Odliczywszy bowiem arcydzieła budownictwa i rzeźbiarstwa, któremi lud ateński upiększył swe rodzinne gniazdo, zewnętrzność jego—podlug Schwarca—przedstawiała się nieszczególnie, tak iż Ateny pod tym względem nie mogly się równać z innemi spółczesnemi miastami, jak Korynt, Syrakuzy, lub późniejszemi, jak Aleksandrya. Były one bowiem raczéj wielkiém siołem, acz upiększonem niezliczonemi świątyniami i posągami, kopowiskiem bez smaku, labiryntem domów z palonéj cegły i ulic tak krzywych a wąskich, iż schody, poręcze, zwieszające się górne piętra i drzwi otwiérane na zewnątrz uniemożliwiały wygodną i spokojną przechadzkę na ulicy.

Ale w tych niewygodnych domkach i ciasnych zaułkach snuł się lud, którego życie na pierwszy rzut oka wydawać się mogło idealnie szczęśliwém i zazdrości godném. Mieszkało bowiem w Atenach podług obliczeń Schwarca około 20,000 wolnych obywateli i 400,000 niewolników. Pierwsi, w ogólności wziąwszy, znajdowali się w położeniu, jakie dzisiaj jest celem westchnień utopijnych reformatorów ludzkości. Państwo bowiem zapewniało byt obywatelom, chociażby najbiedniejszym, byleby tylko byli zdolni do pracy i chętni do pracy. Albowiem, począwszy od skończonego dwudziestego roku życia, każdy obywatel ateński mógł brać udział w zebraniach ludowych, za co otrzymywał wynagrodzenie z kasy państwowéj. Daléj pobiérał on udział w pieniądzach, rozdzielanych pomiędzy lud ateński w pewne wielkie uroczystości, w podarkach zbożowych, przysełanych przez osady zagraniczne, i w czynszach dzierżawnych, płaconych przez osadników jako podatek z ziem zdobytych i im na użytek przekazanych. Po skończeniu lat trzydziestu, każdy obywatel wylosowany mógł być na sędziego, za co osobną, stosunkowo dość znaczną, pobiérał płacę. Nadto każdy, kto tylko chciał pracować, bez trudności znajdował dobrze płatne zajęcie na flocie, w wojsku, przy robotach publicznych i t. p., a trzydzieści

razy do roku ugaszczany bywał na koszt skarbu przez państwo. Wstęp do teatru miał wolny, tak samo przystęp do wszelkich igrzysk i popisów publicznych muzyków, śpiewaków, poetów, rapsodów i in. Przy niejakiéj pilności mieszkańców, mógłby był zatém zakwitnąć ogólny dobrobyt w tym od natury bogato uposażonym kraju, ile że położenie korzystne nad morzem otwiérało pole zysków obfitych z handlu, rybołówstwa i innych gałęzi przemysłu. Tymczasem było inaczéj. Lud ateński nie rwał się do pracy, uważając ją za coś upośledzającego, i zostawiał raczéj pole zarobkowości, płynącéj z uprawy ziemi, sadownictwa, pszczelnictwa, górnictwa i rzemiosła, niewolnikom lub cudzoziemcom wśród niego osiadłym, czyli tak zwanym metoikom. Wieczne lubowanie się w rozkoszach plastyki, muzyki i liturgicznego ceremoniału, wieczne świętowanie estetyczno-religijnych uroczystości, do tego zbytek i marnotrawstwo wszelkiego rodzaju przeszkadzały nagromadzeniu kapitałów. Wielka masa ludu ateńskiego była téż raczéj biédna niż bogata, a ludzie rzeczywiście bogaci stanowili tylko nader drobny odłamek w klasie wolnego obywatelstwa.

Skądże się tedy brały sumy olbrzymie na opędzenie tak znacznych wydatków?

Tu profesor Schwarc dotyka pierwszego punktu czarnego w życiu państwowém ateńczyków. Zdaniem jego bowiem, główne dochody skarbu ateńskiego płynęły z gwałtu publicznego i, możnaby wprost powiedzieć, łupiestwa. Kierownicy państwa ateńskiego nie robili sobie pod tym względem skrupułów: gdy wiedzieli, że gdzie są pieniądze, podejmowali wyprawę i zabiérali je przemocą, podstępem, zdradą, przekupstwem, lub jakimkolwiek innym sposobem. I tak Miltiades tuż po zwycięstwie pod Maratonem obietnicą, iż przywiezie skarbów co niemiara, skłonił lud ateński, iż mu oddał flotę do dyspozycyi bez wyjawienia celu wyprawy. Miltiades napadł na wyspę Paros, ale znalazł taki opór, iż nic nie wskórawszy, odstąpić musiał. Zawiedziony w swych nadziejach uzyskania złota, stawia lud ateński Miltiadesa pod sąd i wrzuca do więzienia, gdzie po krótkim czasie umiéra.

Lepiéj powiodło się Temistoklesowi. Ten bowiem, nie pytając wcale ludu ateńskiego o pozwolenie, po zwycięstwie salamińskiém wyprawia się po łupy, krąży po morzu Egejskiém z flotą jak prawdziwy korsarz, łupi, pali, bierze okupy, ale że z bogatym łupem powraca do domu, więc lud ateński za jego bezprawny i samowolny postępek wcale go nie pociąga do odpowiedzialności.

Wojna peloponeska jest jednym nieprzerwanym szeregiem wypraw łupieskich ze strony Ateńczyków na wszystkie strony świata. I tak napadają oni pod błahym pozorem na zamożnych Melijczyków i zdo-

bywszy miasto, ludność męską w pień wycinają, a niewiasty i dzieci zaprzedają w niewolę. Tym sposobem zyskują ziemię dla 500 osadników ateńskich. Na daleko większą skalę pomyślana była wyprawa łupieska przeciwko Sycylii, do któréj lekkomyślnych ziomków namówił Alcibiades. Wyprawa, jak wiadomo, z winy tychże Ateńczyków i przez zdradę Alcibiadesa skończyła się fatalnie. Ale i inne strony doznały ciężkiéj ręki Ateńczyków. Dwa razy do roku napadają na Megarę; Kos, Kythera, Kyzikos, Thasos, Tracya, Macedonia nie są nigdy bezpieczne przed ich odwiedzinami.

A były te wyprawy zazwyczaj połączone z oburzającemi okrucieństwami i iście zwierzęcą żądzą krwi. O wymordowaniu Melijczyków dopiéro co wspomnieliśmy. Koryntckich jeńców postawiono nad przepaścią i zmuszono rzucić się na głowę. Beockie miasteczko Mykalessus po zdobyciu w pień wycięto, nie oszczędzając nawet dzieci, zgromadzonych w szkole [1]. Przed bitwą pod Aigospotamos rada wojenna ateńska uchwala 3,000 jeńców odciąć ręce, a w odwet za to Lysander po bitwie zamordować każe 3,000 Ateńczyków. Aiginetów po zdobyciu ich siedziby Thyrci prowadzą do Aten i tam wszystkich mordują. Zbuntowanych Mytilenejczyków chciano pierwotnie, podobnie jak Melijczyków, wymordować wszystkich, lecz następnie odwołano uchwałę i stracono tylko tysiąc, za to odjęto im ziemię i rozdzielono pomiędzy kolonistów ateńskich.

Najbardziéj charakterystycznėm jest jednakże postępowanie wodzów ateńskich w Korcyrze. Tutaj bowiem istniały, jak we wszystkich miastach greckich, dwie partye: ludowa i arystokratyczna. Partya ludowa chwyta za broń, napada na przeciwników i morduje 60 ich przodowników, zebranych w ratuszu. Wszczyna się straszna walka uliczna, w któréj nawet kobiéty biorą udział; krew leje się strumieniami. Lud zyskuje przewagę, ale arystokraci podpalają miasto. Za pośrednictwem dowódcy ateńskiego w Pylos strony wojujące zawarły układ, ale już po krótkim czasie wznowiły się kroki wojenne. Wtenczas to około 600 arystokratów uchodzi z miasta, rozbija w bliskości oszańcowany obóz i szczęśliwemi podjazdami doprowadza przeciwników w mieście do rozpaczliwego położenia. Szczęściem dla nich zawijają do Korcyry w przejeździe do Sycylii wodzowie ateńscy, Eurymedon i Sophokles. Ściśnieni przez nich, arystokraci kapitulują pod warunkiem, iż zostaną odwiezieni do Aten i tam stawieni przed sąd ludowy. Ale wodzowie, gdyby dotrzymać chcieli warunków układu, musieliby odsta-

---

[1] Na uniewinnienie Ateńczyków dodać należy, iż czyn ten barbarzyński spełniony był przez Traków, którzy jednakże byli pod wodzą Ateńczyków.

wienie jeńców zlecić komu innemu, na którego spadłaby lwia część sławy i względów ludu ateńskiego. Aby więc nie dopuścić, iżby kto inny zbiérał owoce ich pracy, postanowili jeńców wytracić i w tym celu układają plan szatański. Układ zawiérał wielce niebezpieczną klauzulę, iż cała umowa miała być nieważną, gdyby ktokolwiek z nich próbował ucieczki. Nakłaniają tedy kilku z nich do tego kroku przyrzeczeniem, iż ucieczce ich nie stawią przeszkód, ale ich natychmiast chwytają i układ cały ogłaszają za nieważny. Następnie wydają ich na zemstę Korcyrejczykom. Ci zamykają ich w budynku, z którego wyprowadzają ich, związanych po dwudziestu, na plac stracenia. Tym sposobem stracono ich już sześćdziesięciu, gdy pozostali jeńcy pomiarkowali, co się święci, i nie chcieli wychodzić. Korcyrejczycy tedy zdejmują dach i zgóry ubijają ich strzałami, dzidami, kamieniami, cegłami i t. p. Oszukani tym podłym sposobem, nieszczęśliwcy zasłaniają się, czém mogą, ale przekonawszy się o próżności wszelkich wysiłków, gdy noc nadeszła, śmierć sobie zadają strzałami, dzidami, lub téż wieszając się na pasach i podartéj w szmaty odzieży. Po tym czynie haniebnym wodzowie ateńscy odpływają do Sycylii, pełni zadowolenia z udanego podstępu, a ludowi ateńskiemu ani na myśl nie przychodzi za tę nikczemność wytoczyć im jakowyś proces.

Tych kilka przykładów z długiego szeregu faktów, jakie w swém dziele przytacza prof. Schwarc, wystarcza, aby przekonać, iż owa sława niezwykłéj humanitarności, przypisywanéj Grekom wogóle, a w szczególności Ateńczykom, na wątłych tylko polega podstawach. Owszem, wyuzdany egoizm i krwiożercze popędy są wszędzie cechą znamienną w ich wewnętrznych walkach. W stosunkach zaś zewnętrznych przemagają wiarołomstwo i szalbierstwo, jak tego dowodem między innemi postępowanie Ateńczyków wobec sprzymierzonych. Jak bowiem wiadomo, utworzył się po odejściu Persów w celach obrony przeciwko wspólnemu wrogowi nowy związek państw greckich pod przodownictwem Ateńczyków. Związek ten miał osobną kasę, do któréj każde z państewek, w skład jego wchodzących, płaciło pewną składkę. Po niejakim czasie nakłonili Ateńczycy Samijczyków, aby w radzie związkowéj stawili wniosek o przeniesienie kasy do Aten, jako dających więcéj pewności, niż bezbronna wysepka Delos. Wniosek przeszedł. Zaledwie jednak Ateńczycy mieli kasę związkową u siebie, gdy poczęli ją uważać jako własne pieniądze, używając ich przedewszystkiém do pokrycia olbrzymich kosztów tych wszystkich budowli, jakiemi Perikles naówczas przyozdabiał miasto, a daléj do urządzania wielkich uroczystości narodowych, opłaty dyet za udział w zebraniach ludowych i wstępnego do teatru za biednych mieszkańców i t. p. A gdy Samos, Naxos, Thasos

i in. wzbraniały się płacić składki na cele, ich nie obchodzące, flota ateńska pod wodzą samego Peryklesa dała im naukę tak energiczną, iż i im i innym sprzymierzeńcom na wieki odeszła ochota sprzeciwiać się życzeniom Ateńczyków. Podstęp i gwałt opłaciły się tu sowicie. Albowiem przez zagarnięcie kasy związkowéj zyskali Ateńczycy jednorazową sumę 10000 talentów (po 2370 rubli) i 460, późniéj, po podwyższeniu składki, 1300 talentów rocznego dochodu.

Do równie pesymistycznych wniosków dochodzi Schwarc w swoich badaniach nad życiem prywatném Ateńczyków. I tak zastanawia się między innemi nad losem onych 400000 niewolników. Położenie ich w Atenach nie było może tak okropne, jak położenie helotów w Lakonii, ale mimo onéj wychwalanéj łagodności charakteru ateńskiego zawsze jeszcze bardzo smutne. I w Atenach bowiem, jak w innych krajach, gdzie *de jure* czy *de facto* istniało niewolnictwo, niewolnik wobec prawa nie uchodził za osobę, ale za rzecz, i jedyną ochroną, jaką mu prawo dawało, było, iż nie pozwalało panu zabić go bez wyroku sądowego. Jeśli jednakże pan mimo prawa zabił go samowolnie, natenczas nie był pociągany do odpowiedzialności, ale tylko oczyścić się musiał ze zmazy krwi za pomocą pewnych obrzędów religijnych. Aby zatém ujść gniewu i pómsty swego pana, nie pozostawało niewolnikowi innego środka, jak schronić się do świątyni Tezeusza i tu przeczekać, aż gniew pana ominie jeśli biedaka stąd nie wypędzi. Zresztą, jakie bywały kary na niewolników, to nam pokazują Aristophanesa „Żaby" (616 in.), gdzie Xanthias, oddając Aiakosowi niewolnika na przesłuchy, mówi: „Rozepnij go na drabinie, powieś go, wal harapem, odrzéj mu skórę, weź na torturę, octu w nozdrza naléj, przywal cegłami, rób zresztą, co chcesz".

Równie upośledzone, jak niewolników, było stanowisko kobiet w Atenach. Życie płci żeńskiéj ukazuje się podług słów Schwarca nawet w dobie najwyższego rozkwitu państwa ateńskiego, za czasów Peryklesa, na tém samém niskiém stanowisku wegetowania, na jakiém je widzimy za czasów wojen perskich. Żony i córki ateńskie wiodą zawsze jeszcze to samo życie fizyczno-zmysłowe co dawniéj. Te same kąty domu ciemne i duszne są ich dziedziną, tak samo zaniedbane jest ich wychowanie i zamknięte pożycie towarzyskie. Wstęp do teatru, udział w biesiadach, uczestnictwo w rozrywkach publicznych i prywatnych jest im niedozwolone; przykute wiecznie do ciasnych kątów swojego gineceum, nie mają nawet prawa zawiązać rozmowy z znajomymi i gośćmi ojca, męża, brata, syna, wéjść w styczność choćby najlżejszą i najniewinniejszą z obcymi ludźmi. Małżeństwa zawierają się bez wiedzy i woli córek przez rodziców, jedynie ze względów finansowych. Świat

czarowny uczuć, powabów i popędów szlachetnych, z których w naszych czasach zwykło wykwitać obyczajne obcowanie obudwu płci między sobą, był sercu dziewicy ateńskiéj zupełnie nieznany. Dlatego też one cne niewiasty ateńskie czasów periklesowych są to zjawiska nad wszelki wyraz smutne, o plastyczno-piękném ciele, ale bez wykształcenia. Nadają one się przedziwnie do przydawania blasku i ozdoby procesyom uroczystym jako nosicielki koszów, dzbanów, placków i kłosowych wieńców, ale jako matki są bez wykształcenia i serca, jako panie domu zamiłowane w strojach, jako żony nie wiele co wyższe od pierwszych lepszych władczyń haremów spółczesnych lewanckich, jako dziewice zbyt mało znają one zachwyt miłości, który tak uszlachetnia całą istność kobiety, chyba żeby się za to chciało poczytać one tu i owdzie odbywane nocą obchody religijne, przy których wszakże uniesienia miłosne objawiały się w formach niewiele co idealniejszych, niżli dzisiaj u plemion wysp Przyjacielskich.

Co do wykształcenia młodzieży męzkiéj, sąd swój o niém zawiera prof. Schwarc w wyrazach: nędzne i opłakane. W Atenach periklesowskich istniały tylko prywatne szkoły i prywatni nauczyciele, których o uzdolnienie do tego urzędu nikt nie pytał. Uczono też wówczas przeważnie tylko czytania, rzadziéj pisania, gry na cytrze, deklamowania utworów Homera i Hezyoda. Dopiero po podniesieniu miasta z pomocą kasy związkowéj, Ateny stały się miejscem zborném wszystkich duchów pięknych, i odtąd też można było w Atenach wyćwiczyć się w retoryce, dialektyce, polityce i innych wiadomościach praktycznych, nie udając się za granicę. Ale honorarium było tak wysokie, iż zaledwie młodzieńcy najbogatszych rodzin przystęp do nauk mieli otwarty. Tak brał np. sofista Protagoras od swych słuchaczy rocznie 10000 drachm (1300 rubli), a zatém sumę, którą zaledwie stu ateńczyków wykazać mogło jako roczny swój dochód. To też np. synowie Hippokrata, bogatego i znakomitego ateńczyka, pozostali zgoła bez wykształcenia, a Hyperbolos, długoletni przewodnik ludu ateńskiego, nawet czytać nie umiał. Jak zaś w ogólności było w Atenach z wykształceniem zamożniejszéj młodzieży, o tém dowiadujemy się z dyalogu Platona, pod napisem A l c i b i a d e s. Tu bowiem Sokrates w następujących słowach odzywa się do bohatéra dyalogu: „Wuj twój, Perikles, dał ci za nauczyciela Zopyrusa, który już ze względu na wiek swój był najniedołężniejszym z jego niewolników. Czegoś się u niego nauczył, jest mi mniéj więcéj wiadomo. O ile sobie przypominam, nauczył on cię czytać, grać na cytrze i gimnastykować. Czy chcesz zatém czekać, aż te przedmioty przyjdą pod obrady w zgromadzeniu ludowém?” Rzecz zaś swoją kończy Sokrates w sposób następujący: „Widzisz zatém, jaki z ciebie nieuk. Chciałeś

się rzucić na politykę, nie mając o niéj najlżejszego pojęcia. Zresztą nie tobie samemu to się zdarza. Podobnie jak ty, postąpili właściwie wszyscy mężowie, którzy w naszém państwie odegrali jakąś rolę, z niewielu tylko wyjątkami. Do tych wyjątków należy i wuj twój, Perikles".

Stopniowi wykształcenia młodzieży odpowiadał stopień wykształcenia u dorosłych. Najwyższą instancyą we wszelkich sprawach sądowych i administracyjnych było zebranie ludowe. Aby w niém głos uzyskać potrzeba było jedynie wykazać, iż się jest obywatelem ateńskim i że się skończyło lat dwadzieścia. Z ogółu zebranych wylosowywano 6000 sędziów przysięgłych, 500 rajców i innych urzędników (ostatnich z pomiędzy ubiegających się), bez żadnych innych wymagań, jak tylko iżby skończyli rok trzydziesty życia. [1]) Sędziowie tworzyli najwyższą instancyę we wszelkich sprawach cywilnych i kryminalnych, w ręku rajców spoczywały wszelkie sprawy administracyjne. Wybór dokonywał się w najprostszy sposób w świecie. Na stole stały dwie urny: w jednéj były ziarnka grochu czarne i białe, w drugiéj nazwiska kandydatów. Wyciągano równocześnie nazwisko kandydata i ziarnko grochu: białe oznaczało wybór, czarne odrzucenie.

Tak wybrane ciała składały się naturalnie przeważnie z osób, które do załatwiania skomplikowanych nieraz spraw urzędu zgoła nie były przysposobione. To téż rozstrzygały w nich nie względy na dobro publiczne, ale interes prywatny, próżność, zemsta, zazdrość i t. p. Te same czynniki działały w zebraniach ludowych. Tém się téż tłómaczą wszystkie one szykany, jakich ze strony ludu ateńskiego doznawali mężowie wybitniejsi, Aristides, Perikles, Konon, Focyon i in., tém—postępki tak nieskończenie podłe i głupie, jak sądzenie i stracenie zwycięskich wodzów po bitwie pod Arginusami, tém wreszcie—proces i śmierć Sokratesa. Z człowiekiem bowiem, który tak bezwzględnie mówił prawdę jak Sokrates, nie wiedzieli Ateńczykowie, co począć, jak tylko pozbyć go się jak najprędzéj. „Czara trucizny poświęcona była jedynie reformatorowi politycznemu; musiał on umrzéć, ponieważ grochową radę i grochowych urzędników znajdował śmiesznymi i nie chciał o tém wiedziéć, aby najwyższa władza wykonywana była przez ciemne, nieokrzesane masy". Ale w téj ciemnocie mas, powołanych do rządów, wielu spółczesnych upatrywało właśnie zaletę konstytucyi ateńskiéj Tucydides przynajmniéj kładzie znanemu przywódcy ludowemu, Kleo-

---

[1]) Wybrani urzędnicy, zanim urząd objęli, musieli wprawdzie poddać się tak zwanéj dokimazyi, czyli rodzajowi egzaminu przed osobną komisyą, ale ten egzamin nie rozciągał się na ich techniczne uzdolnienie, tylko na ich pochodzenie ateńskie i wolność od kar kryminalnych.

nowi, następujące słowa w usta: „Jest to prawdziwém nieszczęściem, iż nam tak trudno przyjść do uznania prawdy, że ludzie nieoświeceni lepiéj się nadają do rządzenia krajem, niż oświeceni. Ci bowiem zawsze chcą być mędrszymi niż prawa, jak gdyby nie było ważniejszego zadania jak popisywać się bystrością umysłu, przez co zazwyczaj państwo o zgubę przyprawiają. Tamci zaś okazują się bezparcyalnymi sędziami i sąd ich zawsze trafnym bywa". A choć może się wątpliwą wydawać rzeczą, czy właśnie Kleon wypowiedział te słowa, zdania podobne w ludzie ateńskim niewątpliwie szeroko były rozpowszechnione.

Napróżno szukalibyśmy téż u Ateńczyków wybitnych cnót obywatelskich. Z wyjątkami tak nielicznemi, iżby je na palcach policzyć można, nie było ich nawet w najlepszéj dobie państwa ateńskiego. Mężowie stanu ateńscy przedewszystkiém myśleli o sobie i gdzie mogli okradali skarb publiczny. Lysias w swéj mowie o upadku demokracyi ateńskiéj wprost się o tém wyraża w sposób następujący: „Wiadomo wam wszystkim, ilu z naszych mężów stanu okrada skarb publiczny, ilu za plecami naszemi bierze łapówki, ilu przez swéj sykofantyzm zniewoliło sprzymierzeńców naszych do odpadnięcia". A prócz nierzetelności w zawiadywaniu pieniędzmi publicznemi, ten grzech szpetny wyradza jeszcze inne, wiele wstrętniejsze owoce. Zdrada bowiem ze względów osobistych lub partyjnych w dziejach państwa i narodu ateńskiego niesłychanie ważną gra rolę. I tak już w czasie bitwy pod Maratonem partya Alkmeonidów, Persom przyjazna, nosi się z myślami o zdradzie i wywiesza na Pentelikonie tarczę białą, jako znak dla Persów, iż nie są bez przyjaciół w mieście. W czasie wojny peloponeskiéj wódz ateński, Phrynichos, zdradza za pieniądze plany Alcibiadesa wodzowi spartańskiemu Astyochosowi, ten zaś, przekupiony, zdradza naodwrót wszystkie tajemnice Alcibiadesowi i zaprzyjaźnionemu z nim Tisaphernesowi. Partya arystokratyczna w Atenach w czasie téjże wojny stale knuje spiski ze Spartanami na zgubę miasta rodzinnego. Pod Aigospotamos Lysander po umówionych znakach poznaje chwilę stosowną do napadu na flotę ateńską. A takich przykładów wylicza Schwarc bez liku.

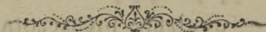
Takie stosunki nie były gruntem podatnym do wytworzenia wielkich charakterów. Wszyscy téż owi wielcy mężowie, których nas w szkole czcić nauczono, jako pierwowzory cnoty obywatelskiéj i patryotycznego poświęcenia, widziani w świetle krytyki historycznéj, z bardzo a bardzo nielicznemi wyjątkami, wcale a wcale inaczéj się przedstawiają. I tak ów to stary lew, którego imię nierozerwalnie połączone jest na wieki z imieniem Salaminy, Temistokles, jakże nieponętny pod względem moralnym przedstawia widok! Zaledwie bitwa skończona,

zamiast ścigać wroga, rzuca on się na Cyklady, jak prawdziwy pirata, pali, morduje, wyciska okupy, przyjmuje grube łapówki, każe nawet tracić ludzi niewinnych za pieniądze, wzięte od ich osobistych nieprzyjaciół. A po powrocie do Aten, jako wszechwładna osobistość, wyjednywa wolny powrót zbiegom i wygnańcom nietyle podług słuszności ich sprawy, ile podług wysokości sum, jakie mu płacą. Tym sposobem zbiera olbrzymi majątek, a gdy widzi, iż nie zdoła się oczyścić od wielorakich zarzutów wiarołomstwa i nierzetelności w prowadzeniu finansów państwowych, zbiega do Argos, stąd zaś udaje się do Azyi, gdzie z łaski króla perskiego żyje do śmierci na książęcéj stopie, jako perski satrapa.

Równie smutną osobistością jest drugi wyobraziciel charakteru ateńskiego, Alcibiades. Czyny jego dostatecznie są znane. Popycha on jedynie z egoistycznych pobudek Ateńczyków do kroków nierozważnych, a zwłaszcza do onéj nieszczęsnéj wyprawy sycylijskiéj. Odwołany, przerzuca się bez skrupułów na stronę wroga, zdradza mu z najdrobniejszemi szczegółami plan wojenny Ateńczyków, który sam był ułożył, namawia Spartan do wysłania posiłków Syrakuzanom i obsadzenia Decelei i czyni, co może, aby przyprawić o zgubę kraj swój rodzinny. Wysłany przez Spartan z pięciu okrętami do walki przeciw własnym ziomkom, namawia licznych sprzymierzeńców do porzucenia związku ateńskiego, skłania Persów do przymierza z Spartanami i inne wyświadcza im przysługi. Ale Spartanom przykrzy się wreszcie jego próżność i chęć przewodzenia. Alcibiades, nie czując się wśród nich pewnym życia, ucieka i napowrót kojarzy się z Ateńczykami, aż wygnany powtórnie, ginie marnie na obczyźnie.

A równie niekorzystnie wyglądają w badaniach Schwarca inni wybitni mężowie greccy. Słowem, całość wyników poszukiwań jego nad historyą demokracyi ateńskiéj składa się w obraz niewesoły i wcale odmienny od tego, jaki od lat wielu dziesiątków ustalił się w wyobrażeniach klas, ukształconych za pośrednictwem szkoły. A choć styl jego razi niekiedy pewną przesadą, i mianowicie niezbyt szczęśliwemi wydają się porównania z stosunkami i wyobrażeniami chwili bieżącéj, temat traktowany jest tak gruntownie i wnioski, jakie autor wyciąga z swych studyów, tak obszerną poparte są erudycyą, iż badacz, zajmujący się historyą starożytną, z trudnością dzieło jego będzie mógł pominąć milczeniem.

Prof. A. Chudziński.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Adam Krechowiecki. „Rdza“, powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1898, tomów dwa.

Tytuł wiele znaczy w powieści. Dobrany odpowiednio, uwydatnia ogólną jéj treść, zaznacza kierunek akcyi, przyczynia się do wczesnego uświadomienia rozwiązania wypadków, wytyka ich dźwignię naczelną. Krechowiecki zawsze czułym był na tę pomocniczą i popularyzacyjną stronę okładki. Tytuły jego opowiadań obok pewnéj tajemniczości, czy też zagadkowości, podniecającéj ciekawość, mieszczą w sobie najzwykléj — że się tak wyrazimy — filozofię tego właśnie kawałka duszy ludzkiéj lub przyrody, który autor odsłonić przedsięwziął z pod misternie sfałdowanych firanek fabuły powieściowéj.

W jego „Rdzy“ — rdza głęboko kryje się po za faktycznym przebiegiem zdarzeń. Notować ją trzeba z ołówkiem w ręku, — wówczas narasta i mnoży się do obfitości kłopotliwéj. „Pańskość wzięli dyabli, ale została krew szlachecka, a to jest rdza, któréj nie wywabisz“ (I, 51). „Snadź namiętność przejadła cię jak rdza“ (86). „Na serce bohatéra ubóstwo jego padało jak rdza“ (145). „Jak rdza przejadło kłamstwo dusze nas wszystkich“ (II, 17). „Bezmierne, bałwochwalcze pieszczoty matki były tą rdzą pierwotną, którą następnie spotęgował cynizm wypływający... z utraty wiary w dobre“ (98). Jeżeli wszystko to razem — cynizm, pieszczota, krew, ubóstwo, kłamstwo, namiętność i t. p. — jest rdzą, zachodzi pytanie, co nią nie jest?

Tytoń, wódka, kawa, herbata — trawią nas również—i co najmniéj jak rdza żelazo; w mniejszym może nieco stopniu trawi nas także słońce, miłość, praca.. Rdzą jest mądrość, która człowieka na odosobnienie i samotność skazuje; rdzą płochość, która uciech szukać doradza w gwarnym i ruchliwym tłumie; rdzą powietrze, którém człowiek przychodząc na świat oddycha; rdzą ziemia, która nas, po śmierci, do swego łona przytula...

Rozsunięte na taką szerokość pojęcie rdzy staje się jednoznacznėm z wyobrażeniem doświadczeń życia, bytu. „Nauczy cię życie" „opamięta czas", „przekona doświadczenie" — są w mowie potocznéi synonimami tego, co Krechowiecki do ogólnego mianownika rdzy sprowadza. Ale, jak doświadczenie doświadczeniu nie równe, tak téż i rdza bywa rozmaita: jedna może nas z nóg obalać, druga na nogi stawiać, trzecia dobre popędy serca niweczy, czwarta złe nałogi umysłu wspiéra i wzmacnia...

Od najdawniejszych powieści Krechowieckiego owa powszechna rdza życia miała właściwości nie wyłącznie i nie bezwzględnie rozkładowe, ujemne. Była nietylko szczyptą popiołu posypywanego na głowy na dowód, iż wszystko jest marmością nad marnościami, ale téż i ową krédką poświęcaną, któréj czarodziéj używa przeciwko szatanow, pychy, swawoli, krnąbrności, niedowiarstwa i t. d. Młodzian wykolejony z utartéj drogi zawodowego swego powołania, dziewczę porwane w wir usamowalniających prądów wieku, oboje doznawali często dobroczynnego wpływu rdzy wytrawiającéj i oczyszczającéj, — aż dopóki nie weszli na zbawienne szlaki poprawy, uwieńczonéj najzwykléj nagrodą związków małżeńskich, albo też — gdy już na nagrodę było zapóźno, — to choć krzyżykiem przebaczenia u furty kościelnéj lub na progu wieczności.

Wyznać trzeba, że ta dążność restauracyjna i lecznicza przybrała w niektórych odłamach beletrystyki naszéj najświeższéj doby rozmiary nieco za wielkie, niepokojące. Wieść gminna niesie, że dość sroczce szczyptę soli na ogon posypać, aby ją powstrzymać od odlotu na obce pola, pod cudze strzechy; w powieściach tegoczesnych wystarcza niekiedy wziąć do ust źdźbło takiéj rdzy Krechowieckiego, ażeby się pozbyć wszelkiéj chęci, wszelkiego upodobania do wypraw lub wycieczek w nieznane krainy ideału, w nieobjęty świat sztuki, umiejętności, swobody. U autora „Zmarnowanych", „Najmłodszych", „Jestem", „Kresu", „Rdzy", — spore dozy owych specyfików odradzających rozcieńczają się do niepoznania na oko w ogromnéj stosunkowo ilości motywów, wątków, osnów, składających się na całość opisową, — ale nie znikają nigdy i nigdzie. Jasny, przejrzysty a wartki potok słowa za-

garnia i pochłania pierwiastki „odżywcze” (moralizatorskie) tak szybko i żywo, że obecność ich spostrzegamy dopiéro po skutkach ostatnich, decydujących; spostrzegamy je wszelakoż nie bez pewnego czasem uczucia niesmaku, który w sztuce sztucznością się nazywa. W rozbieranéj powieści nowoczesny kunszt romansopisarski zrobił jeszcze jeden krok naprzód wśród zawiłych ścieżyn kompozycyi, powołanéj nietylko do dysymulacyi, ale téż — w możliwéj mierze — i do asymilacyi nierozpuszczalnych zazwyczaj grudek tendencyi czy to utylitarnéj, czy etycznéj. Po przeczytaniu kilku początkowych rozdziałów „Rdzy” doznajemy niewysłowionéj ulgi, nad wyraz słodkiego zadowolenia, — takiego zadowolenia, jak kiedy — przebaczmy trywialności porównania — dziecko dostaje, zamiast cytwaru, łyżkę najczystszego miodu .. Dowiadujemy się bowiem, że dr. Tomasz Rolicz, główny motor i stropowa kolumna gmachu powieściowego, jest już zupełnie nawrócony, że w nim rdza oddawna sprawiła swoje, że zatém nie będziemy potrzebowali być świadkami całego przewodu... uzdrawiającego. We Lwowie o tém moralném zdrowiu Rolicza wiedzą wszyscy, z wyjątkiem jednéj tylko pani Kasprzyckiéj, rozwódki gadatliwéj, srodze na „nieboszczyka” męża rozżalonéj za to, podobno, że dobrym był do książki i do niczego więcéj. Pewnego dnia ozwie się ona do pani Nadolskiéj, siostry Rolicza, zajmującéj się, po swojém owdowieniu, gospodarstwem brata: „Co do téj świętości pana Rolicza, to ja kochanéj pani powiem: w świętych mężczyzn nie wierzę. Może byli kiedyś, jak kalendarz układano, ale co teraz to nic. Ja się do kalendarzowych nawet mężczyzn nie modlę, — wystarczają mi święte niewiasty...” — „Co téż pani wygaduje!” — ofuknie ją Nadolska. — „E, pani kochana, wiem co mówię. Niech się pani gorszy, ale to muszę powiedziéć, że kochana pani, osoba taka miła i rozsądna, przy tym bracie kompletnie rdzewieje... Alboż to życie? — Raniutko, skoro świt, do kościoła, wieczorem znowu do kościoła. Ja bywam w świecie, to wiem, co ludzie mówią. Że pan Rolicz uczony, że poczciwy, że zacny — to wszyscy przyznają; ale z tych jego nabożeństw i pustelniczego życia śmieją się. Nazywają go... wié kochana pani, jak nazywają? — oto: gryzi ołtarz...”

Więc rzeczywiście nic już nie będziemy mieli do czynienia ze rdzą w dalszym ciągu opowiadania?... Przeciwnie: więcéj niż kiedykolwiek — tylko-że przyjmować ją wypadnie w kapsułkach. Nikt rdzy nie uniknie, nikt się od niéj nie uchroni. Ilekroć nie działa ona wprost, działa ubocznie, pośrednio, pod przebraniem, ukradkowo. Lekarzem, opiekunem ubogich nie Rolicz, lecz rdza; dobroczyńcą, jałmużnikiem, kierownikiem nie on, lecz ona, — zawsze i wszędzie ona.

Rolicz tylko naczyniem i narzędziem, ręką zaś sprawczą, duszą poruszającą — rdza...

Rolicz ma przyjaciela, Zygmunta Wilskiego. I jego również rdza pożera, — pożarła już do połowy, ale rdza innego całkiem gatunku. Stracił on majątek, stracił późniéj żonę, tracić obecnie zaczyna rozum, sumienie, godność, romansując z żoną Czepiela, swego zwierzchnika w biurze rachunkowém, w którém znalazł skromne dodatkowe zajęcie, pozwalające mu zaprzestać nareszcie grabiezkiego czerpania z resztek skromnego funduszu syna, Stasia, który niedawno dopiéro rozpoczął nauki szkolne. Wkrótce atoli i to, co jeszcze pozostało, rdza pochłonie: i fundusz, i syna, i samego ojca, pospołu z przeklętą tą Czepielową, przedstawicielką najzjadliwszéj może z odmian całéj owéj bakteryologii rdzawéj. Daremnie Rolicz usiłuje dźwignąć Wilskiego z upadku i poniżenia, ordynując mu coraz wyższe dawki rdzy antydotowéj, świątobliwie rozsądnéj, racyonalnie pobożnéj; nic nie skutkuje. Wilski ucieka z Czepielową zagranicę i tu go opada rdza ostatnia, najpodlejsza: szulerka, pijaństwo, rozpusta. Staś pozostaje odtąd pod wyłączną kuratelą Rolicza — i oczywiście, wychodzi na dzielnego człowieka, zacnego obywatela, wielkiéj biegłości lekarza, — pomimo że w nim rdza dziedziczna, po ojcu, odzywała się raz po raz. „Staś był niezmiernie wrażliwy; pozbawiony oddawna ogniska domowego, wyidealizował je sobie, a egzaltowane uczucia rodzinne prowadziły go do bezwzględnego usprawiedliwiania czynów ojca. Wyobraźnia Stasia zbyt wcześnie w ten sposób poczęła się oswajać z wybrykami występnemi, a serce jego i przekonania, ze względu na ojca, nie mogły już się zdobyć na ich potępienie. Była to niewątpliwie r d z a, rzucona ręką niebacznego ojca na młodzieńczy umysł i serce syna, która na całą jego przyszłość fatalnie wpłynąć mogła. Rolicz postanowił uczynić wszystko, co było w jego mocy, aby tę r d z ę usunąć.”

Bądź co bądź, Staś wcześnie wypala się z téj spuścizny „ojcowskiéj” i staje się prawdziwym kryształem zacności „roliczowskiéj“. Zanim jeszcze rozpoczął studya uniwersyteckie, świeci już blaskiem niespożytéj prawości w domu państwa Zbąskich, do którego się dostaje jako guwerner, nie chcąc, przez zbytek skrupułów, być ciężarem swemu opiekunowi. Dom to od podwalin do komina obciążony wszelkiego miana, pochodzenia i rodzaju rdzami niedoli ekonomicznéj i zacofania umysłowego. Wyborną jest charakterystyka głowy rodziny. „Pan Jan Abraham Zbąski, jak słońce Jozuego, stał w miejscu. Po nad jego głową, już osiwiałą, przechodziły burze, kataklizmy, przewroty, zmieniały się prądy i opinie, pan Jan Abraham pozostawał niewzruszony.

Na seryo był przekonania, że cały świat błądzi, a on jeden miał słuszność. Sześć dziesiątków lat przeżył, przebył nie jedno i na niejedno patrzył, ale od pierwotnych przekonań swoich nie odstąpił ani na krok. A że mu się nieraz źle z tém działo, że znaczny majątek roztrwonił, a Zbąszynowi groziła zupełna ruina, że narażał się często na drwiny i przykrości, to nie on był temu winien i nie jego upór, ale świat przewrotny, stosunki zmienione fałszywie, które nietylko jego, pana na Zbąszynie, lecz i ludzkość całą miały wtrącić niechybnie w przepaść zatracenia". Godną małżonka połowicą, była pani Zeneida, „opierająca się despotycznym zamachom czasu na jéj niepospolitą niegdyś urodę z taką energią, z takim zapalczywym uporem, a przytém tak głęboko odczuwała bezowocność swych wysiłków, że rozstroiła sobie nerwy i chorowała na serce". Leczył ją późniéj, gdy na medyka się wykierował nasz Stach Wilski, ale tak długo i tak niefortunnie, że biedna kobiecina szczerze uwierzyła, iż się w niéj na dobre rozkochał... I staćby się to było mogło bezwątpienia, gdyby w Zbąszynie nikogo więcéj nad panią Zenaidę nie było; ale w samym dworze, oprócz pani domu, trzeba się było liczyć najpierw z jéj synem, Guciem (którego imię brzmiało w uszach Wilskiego równowartością „złośliwego nieuctwa)", następnie z p. Hieronimem Zbąskim, dalekim krewnym p. Jana Abrahama, starym kawalerem, dusigroszem i nieznośnym mizantropem, co swą ironią, gadulstwem i dojmującemi uwagami krytycznemi, z satysfakcyą niesłychaną upokarzał pychę p. Jana Abrahama, egzaltacyę pani Zeneidy i rasową bujność Gucia, a jeśli kiedy kochał cokolwiek lub kogokolwiek, to chyba tę małą, śliczną Irenkę, „która niewiadomo zkąd się wzięła w takiéj rodzinie głupców, utracyuszów i rozpustników..."

Zanim ta mała Irenka urosła na dużą, Stanisław zdążył szczęśliwie ukończyć uniwersytet, autor zaś wprowadzić do powieści taką masę rdzy najrozmaitszéj, uśmiercającéj i ożywiającéj, że starczyłoby jéj, jak sądzimy, na tomów dwanaście. Zgęszczone do dwóch, wytwarza niejaki chaos, z którego wyłania się parę ładnych obrazów, parę wykwintnych dyalogów — i niewiele konsekwencyi w rozwoju wypadków, czy téż raczéj przygód. Irena pała uczuciem najczystszéj i najwznioślejszéj miłości do Stacha, a że go raz ujrzała w ramionach matki, pani Zeneidy, spazmatycznie rzucającéj się na szyję młodego, w smutku tonącego lekarza, więc bez rozwagi i namysłu, *stante pede*, wychodzi za złodzieja i oszusta, Zempacha; dowiedziawszy się atoli nazajutrz po nocy ślubnéj, samotnie spędzonéj, że Zempach popełnił grubszą jakąś niedelikatność pieniężną, odprawia go zrana z kwitkiem i długą nauką téj mniéj więcéj siostrzanéj i archanielskiéj treści: „Bądź mężnym, panie Stefanie, bądź silnym. Jeżeli nie w kraju, to zagranicą

znajdziesz łatwo pracę, która cię odrodzi. Podaj mi rękę i przyrzeknij, że tak uczynisz... A ja wówczas, na każde zawołanie twoje przybędę, aby podzielić z tobą złą i dobrą dolę... Będziemy żyli w najskromniejszych choćby warunkach, jeżeli niezupełnie szczęśliwi, to spokojni w sumieniu...“ Przedtém i potém roztacza się równoległa historya najzupełniéj od głównych założeń odrębna, odosobniona, któréj bohaterami Molski i Wilma *vel* Karla; znów niebawem wracamy do Ireny i Stasia; raz jeszcze z nimi się rozstajemy, błąkając się po knajpach lub szulerniach wiedeńskich,—aż dopóki rdza dodatnia, roliczowska nie sprowadzi Stasia i Ireny na dobre do Zbąszyna (podreperowanego, jak się zdaje, głównie sumptem kąśliwego tego dziada, Hieronima Zbąskiego)... Na zamknięcie mamy bardzo ładną rozmowę: — „Jak ja kocham Zbąszyn!”—rzekła zcicha rozpromieniona Irena. A Stanisław, który ogarniał jéj postać rozmiłowanym wzrokiem, pochylił się wtedy do niéj i czuł, że mu pierś wzbiéra nadmiarem uczucia, że wypowiedzieć jéj wreszcie musi to, co przez lat tyle było jego udręczeniem i rozkoszą. Więc szepnął, tonąc spojrzeniem w jéj oczach głębokich, jak przepaści: — A ja kocham ciebie, więcéj niż świat cały, niż życie! — Ona drgnęła i usuwając się nieco, położyła palec na jego ustach. — „Nie wolno nam jeszcze tego mówić sobie, nie wolno! Aż się zabliźnią wszystkie rany i zatrą wspomnienia, aż się oboje ustalimy w pracy... Trzeba nam wprzódy na nowo uwierzyć w szczęście...—Ale gdy to mówiła, uśmiech był na jéj ustach, a w oczach tyle blasku i tyle pogody, że on ujął jéj rączkę i do ust tulił, dziękując za ten uśmiéch, ten blask i tę pogodę, jaką mu ona z sobą przynosiła... — Ty jesteś szczęście — rzekł — i ja w nie wierzę...“

Powieściom Krechowieckiego z życia współczesnego (po za obrębem historycznych) możnaby zrobić ten niewinny zarzut, że pomimo ubiegania się o koloryt soczysty, jaskrawy, są one bez koloru lokalnego. Opowiadanie daje się z łatwością, bez ujmy dla wiarogodności lub niewiarogodności scen pojedyńczych, przenieść ze Lwowa lub Wiednia na każdy inny punkt kuli ziemskiéj, cokolwiek grubiéj podmalowany cywilizacyjnie. Dorywczo, epizodycznie, złudzenie rzeczywistości bywa silne, — całość, bez wyjątku, rozpływa się w nadobłoczach oderwania etnologicznego i psychologicznego, sąsiadującego ze zmyśleniem i dowolnością. Czyta się to z przyjemnością przyzwoitego roztargnienia, bo się wié i widzi, że prawda, czy téż prawdy, jakie autor podaje w szacie anegdot, mają uniwersalną wartość etyczną — prawie katechizmową. Artyzm — zkądinąd niezaprzeczony — lepi i rzeźbi tu glinę ludzką według wzorów akademickich, powszechnych, uznanych nad Pełtwią

i nad Sekwaną, — ale znikąd i nigdy nie wiadomo, czy glina ta pochodzi z okolic Sèvres, czy z pod Błonia. *J. T. Hodi.*

Wanda Grot-Bęczkowska. „Kędy droga?“ — Powieść współczesna. Warszawa. Nakład księgarni Dubowskiego i Gajewskiego, 1898.

„Nie tędy droga, szanowne panie!” — wołał niedawno ks. Karol Niedziałkowski do tych naszych autorek, które w sprawie równouprawnienia kobiét posuwają swe wywody po za granice możliwego na dziś rozwiązania, a wierzą, wraz z autorem „Barbarzyńskiéj spuścizny wieków” [1]), że już i obecnie powiedziéćby można przeciwnikom usamowolnienia: obawy wasze są płonne i nieszczere, „tylko żart, obłuda lub choroba może z wolności niewieściéj uczynić coś rozkładowego; tylko ostatnie umysłowe niedołęstwo potrafi zdefiniować cnotę niewieścią, jako coś biernego, w czém niéma ani godności, ani zasługi, ani myśli, ani woli, ani świadomości...”

Problemat, przesądzony przez ks. Niedziałkowskiego, pani Bęczkowska powołała napowrót przed trybunał opinii publicznéj i zapytując „kędy droga?” zdjęła z niego cechy zaprzeczności wyłącznéj i stagnacyjnéj, zaprzątniętéj widokami jednego jakiegoś stronnictwa, jednéj jakiéjś doktryny. Mamy tu rozwiniętą całą gamę tez i antytez emancypacyjnych, nie zaś jeden dźwięk czy zgrzyt potępienia, nagany lub negacyi.

Rzecz postawioną została jasno, dokładnie i nad wyraz plastycznie, z sumiennością analityka, który wié, że najprostsze na oko zjawisko społeczne składa się z niezliczonego mnóstwa pierwiastków nader misternie z sobą powikłanych, a zasługujących na uwzględnienie i zbadanie szczegółowe, każdy z osobna. Forma powieściowa bardzo szczęśliwie zadaniom takim odpowiada. Oto kilkanaście pensyonarek, po otrzymaniu patentów dojrzałości (względnéj oczywiście), zbiera się w mieszkaniu jednéj ze swych koleżanek i dając folgę uczuciu, wezbranemu wobec szeroko rozwierających się wrót przyszłości, zawiązują rozmowę o tém, co je najbardziéj w danéj chwili obchodzi i nie prędko zapewne obchodzić przestanie: o mężczyznach i o swoim do nich stosunku... Ma się rozumiéć, plotą rzeczy niestworzone, jak na mękach — i jeżeli wśród chórów anielskich, w wojskach Pana Zastępów są wiwan-

---

[1]) Zob. „Bibliotekę najcelniejszych utworów literatury europejskiéj“, zeszyt majowy, 1898.

dyerki, tak nie inaczéj gawędzą one z sobą za straganami z tęcz i jutrzenek. W pierwszym rozpędzie wrażenia nie chce się wierzyć, aby coś podobnego powstawać mogło w główkach i wychodzić z usteczek podlotków piętnasto i szesnastoletnich; dopiéro chwila rozwagi przekonywa, że właśnież tylko ptaszęta niezupełnie upierzone równie śmiało szczebiocą i w słonecznym ogniu raczków nie pieką. „Będę kokietować—woła Jania—głowy zawracać, dopóki tego szkaradnego rodzaju męzkiego nie unieszczęśliwię, nie wydręczę dostatecznie...” „Mężczyzn trzeba krótko trzymać—dodaje Natalka.—Ilekroć przyjeżdżałam z pensyi do domu na święta lub wakacye, pięknych rzeczy się napatrzyłam i nasłuchałam... Zamążpójście nie stwarza bynajmniéj dla kobiéty szczęścia, więc i ja jestem za tém, aby brać do niewoli panów mężów.” „Ujarzmimy tych panów stworzenia i pokażemy im, co potrafi błękitny, różowy lub żółty pantofelek”—zakończa Jadzia. „Dobrze powiedziane!—stwierdza Janina—mąż i pantofel, pantofel i mąż!... oto alfa i omega w życiu rozsądnéj kobiéty tegoczesnéj!...” Głosy opozycyi brzmią z początku słabo. Tylko uboga, żyjąca na łasce krewnych, chorowita, niepiękna, choć sympatyczna i dobra Cesia próbuje zahamować na razie przemagający prąd pesymizmu i złorzeczeń anty-matrymonialnych: „Nierozerwalny związek dwóch dusz — szepcze — które się wzajemnie rozumieją, to chyba najwyższe szczęście, jakiego pragnąć można...” Zakrzyczano ją bez miłosierdzia. „Dzieci—to jeszcze, ale mąż!...” „Bo trzeba wam wiedziéć, moje drogie,—najpoważniéj tłómaczy towarzyszkom Jadzia—że dzieci lubię namiętnie. Co zaś do pana męża, wszystko mi tam jedno jaki będzie, byleby tańcował jak mu zaśpiewam...” Poruszony motyw dzieci pozyskał nieco szersze uznanie; ponieważ zaś przypuszczać należało, iż dzieci zjawiają się na świat cokolwiek inaczéj niż lalki, rodziła się stąd niejaka nadzieja, że i sprawa mężów stanie nieco lepiéj; ale nie: niezbędność mężów, zakwestyonowana teoretycznie i zgóry, nie wszystkim przedstawiała się w należycie jasném świetle. Spory nie ustawały; czas tymczasem naglił; wszedł do pokoju służący i oznajmił, że jaśnie pani na herbatę prosi. Wówczas to, pod naciskiem potrzeby, głos zabrała Anielka, proponując odroczenie uchwały, skazującéj mężów na zagładę.—„Słuchajcie!—powiedziała Anielka — Przyrzeknijmy sobie, że po upływie lat ośmiu spotkamy się w kościele Karmelitów... Życie samo wskaże kierunek, jaki obrać mamy... Cóż wy na to?...”—„Zgoda, zgoda! jakież to rozkoszne będzie spotkanie!”—zawołały chórem.

Pomysł zjazdu koleżeńskiego po latach kilku, lubo nieco zużyty, nigdy dobrym w powieści być nie przestanie. Można więc było oczekiwać, że i autorka posłuży się tym resursem,—że przeskoczywszy umó-

wiony okres, zwoła koleżanki na biesiadę i każe im opowiadać dzieje doznanych zawodów lub tryumfów. P. Bęczkowska obrała drogę mniéj utartą. Postanowiła całe to grono reformatorek wręcz i bezpośrednio zetknąć z rzeczywistością, pełnym frontem przeprowadzić je przez czyściec doświadczeń życiowych, przedmiotowo uwydatnić koleje mężnienia lub łamania się ideałów wypielęgnowanych w główkach zaledwie dojrzewających i w rozwoju saméj akcyi pokazać, ile w pierwotnych zapędach entuzyastek tkwiło złudzeń dziecinnych, a ile było prawdy instynktownie odczutéj, lub pobieżnie i dorywczo wyrozumowanéj na ławkach szkolnych.

O trudnościach w sztuce powieściopisarskiéj zadania, sformułowanego w powyższy sposób, poweźmie się niejakie wyobrażenie z pobieżnego choćby rzutu oka na przebieg losu jednéj tylko postaci — Jani Krasnohorskiéj—téj, w któréj się najmocniéj skupiły pierwiastki protestu i niezadowolenia i która przez to nieodzownie otrzymać musiała w opowiadaniu stanowisko przodujące. Owóż Jania należy właśnie do charakterów, z któremi łatwiéj sobie poradzi życie, niż artyzm. Dusza tkliwa, szlachetna, do uniesień i poświęceń skora, a przecież w najwyższym stopniu harda, buntownicza, przepojona odrazą do wszystkiego, co się prozaicznie i trywialnie wiąże z obecną podstawą i normą pożycia rodzinnego,—rzucona w środowisko rzeczywistości faktycznéj, realnéj, powszedniéj, — téj rzeczywistości, któréj nie potrzebujemy oglądać przez estetyczne lub naukowe okienka, przebiłaby się przez nią nie w ten to w inny sposób, bez wielkiego szwanku, bez wielkiego, a w każdym razie bez większego hałasu. Organizacye bujne, a wspaniałomyślne, porastające na poziomach szarych i jałowych jaskrawém kwieciem niechęci, rozżalenia, pogardy, — czy wegetują, czy walczą, znajdują zazwyczaj, nie tu to tam, nie w jednéj to w drugiéj chwili, choć tyle pokarmu, aby trwać, aby istnieć wśród nieprzebranych obszarów drobiazgowego, różnorodnego i przypadkowego bytu. Prostolinijność zachowania się nie jest dla nich niezbędnie obowiązującą. Powieść nie jest na tym punkcie równie wspaniałomyślna, jak przyroda. Jako skrócone odwzorowanie rzeczywistości oświetlonéj estetycznie, zniewolona jest ona z pewnych wyborowych stanów i usposobień, czy to indywidualnych czy społecznych, wyciągać takie ich konsekwencye zasadnicze, które następnie nie dają się rwać, łamać, modyfikować dowolnie na wzór tego, co się często zdarza w kolejach przypadkowości aktualnéj, powszedniéj, rozporządzającéj materyałem do nieskończoności urozmaiconym i wielowykładnym. Do takich konsekwencyi nieodbitych, obarczających i krępujących w powieści swobodę ruchów i postępowania jednostek wybranych, wyjątkowych (bo-

haterów i bohaterek) należy przedewszystkiém ta, która w moc samego założenia zabrania im staczać się własnowolnie lub pochylać się pochlebnie ku padołowi i nizinom otoczenia, zasadniczo uznanego za wrogie, niezdrowe lub plugawe. Klęska zatém zdaje się być nieuniknionêm i nieodbitém rozwiązaniem działalności takich jednostek „wygórowanych". Ktoby zaś dla nich koniecznie pragnął tryumfów (zwłaszcza w obrębie lat ośmiu i 448 stronic małéj ósemki), — stwarzaćby musiał cuda lub fikcye: nie mając bowiem prawa zaciagać uprzywilejowanych wyjątków do jarzma pospolitych otoczeń, zniewolonym byłby otoczenia słać pod stopy wyjątków... A skądże tu znowu wziąć, skąd nabrać otoczeń tak grzecznych, uprzejmych, rozumnych?...

Jania Krasnohorska wraca ze swoją siostrą Amelką (plastyczném uosobieniem spokoju i równowagi w dążnościach emancypacyjnych) na wieś, do domu rodzicielskiego. Dwie pierwsze fale życia, wysuwające się na ich spotkanie, uderzają na reformatorki najzgodniéj z istotą rzeczy i sytuacyi powieściowéj; obie są ciosami: jedna tnie od prawego, druga na odlew. Pożycie starego Krasnohorskiego, ojca dziewcząt (praktyczności gładkiéj, kołowaciejącéj w powodzeniach chwilowych, a krępéj, twardéj, ślizkiéj jak koźle rogi), z panią Heleną Krasnohorską, ich matką (dobroci, słodyczy, tkliwości i wyrozumiałości, posuniętéj do granic niemal występku wobec padalczych zdrad i lodowato-obelżywego lekceważenia męża), chłoszcze najpierw i znieważa najświętsze, najdroższe uczucia entuzyastek, stwierdzając i wzmacniając w nich teoretyczne dotąd przeświadczenie o podłości męzkiéj. Niebawem atoli i samo to przeświadczenie otrzymuje policzek krwawy. Odwiedziny u Malskich nastręczają nowatorkom sposobność poznania emancypacyi niewieściéj—w jednéj z jéj form najbardziéj spaczonych i zeszpeconych.. Tu i tam nauka życia nic do życzenia nie zostawia: prosto i otwarcie zmierza do zatopienia chybkiego czółenka marzycielskiéj, snami idealizacyi rozkołysanéj filozofii dziewcząt... W potocznym, realnym biegu spraw ludzkich odsiecz dla apostolstwa obustronnie zaskoczonego przez przeciwieństwa zawsze się znajdzie pod ręką na zawołanie: to patyk nadpłynie, to coś śmieszniejszego jeszcze; to balik wypadnie w sąsiedniém miasteczku, to zjedzie w konkury kawaler podtatusiały, to na mszę zadzwonią w poblizkim kościele; nazajutrz krowa we dworze się ocieli, pojutrze jedynak zemrze u chłopa i t. d. Na widowni tychże spraw potocznych, nanizanych na nić artystycznéj zgodności pomysłu z wykonaniem, czółno płynąć musi daléj w osamotnieniu prawdopodobném, wśród niebezpieczeństw, które, wzmagając odporność, nadzieję zwycięstw podniecają—i wśród zwycięstw, które niebezpieczeństwo potęgują. Ratunek zjawić się tu może jedynie pod postacią śmierci

w otwartym boju, z podniesioném czołem—albo téż, jak w baśni gminnéj, zwiastującéj być może przyszłość nie za górami, nie za lasami,—pod postacią królewica w złotéj zbroi, na ognistym koniu...

Łatwe to do pojęcia, że autorka, czerpiąc obserwacyjny budulec swych powieści z najbliższego, bezpośredniego środowiska, nie miała serca skazywać ną śmierć istot, w których piersi Opatrzność złożyła drogocenne nasiona lepszéj doli niewieściéj: gorącą miłość prawdy, niepohamowaną żądzę sprawiedliwości. Nie dziw téż, że za trzeciém czy czwartém uderzeniem wioseł zacne dziewczęta spostrzegły obok siebie lekarza Dembińskiego, „charakter tęgi, wyrobiony, nie pozwalający sobie na słabostki żadne, a przedewszystkiém uczciwy..." Takie główne wygrane na loteryi życia — zdarzają się niezaprzeczenie. Szczęśliwy traf—to także swojego rodzaju bohatér; tylko że, gdziekolwiek on swą pracę zaczyna, tam się już kończy powieść w tém jéj określeniu nowoczesném, któremu autorka otwarcie hołdowała w poprzednich swych dziełach: „Bez woli", „Co będzie z naszego chłopca?" i t. d.

I. Rusticus.

Sylweryusz Kondratowicz. „Fałsze życia", powieść. Warszawa, skład w księgarni Wizbeka, 1898, tomów dwa.

Do najbardziéj utartych i upowszechnionych tematów tegoczesnego naszego powieściopisarstwa należy niezaprzeczenie temat podupadłych lub upadających fortun ziemiańskich. W „Fałszach życia" Kondratowicza takiemu typowemu staczaniu się po pochyłości, a raczéj rozkładowi wewnętrznemu, ulega ród Górnoskich, spowinowacony ubocznie i przypadkowo z... arcyksiążętami, jak się o tém w toku opowiadania dowiadujemy z malowniczego epizodu, klejnotów familijnych, przypominających nieco fantastyczne przygody Maryi Antoniny. Ukryty na dnie tajemniczéj kasetki i w głębi wspomnień staréj Górnoskiéj nowy „naszyjnik" służy wprawdzie za jedno tylko z drobnych drewienek wielkiego stosu rozpusty, na którym ostatni potomek rodu, Tadzio Górnoski, puszcza z dymem resztki mienia, zarobionego niegdyś w warunkach nie... arcyksiążęcych zapewne; ale za to w blaskach drogich tych kamieni i dogorywającego tego ognia doskonale się uwydatniają początki i końce, przyczyny i skutki dramatu.

Kiedy otrzymany z rąk matki klejnot Tadzio niesie na zastaw, czy téż na sprzedaż, do kupca Weingarta, przed starą Górnoską roztacza się czarujący, uśmiechnięty, rozpromieniony widok młodości—„minionéj niepowrotnie..." Znikła w dogasających jéj źrenicach teraźniej-

szość, znikła pamięć o synu, który wyszedł przed chwilą; zamiast otaczającego ją pokoju, pozbawionego nagle najdroższéj swojéj ozdoby, widzi wspaniałe marmurowe schody, wysłane pluszowym dywanem koloru wiśniowego, i na każdym stopniu imponującego postawą i wzrostem hajduka, którego strój lśni się od złota; daléj, ciągną się rzędem podwójnym marmurowe kolumny, wspierające wysokie sklepienie sali gorejącéj od tysiącznych świateł; ukryta pod stropem dworska orkiestra balowa wylewa nieprzerwane fale poważnych, uroczystych dźwięków poloneza. A wśród tych świateł i dźwięków posuwa się olśniewający swym blaskiem, wspaniały pochód par tanecznych: mundury kapiące od złota, gwiazd i drogich kamieni, przepyszne tualety dam, zasypane brylantami, obnażone alabastrowe ramiona i biusty, tonące w girlandach kwiatów, podniecający szelest jedwabiów i szmer wachlarzy... Wszystko to czuje, widzi, słyszy stara Górnoska. Widzi również—niby na jawie, niby żywą—wyniosłą postać mężczyzny, na którego widok tysiące głów pochylają się jak kłosy przed powiewem budzącym się od wchodzącego słońca... W otoczeniu arcyksiążąt i ciała dyplomatycznego postępuje cesarz... Błądząc roztargnionym wzrokiem po sali, obojętnie mija tysiące par oczu, wpatrzonych w niego i pragnących niby najwyższego szczęścia uchwycić chociaż na sekundę, chociaż na ćwierć sekundy spojrzenie majestatu... Spojrzenie władcy rozległéj monarchii przesuwa się jednak niby promień słońca, nie zatrzymujący się nigdzie, a przecież rozjaśniający wszystko... I nagle, w téj swojéj obojętnéj wędrówce, zatrzymuje się ono dłużéj... Wszystkie oczy z niewolniczym pośpiechem pędzą w kierunku wysokiego spojrzenia i zatrzymują się jak wryte. Szept, zrazu stłumiony, potém coraz silniejszy, przebiega z ust do ust: „*La belle comtesse, la belle polonaise!...*" Szept ten tysiączno-językczny tysiące również miał odcieni, wyrażających zachwyt i zawiść, uniesienie i gorycz... Sprawczyni zaś tych sprzecznych uczuć i téj powszechnéj wędrówki spojrzeń stoi tryumfująca, promieniejąca urodą, radością, szczęściem, przeżywając — zdałoby się — w téj jednéj chwili wszystkie rozkosze życia... A tą wybranką, jaśniejącą czarami młodości, wdzięków i niezwykłéj urody, jest... — była niestety przyprószona dziś siwizną wieku, upadająca pod ciężarem rozsypującego się w gruzy dobrobytu domowego (bo o godności niema tu mowy), — była właśnie obecna pani Górnoska... Ale wtedy, ale przed laty — co za splendor, co za zaszczyt! Na razie, ogłoszono ją jednomyślnie królową balu; nazajutrz wszystkie dzienniki stolicy Habsburgów stwierdziły to oficyalnie, opisując najdrobniejszy szczegół jéj tualety i niemal każdy wdzięk zosobna (I, 116—117).

W porównaniu do rozwiniętego i wykończonego obrazu życia wiedeńskiego w czasach, kiedy nad modrym Dunajem takież honory spotykały uroczą Sokolniczankę Maryę (z „Alkhadara" Chojeckiego), drobny, zaledwie napomknieniami zaznaczony szkic Kondratowicza wykazuje pewien postęp galanteryi dworskiéj — wygląda jak wyszeptany na ucho duser w sypialni, obok grubiańskiego pościgu za zwierzyną osaczoną w gąszczu leśnym. Bo téż, w ogólności, cała postać rzeczy i wszystkie sprawy monarchii rakuskiéj uległy znacznéj zmianie od r. 1845 — 46. Łatwo to spostrzedz nawet z zestawienia letnich i wymuskanych uczt, kolacyjek, wycieczek nocnych, wybryków kawalerskich takiego Tadzia Górnoskiego z gorącemi, pełnemi zapału i rycerskości wybuchami staroszlacheckiéj buty takiego Wilczka w „Alkhadarze". Tam niegdyś szał, namiętność i nierząd rwały się łożyskiem przyrodzonego jakiegoś zdziczenia, które miało w sobie powab siły rzeczywistéj choć spaczonéj; tu teraz jesteśmy świadkami rozpasania się instynktów niezdrowych i skoślawionych, leniwie rozpełzających się wśród bagnisk chronicznie pańskość udającego niedołęstwa. Inne motywa i czynniki akcyi—inne téż jéj rozwiązanie. W społeczeństwie Wilczków pociąg życia pędzi w przepaść na oślep, fatalnie, bez możliwego ratunku; w sferze Górnoskich biedka przeznaczeń wlecze się tak ślamazarnie, że żadne wykolejenie ostateczną zagładą nie grozi. Są sposoby, są kompromisy.

Nie ocali Tadzia naszyjnik mamy, to go podeprze posag dobréj i zacnéj Ali Małodzielskiéj, z którą po niedługich korowodach był już prawie zaręczony, był już niemal na „ty". „W każdém jéj spojrzeniu, w uścisku ręki, w każdém słowie młody Górnoski widział czuł, słyszał szczerość uczucia, idącego prosto do celu, nie liczącego się z żadnemi względami;—niestety, to przeświadczenie, zamiast mu dodać otuchy, onieśmielało go; czuł, że wyznając jéj miłość, popełni kłamstwo. Ilekroć postanowił wyrzec przed nią czarujące słowo „kocham", jakiś kurczowy spazm w gardle zaczynał go dusić, wtłaczając do piersi czułe słowa wyznania"... (II, 6). Nic a nic nie rozumiemy z początku, skąd te skrupuły w takim zszarganym i zabłoconym przeżytku szlacheckim. Lecz jakież jest nasze zdumienie, gdy się dowiadujemy, że Tadzio pokochał Stasię, — śliczną, rozumną, wykształconą, anielsko-dobrą... niezamożną Stasię — i o! dziwy nad dziwami! — jest przez nią kochany. Stasia, coprawda, przekonawszy się dowodnie, że Tadzio i Ala są już po słowie, odpycha z oburzeniem natarczywe zabiegi kniajpiarza-panicza, ale taka odprawa właśnież niezbędna jest dlatego, aby w Tadziu z zabrukanéj drzazgi wyrosła zielona gałązka bohatérstwa. Pod obuchem nieszczęścia odrodzenie, istotnie, postępuje tak szybko, gwał-

townie niemal, że zakochany, po niejakim namyśle, w łeb sobie pali... Nie zupełnie wszakże celnie — i to mu zapewnia tryumf ostateczny, epilogowy. Bo kiedy losy ciężko postrzelonego ważą się między życiem a śmiercią, do pokoju jego, o zmroku, wpada Stasia, klęka przy łóżku i do ust swych przyciska rękę chorego. „Przez ciało Tadeusza przemknął niby prąd elektryczny. Otworzył oczy i patrzał na klęczące dziewczę długo, bardzo długo... — potém ręka jego uniosła się i spoczęła na bujnych włosach Stasi. Ten ruch, niemylna oznaka budzącéj się samowiedzy, wstrząsnął całą jéj postacią... Wzruszona do głębi tą pieszczotą ukochanego człowieka, pochyliła się jeszcze bliżéj ku niemu i wyszeptała: — „Przebacz! przebacz!" Na ten szept przesunął dłonią po jéj włosach i uczynił widoczny wysiłek, żeby przemówić; usta się jego poruszyły, lecz dopiéro po upływie kilkunastu sekund przemknął przez nie szept ledwie dosłyszalny: — „To już... nie fałsz". — „Nie, nie, to prawda! — jam twoja, twoja!" odparła łkając (II, 225).

Bardzo ładnie — tak bez mała ładnie, jak i w „Złotych ogniwach" Gomulickiego, gdzie pod wpływem miłości twardzi i nieubłagani ateusze słaniają się niby pijani i odmawiają na głos modlitwę Pańską (chociaż nie według tłómaczenia Wuyka): „Ojcze nasz, który jesteś w niebie"... Tym razem wszakże zachodzi w drogę ta okoliczność przykra, że o ileby Stasia rzeczywiście stać się miała panią Tadeuszową Gornoską, nie spostrzegamy skądby przyszło zbawienie na doszczętnie zrujnowany majątek Górnoskich... No, ale powieściopisarze nasi nauczyli się radzić sobie jakoś z temi drobiazgami: Laskowski w drodze parcelacyi np., Krechowiecki z pomocą jakiegoś kutwy-weredyka, odgrywającego rolę wuja Sama i t. p.

Jak się z tym szkopułem uporał Kondratowicz, — już sobie nie przypominamy, a to z powodu stojącéj nam w oczach od samego początku postaci Toli (siostry Tadeusza) — skromnéj, cichéj, pracowitéj, usłużnéj, a tak pięknéj w prawdzie, rzetelności i osamotnieniu swéj duszy dziewiczéj, że się z pewnością nie znajdzie ani jeden czytelnik „Fałszów życia", coby jéj nie umiłował i nie ubóstwił. Ona téż jedna — Tola — ocali zapewne powieść od utonięcia w falach zapomnienia.

St. F.

Aleksander Świętochowski. „Pisma". Tom III. Bajki (Kraków, G. Gebethner i Spółka. Warszawa, Spółka Nakładowa, 1898, str. 159).

Kiedy pojawi się nowe dzieło pędzla Siemiradzkiego, z zaciekawieniem biegniemy je oglądać, przekonani jednak, że znajdziemy

w niém podobieństwo do poprzednich: to samo tło, te same wspaniałe kształty pięknych ciał, szmat nieba niezrównany. Temat zawsze ma w sobie choć cząstkę ulubionéj przez malarza epoki, którą jest — Rzym.

W literaturze, jak gdyby w przeciwstawieniu do jednéj starożytnego świata potęgi, Świętochowski wybrał Grecyę, z jéj życiem, mitologią, słowem—z jéj duszą.

„Grek był nagi i szczery"—mówi autor w ostatnim zbiorku swych pism, p. t. „Bajki", do których należą: „Lew kamienny", „Wesele satyra", „Hymn niemych", „Strachy Pentelikonu", „Dafne", „Dwaj filozofowie" i „Asbe"; pozostałe utwory, mianowicie: „Krajobrazy", „Dwugłos miłości", „Dwa widma" i „Nad grobem"—są to właściwe Świętochowskiemu dumania filozofa w formie nowel zawarte.

Bajki greckie robią wrażenie drobnych pastel, wykończonych bez zarzutu; styl jest w nich wszystkiém.

O wiele wyżéj od bajek stoją „Krajobrazy". Jest ich dwa: „Północny" i „Południowy". Prawdziwe to dzieła sztuki.

Na tle „śnieżnego płaszcza" ziemi („Północny") w oddali dwoje ludzi: on i ona. „Niby para nurków, szukających pereł i korali, niby dwoje utopionych w morzu zimy, stąpali po jego białém dnie, otuleni w wełniane szaty i futra. Z całego ich ciała widniały tylko blade twarze, w których głęboko ukrytym żarem płonęły zapalające się wzajemnie od siebie niebieskie oczy. W owym świecie chłodu i białości był to jedyny ogień i jedyna barwa."

Po długiém, smętném milczeniu, on, obudzony z zadumy, rzuca w odpowiedzi bolesną prawdę — nieco wiązań z tragikomedyi ludzkiego życia:

„...Mądrość przez usta ludzkie powiedziała kiedyś, że człowiek nie powinien być dla człowieka środkiem, lecz celem; dziś ona w służbie i najmie wyprzysięgła się téj mrzonki. Dziś człowiek dla człowieka jest środkiem. Kto ma funt złota, połyka mających po łucie; kto ma pud, połyka funtowych, kto ma cetnar, połyka pudowych — i tak daléj. Bogacza można rozmienić na biedniéjszych, jak dukat na złote i grosze. Ale podczas gdy dukat, wchłonąwszy zawarte w nim drobne pieniążki, czuje zupełne nasycenie, człowiek, który go posiada, doznaje głodu, dopóki gdzieś tam w najnędzniejszéj kieszeni spoczywa możliwy do zdobycia szeląg. Do téj kieszeni zaś sięgnie on w potrzebie drapieżną ręką przez cudzy mózg, serce, płuca, zamorduje, jeśli inaczéj obrabować nie zdoła... Ten, któremu połechtał oczy wdzięczny uśmiech ładnéj kobiéty, zbałamuci ją, zniepráwi, zbruka, unieszczęśliwi, zmarnuje całą dla chwilowo pożądanéj przyjemności pocałowania w kora-

lowe usteczka. Tamten, który lubi głębokie pokłony gromady ludzkiéj przed swém dostojeństwem, ogłupi ją, zubożyy, ubezwładni, ażeby korniéj wykonywała te ruchy... Samolubstwo jest moralnym szkieletem natury człowieczéj, z którego obecnie coraz częściéj opada odgniłe ciało..." (str. 6, 7).

Surowy i mglisty krajobraz północy ma świetne *pendant* w „Południowym":

„Nad stromym brzegiem zatoki rozstawił się gaj pomarańczowy, w którym gdzieniegdzie wybiegały oliwki, tuje i palmy. Tu wietrzyki bawiły się najswawolniéj, zaczepiając figlarnie wszystko: liście krzewów, płatki kwiatów, źdźbła trawy, ale najgęstszym rojem okrążyły postać kobiéty, leżącéj pod drzewem palmowém, która na ich pieszczoty odpowiadała co chwila wdzięcznym uśmiechem. Wsuwały się między jéj krucze włosy, dmuchały w jéj długie rzęsy, psotnie podnosiły rąbek jéj białéj szaty, a wślizgnąwszy się pod nią i skradłszy pocałunek z jéj różowego ciała, uciekały szybko, ażeby znowu powrócić. Ona nie płoszyła ich i poddawała się tym niewinnym zalotom. Przymknęła nieco oczy, w których z pod powiek przebłyskiwał żar utajony; czoło białe, niby wykrojone z liścia nenufaru, podparła delikatną ręką; twarz piękną, na któréj jak gdyby róże, lilie i jaśminy złożyły swą najczystszą świéżość i najcieplejsze barwy, owiała pogodném zadowoleniem; nozdrzami łagodnie zagiętego nosa i kielichem ust rubinowych piła zapach otaczających ją kwiatów, wypuściwszy swobodnie z pod sukni kształtnie zagięte ramiona i drobne stopki, płytkiemi trzewikami ujęte" (str. 15).

Pogoda tego krajobrazu, wdzięki barw, łagodność klimatu, cała—słowem — natura sprawia, że „on" i „ona" mówią językiem czaru i poezyi; nie znajdziesz tu smutnych uwag o rozwielmożnioném samolubstwie; oni pragną kochać i mają odwagę to wypowiedziéć sobie nietylko oczyma, pragną żyć swobodnie, jak wietrzyki, muskające ich twarze, „a gdybym umarł — rzecze on — śmierć zabrałaby uśmiechniętego..."

Mrok nocy płaszczem swym otulił i zasłonił tych dwoje szczęśliwych...

„Dwugłos miłości" ma temat pokrewny „Krajobrazom".

„Nad grobem" przypomina „Testament Alego" w tomie II-im „Pism" (Sprawozd. „Ateneum", lipiec, 1897 r.).

„Dwa widma" — to wcielenie dwu idei: młodéj i bohaterskiéj — z jednéj, staréj i wygłodniałéj niecnoty z drugiéj strony. Jedna chciałaby dać światu zbawienie, kiedy tamta własne korzyści i grabież ma na celu.

Nad wszystkiemi nowelami górują „Krajobrazy". Jest w nich i rzeźba stylu, są spostrzeżenia myśliciela z tą pobłażliwością dla mętów ludzkich uczuć, czynów, myśli i celów, jest zastanowienie się nad egoizmem jednostek, — są wreszcie w obrazach tych zalety pierwszorzędne, jakiemi Świętochowski się szczyci: talent pisarski i nie mająca podobnéj w naszéj beletrystyce — oryginalność. *L. Rutkowski.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Ludwik Szczepański.* **Hymny.** Wiedeń, 1897, nakładem Franciszka Bondego, in 8-vo, str. 52. — Jak wszyscy prawie współcześni poeci, Szczepański jest wyłącznie lirykiem, znanym już u nas z poprzedniego tomu swych poezyi, zatytułowanego „Srebrne noce". Pierwszy zbiór jego utworów, przeważnie nastrojowych, odznaczał się nieposzlakowaną formą oraz niezwykłą melodyjnością wiersza, sam przez się dawał już wiele, więcéj zaś jeszcze zapowiadał. „Hymny" wydane wkrótce po „Srebrnych nocach" nie zawiodły oczekiwań. Młody poeta z mglistych, zalanych księżycowém światłem sfer zeszedł na ziemię i dowiódł, że myśl jego umié w głębie zapadać, a lutnia ma struny i dla spraw ogólniejszéj natury. — Na pierwszéj zaraz karcie „Modlitwa" daje nam poznać pragnienia i ideały Szczepańskiego:

„Żyć i czuć pełną piersią i za młodu
Umrzéć. W poczuciu szczęsném dumnéj siły
. . . . Paść śród trudu w szczytnym szale boju.

Chce on „móc, pożądać, czuć i pragnąć wiecznie" („Pragnę")... korzy się przed ideałem męskiéj siły, życia, samodzielności i energii, czci Tego, co ludzkości piękno objawił i zaszczepił w niéj wieczne do prawdy dążenie. Na strunach lutni młodego poety brzmi szlachetny protest przeciw samolubstwu, obłudzie i powszedniości; uosobieniem tego protestu jest dla niego szatan, do którego téż zwraca się z hymnem, w gorących wyrazach skréślonym. Na strunach téj lutni dzwoni również ubóstwienie rozkoszy... i téj, którą nam daje sztuka i nauka i téj, co miłość ma za źródło swoje. Młodzieńcza pieśń sławi wszystko to, co wyzłaca szarą codzienność... śpiéwa hymn do myśli i do nocy, niosącéj ukojenie. W przeświadczeniu o wartości swéj i sile, poeta mówi do szatana:

„Ja, marny atom, rzucon w odwieczny wir wszechświata,
Ja, kropla, w któréj przecie byt całą treść swą splata,
Wołam swojego ducha — wołam siebie!

Jest to najpotężniejszy i najszczerszy ton jego lutni. To przeświadczenie indywidualizmu wywołuje inny równie silny wiersz: „*Et arceo*". W ślad za „Hymnami" idzie cykl z „Z sonetów wiedeńskich". Są to świetnie podchwycone i w pięknéj oddane formie nastroje; zwłaszcza sonet „Artysta do kobiét" tętni dziwną szczerością i owiewa wrażliwego czytelnika tajemniczym urokiem. Najwyżéj z tego całego cyklu stawiamy tercyny „Krypta Mickiewicza", zda się wycyzelowane, a jednak proste i porywające. Nie ma w nich nic z retoryczności, która obarcza lot poety w utworach tego właśnie rodzaju. — Forma wiersza Szczepańskiego jest godną jego treści. Tu i owdzie spotykamy tylko sztuczność i gonienie za efektem, wszakże pewni jesteśmy, że pozbycie się tego stanowi tylko kwestyę czasu. Jeżeli co mamy do zarzucenia młodemu poecie, to jedynie nieumiejętne i niewłaściwe korzystanie z form języka staropolskie. Nie umié on się w stylu utrzymać, a pstrokacizna taka robi wrażenie współczesnéj szaty, tu i owdzie przybranéj w guzy i zapinki staropolskiego. Wogóle korzystanie z form archaicznych jest rzeczą niebezpieczną; może sobie pozwolić na to tylko ten, co długie i gruntowne nad językiem studya odbył, w przeciwnym bowiem razie wprawniejsze oko pozna się na łataninie. Za zbyteczny i zupełnie nieszczęśliwy pomysł uważamy również tworzenie nowych słów: przelśnić, zamrocze, nieukój. Są one niezręczne, niejasne i nie wypowiadają tego, co autor chciał wyrazić. — Drobne te braki nie wpływają bynajmniéj ujemnie na wartość poezyi Szczepańskiego. Po wydaniu dwu zbiorków zajął on między młodymi jedno z najpoczcześniejszych stanowisk i pewni jesteśmy, że na niém się utrzyma. *Ar. Les.*

= Z wydawnictw ostatniéj chwili zanotować wypada dwie powieści, bliskie tytułem, autorów, z których jeden pół stulecia niemal pracuje na niwie literackiéj, drugi do młodszéj należy generacyi. — Zygmunt Miłkowski, znany pod pseudonymem Teodora Tomasza Jeża, dorzucił do swego dorobku literackiego utwór, p. t. **Którędy do szczęścia** (Powieść, nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1898, str. 207). Powieść jest świadectwem nieustającéj pracy sędziwego autora „Handzi Zahornickiéj" i wielu innych cenionych powieści z życia ludu, które wyrobiły i ustaliły zasłużoną opinię Jeżowi. Autor w ostatniéj powieści swéj nie daje ani świetnéj formy, ani dowcipu subtelnego lub plastyki opisów; powieść jego nie zaciekawia, ale i nie nuży. Tych braków za wady poczytać Jeżowi nie można; ma on zawsze na celu do-

bro własnego społeczeństwa i z tą myślą pracuje. Opowiada żywo, a prawdziwość postaci jego utworu nie da się zaprzeczyć. — Powieść Kazimierza Rojana nosi tytuł: **Szczęście** (Lwów, nakładem Gubrynowicza i Schmidta, 1898, tomów dwa, str. 199 i 202). Tytuł i wiele zdań wyjętych z powieści przemawiają za Rojanem. Sama myśl o pojęciu „szczęścia" należy do poważniejszych. Wyraz „szczęście" bywa jeden dla społeczeństwa, bywa nim i dla jednostek w wielu wypadkach. Kiedy chodzi jednakże o szczęście danego osobnika, ma on tyle określeń, ile bywa rodzajów uczuć, pragnień, drobnych atomów myśli, celów, dążeń i przekonań... Andrzéj Radowiecki (bohatér powieści) uczułby się szczęśliwym wtedy, kiedyby ujrzał, że praca jego przynosi korzyści ogółowi, a za tę pracę pragnął wzamian tylko „jéj" uścisku, jedynéj i wybranéj Halki... Pracował na swoje szczęście, na tę cichą przystań od zarania dni swoich: „Gdy inni naukę lizali po wiérzchu, ja gryzłem ją i rozszarpywałem zębami, by dotrzéć do samego źródła, do rdzenia prawdy; gdy inni bawili się bezmyślnie, jam w dociekaniu największą znachodził uciechę" (t. I, str. 40). Wreszcie — zwyciężył: stanął na stanowisku, skąd społeczeństwu mógł dobrze czynić, jako dyrektor wielkiéj spółki rolniczéj; zyskał wzajemność ukochanéj kobiéty, którą poślubił. W żonie — zdawało mu się — będzie miał powiernika, brata, przyjaciela, wymarzonego towarzysza; ona go zrozumiéć i uszanować zdoła; żona będzie mu promieniem ciepła, ilekroć on powróci od pracy, często przykréj, połączonéj z walką, w któréj po jednéj stronie stał sam jeden, a z nim „tylko biédna idea", — po drugiéj zaś „kilka setek osób, uzbrojonych w chciwość, samolubstwo, zawiść i głupotę." Halina pod wpływem stosunków towarzyskich okazała się jednakże daleką od wymarzonego ideału: Andrzéj ujrzał w niéj kobiétę ograniczoną i samolubną i to odkrycie zaniepokoiło go. Rozpaczał. Zapomniał tylko, że gorycz jego, na nadmiernéj wrażliwości i nieuzasadnionych podejrzeniach oparta, jest bańką mydlaną. Cały budynek, dotychczas przez autora z powagą wznoszony, wydaje się nagle czytelnikowi domkiem z kart: brak mu fundamentów, gdyż drobne nieporozumienia w małżeństwie nie mogą być materyałem do powieści w téj formie, co omawiana. Prawda wnet się wyświetli — i pani Halina wystąpi taką, jaką była w pierwszych dniach po ślubie — pospolita, lecz nie zepsuta; może ona mile rozmawiać i tańczyć z każdym z młodzieży (jak to czyniła z Marnickim), ale na zdradę małżeńską nagle się nie odważy, ani drobnych sprzeczek z mężem nie weźmie za przyczynę do zerwania. Wszak i Andrzéj zabawy „flirtu" za zbrodnię żonie nie poczytuje: „bo któż zaręczyć może, że i mężczyzna, skazany od dzieciństwa na życie podobnie czyste i w ciasne ujęte ramy jak kobiéta, nie uległby téj saméj

co ona ciekawości" (str. 108, t. II). Marnicki, przyczyna drobnych zatargów małżeńskich, ginie w pojedynku, lecz wcale nie o panią Radowiecką, ani z ręki jéj męża. Radowieccy zgodnie snują daléj splątane na chwilę pasmo miłego życia. On będzie pracował jak dawniéj; ona spoważnieje i stanie się jego „szczęściem".—Jest w powyżéj streszczoném opowiadaniu wiele prawdy i obserwacyi życia; jest talent pisarski i myśl głębsza: tylko temat za drobny ujął autor w ramy zbyt wielkie, przez co osłabił intrygę. Lecz bezwątpienia zdoła powieściopisarz wady architektoniki w następnych swych pracach usunąć, gdyż posiada najważniejszą i najpotrzebniejszą zaletę—talent. *L. R*

= *Stanisław Bełza.* **W górach olbrzymich** (Wydanie drugie, Gebethner i Wolff, Warszawa-Kraków, 1898, str. 184). — Nowe wydanie opisu podróży p. t. „W górach olbrzymich" staje za świadectwo, dyplom uznania dla autora od czytelników. Niedawno zamieściliśmy wzmiankę o pracy tegoż autora — „W stolicy padyszacha" — pochwalając między innemi wybór tematu. Że ten zmysł p. Bełza posiada, przyzna każdy, znający jego prace. Jest ich kilkanaście, w każdéj temat niepowszedni. Po za tém, w pracach wspomnianych znać przedewszystkiém talent pisarski, zdolność zręcznego ujmowania myśli w słowa, styl nieposledni, zdolność do uogólnień obok daru spostrzegawczego. Znać tu i humor w przytoczeniu baśni o przygodach potężnego a mściwego „Rübezahla", którego „fantazyjne państwo" jest niezaprzeczenie lekturą miłą, zwłaszcza w wydaniu jak to staranném, zdobném w ilustracye równéj wartości.

= Pani *Marya z Baranowskich Dohrn* przełożyła na język niemiecki dzieło księdza Waleryana Kalinki o sejmie czteroletnim. Księgarnia berlińska E. S. Mittler et Sohn ogłosiła to tłómaczenie swoim nakładem, pod tytułem **„Der vierjärige Polnische Reichstag 1788 bis 1791"**, w dwóch tomach: tom pierwszy kosztuje 14 marek, tom drugi 16 marek.

= Dnia 26 maja r. b. odbyło się w Akademii Umiejętności posiedzenie komisyi historyi sztuki, na którém przewodniczący, prof. Maryan Sokołowski, przedstawił naprzód referat o garnkach wmurowywanych we wnętrzach kościołów średniowiecznych, a to z powodu wiadomości o tego rodzaju garnkach przy oknach prezbiteryum katedry w Włocławku z w. XIV otworami na zewnątrz zwróconych, o których świéżo pisał ks. prałat Brykczyński w *„Revue de l'art chrétien"*. Jest to pierwszy wypadek odnalezienia takich garnków w Polsce; na północy Europy są

one w kościołach bardzo częste, a także we Francyi i w Belgii od wieku XII do wieku XIV-go. Najciekawsze są w Wirtembergii w kościele w Burgfelden *auf der Schwäbischen Alp* z w. XI, gdzie cały fryz dookoła prezbiteryum je posiada; dalej znajdują się też one w Kolonii w kościele św. Seweryna, a mają je także cerkwie w Kijowie, w Owruczu, w Kołoży nad Niemnem i W. Nowogrodzie. Dotąd ustalone było twierdzenie, że służyć one miały do silniejszego rezonansu w kościołach, podobnie jak słynne *echea* śpiżowe umieszczane pod siedzeniami w greckich teatrach Azyi Mniejszéj. Obecnie jednak stwierdzono, że garnki te w średniowiecznych kościołach bywały nieraz kawałkami tufu i wapnem zatkane, a świéżo odnaleziony tekst z r. 1431 dowodzi, że zaprowadzone wówczas takie garnki w kościele w Dijon na rezonans nie wpłynęły wcale. Dziś panują w téj sprawie trzy główne poglądy, mianowicie: że umieszczano w tych garnkach pod sklepieniem kościołów relikwie świętych, ażeby budowli strzegli, daléj, że ich otwory pomagały do stawiania rusztowań, wreszcie, że cele ich były akustyczne; budowniczy Gebhardt twierdzi w końcu, że one służyły do tego, by swą wypukłą powierzchnią wzmacniać tynk pod malowidła przeznaczony, a przez ogrzanie kościoła łatwo pękający. W każdym razie sprawa ta dotąd w zupełności wyjaśniona nie jest, a u nas takie garnki po raz pierwszy w katedrze włocławskiéj występują. — Następnie prof. Władysław Łuszczkiewicz odczytał rozprawę swą p. t. „Przyczynek do dziejów architektury kościołów wiejskich w Polsce średniowiecznéj", objaśniając planami, przekrojami oraz rysunkami zdjętemi w czasie swych wycieczek do Królestwa Polskiego. Kościół farny w Gosławicach pod Koninem zbudowany jest z cegieł i z kamienia na podstawie ośmiokąta z ramionami krzyża powstałemi przez wysunięte prezbiteryum, dwie kaplice i kruchtę; na podstawie herbów licznych w kościele, zdaje się, że twierdzić można, iż go fundował w połowie w. XV Jan Lubrański, wojewoda brzesko-kujawski; w w. XVII kościół wiele ucierpiał i zachowało się dotąd tylko piękne jego wnętrze ze środkową kolumną. Kościół w Skotnikach pod Sandomierzem zbudował Jarosław Bogorya Skotnicki, archidyakon krakowski, w r. 1340; budowa piękna, ceglano-kamienna, ma sklepienie w nawie, wyrosłe z środkowego filaru, z bogatém żebrowaniem oraz z rzeźbą roślinną na kroksztynach i ozdobnemi kluczami sklepiennemi. Do budownictwa ciosowego epoki romańskiéj należy kościół Św. Stanisława w Chlewiskach pod Szydłowcem w Radomskiém, a tylko początek XVI-go stulecia przerobił go w piękny kościół krzyżowéj formy w stylu końcowego gotycyzmu, z ozdobnemi obramieniami późnogotyckiemi drzwi i okien zakrystyi z lat 1511 i 1512. Piękny również, ciosowy kościół gotycki we wsi Piasek Wiel-

ki, dziś ruiną będący, jest fundacyą z w. XIV Spicimira, kasztelana krakowskiego, i posiada dotąd wspaniały portal z fryzem roślinnym, przeplatanym zwierzątkami, i subtelném profilowaniem węgarów. Ceglany kościół gotycki w dawnéj wsi Drzewicy pochodzi z r. 1462, nie ma sklepienia, jeno drewniany pułap, a posiada wspaniałą okrągłą wieżę związaną z fasadą, zbudowaną w chwili gdy Drzewica została miastem. Wreszcie w ceglanym kościołku w Żembocinie pod Proszowicami z w. XVIII stwierdzić należy ślady romanizmu i inkastelacyi, mimo przerobienia w w. XVII. W końcu referent zapowiedział podobne dalsze wiadomości o kościołach we wsiach Dzierążni i Odrowążu w Radomskiém, Białyninie i Jeżowie w Rawskiém, oraz w Kościelnéj Wsi pod Kaliszem. — Prof. Sławomir Odrzywolski przedstawił pracę p. Fr. Mączyńskiego o bóżnicy w Kamionce Strumiłowéj pod Lwowem z wieku XVII, wraz z 12 tablicami, z których 8 kolorowanych ilustruje wspaniałą wewnętrzną polichromię sali modlitwy. Sala ta jest prawie kwadratowa, a znajduje się przed nią przedsionek z górną salką dla kobiét. Na zewnątrz budynku biegnie ganek, spoczywający na drewnianych słupach, do którego wiodą dwa ramiona schodów zewnętrznych. Polichromia wewnętrzna stanowi jednak główną wartość zabytku, pochodzi z roku 1755 a znajduje się na trzech ścianach sali modlitwy, zajmując pas około 5 m. 30 ctm. wysoki. Na ścianie wschodniéj widne jest tło niebieskie zasiane gwiazdami, wraz z kilku polami z ornamentem różnobarwnym o splotach roślinnych z fantastycznemi zwierzętami, ptakami i t. d. Na ścianie północnéj znajduje się w górze ornamentacya symboliczna, a wśród niéj widoki ogrodów, gór, zwierzęta, ptaki, oraz widok miasta o różnobarwnych kopułach, okolonego murem z bramą w środku; część dolną wypełniają napisy hebrajskie z modlitwami i dedykacyami fundatorów wraz z różnobarwnym ornamentem roślinnym. Ściana południowa wreszcie ma w środku siedmioramienny świecznik pokryty napisami, u którego spodu rozpinają się lwy z dzbanami w łapach, w górze zaś w czterech polach symboliczne zwierzęta. Całość téj ornamentyki o motywach wschodnich, perskich, a ze względu na styl i charakter powiedzieć można nawet japońskich, jest wspaniała i niezmiernie interesująca, pełna werwy i kolorystycznego poczucia. Rozprawa cała, tłómacząca znaczenie wszystkich symbolicznych rysunków, napisów i modlitw, z datami historycznemi, opartemi na lustracyach starostwa kamioneckiego z r. 1765, zamieszczona zostanie w wydawnictwach Komisyi.

= Na posiedzeniu téjże Komisyi historyi sztuki, odbytém 25 go czerwca r. b, dr. M. Sokołowski streścił rezultaty ostatnich swych ba-

dań nad stosunkiem rzeźby czeskiéj do polskiéj w w. XIV-ym. Nawiązując rzecz do referatu swego nad wpływem malarstwa praskiego drugiéj połowy wieku XIV-go na malarstwo w Polsce w tym okresie oraz w pierwszéj połowie w. XV, zarówno obrazowe jak i miniaturowe, zaznaczył, że dzieje rzeźby średniowiecznéj na północy, głównie niemieckiéj, są dotąd bardzo niedostatecznie zbadane i że tak samo rzecz się ma z rzeźbą polską. Trzy znamy jéj główne grupy, mianowicie rzeźby na zwornikach sali „kamienicy hetmańskiéj" w rynku krakowskim, rzeźby w portalu kościoła Dominikanów oraz najważniejsze rzeźby u szczytu okien na zewnątrz kościoła Panny Maryi, o których dawniéj już pisał prof. Łuszczkiewicz. Z tych trzech grup pierwsza i ostatnia zdają się miéć znaczne pokrewieństwo z rzeźbą praską, rozwiniętą głównie za Karola IV-go, gdy na czele jéj stoi drugi z rzędu budowniczy katedry św. Wita, Peter Arler, twórca słynnych rzeźb portretowych z tryforyów kościoła oraz grobowca króla Otokara. Brat jego czy syn, Heinrich Arler lub Parler brał również udział w budowie katedry praskiéj i był zarazem twórcą kościoła św. Jakóba w Bernie. Pozostawał on w służbie Jodoka, margrabiego morawskiego, do r. 1387, a następnie, zatrudniony przy budowie tumu medyolańskiego, zostawał w stosunkach z Viscontimi za pośrednictwem Jodoka, jako wikaryusza Włoch z ramienia cesarza Wacława, ostatecznie jednak opuścił Medyolan w maju 1392 r. Następnie we wrześniu tegoż roku zjawia się Heinrich Parler w Krakowie, w r. 1394 miasto płaci mu znaczną sumę za roboty kamieniarskie w górnych częściach kościoła Panny Maryi, a w r. 1397 on znowu opłaca się miastu, jako nie należący do majstrów miejskich. Pobyt Parlera w Krakowie tłómaczy się też bliskiemi stosunkami Jagiełły i Jadwigi z margr. Jodokiem i Viscontimi. Zdaje się zatém, że rzeźby maryackie wyszły z pod jego dłuta, co także pośrednio stwierdza ich pokrewieństwo z Pragą. — Z kolei przedstawił przewodniczący rezultaty badań kilku swych uczniów. P. Julian Pagaczewski odnalazł rzeźbę pięknéj głowy św. Jana na misie w predelli jednego z ołtarzów kościoła Bernardynów w Krakowie, z końca w. XV, ale o technice odmiennéj niż u Wita Stwosza; tenże odkrył również w kościele Reformatów posążek z kości słoniowéj Madonny z Dzieciątkiem, z XIV wieku, o typie francuskim, z resztkami polichromii, oraz zwrócił uwagę na srebrną blachę trybowaną, w stylu barokku, z początku w. XVIII, w kościele karmelickim, która przedstawia Madonnę z Dzieciątkiem w otoczeniu aniołków na tle krajobrazu; blachę tę ofiarowało kościołowi kilku fundatorów mieszczan w r. 1780. Referat dr. Jerzego Kieszkowskiego zajmuje się zabytkami z Szydłowca, a mianowicie marmurowym grobowcem Mikołaja Szydłowieckiego z r. 1535, oraz sufitem w koście-

le znanym z „*Liber geneseos*”, zdobnym w rzeźbione *à jour* pełne rozmaitości i polichromowane rozety. P. Emanuel Świeykowski zbadał piękny grobowiec marmurowy w stylu *rococo* marszałkowéj z Brühlów Mniszchowéj w kościele w Dukli i przedstawił zeń fotograficzne zdjęcia. Wreszcie dr. Felix Kopera nadesłał z Rzymu wiadomość o nader szczegółowym i obszernym dzienniku podróży Mucantego, mistrza ceremonii kardynała-legata Gaëtani, w Polsce w r. 1596 i 1597, z którego wyjątki umieścił już był Niemcewicz w „Pamiętnikach o dawnéj Polsce”, ale którego druk w całości dopiéro rzuci wiele nowego światła na kulturę i obyczaje polskie w końcu w. XVI-go. — Z kolei prof. Władysław Łuszczkiewicz odczytał pracę swą, p. t. „Mniemana statua Najświętszéj Panny, dar Klemensa VII w kościele w Łasku”. Zaznacza w niéj naprzód fakt, że utwór ten jest płaskorzeźbą Madonny, w formie medalionu, wykonaną w białym marmurze. Rzeźba jest włoska z końca wieku XV-go. Uważana za cudowną, w Polsce zyskała bogatą, srebrną, złoconą oprawę i korony, a znajduje się w ołtarzu bocznéj kaplicy kościoła. Wykazując brak pozytywnych dowodów, jakoby zabytek ten był darem papieskim, godzi się referent jednak z tradycyą Rzepnickiego i przypomina, że w testamencie prymasa Łaskiego nie ma o niéj wzmianki. W końcu po analizie pomysłu rzeźby, zestawia ją z utworami rzeźbiarzy Robbiów, a głównie Andrzeja della Robbia (1435 — 1525), i przypisuje ją epoce lat wczesnych mistrza florenckiego, czego dowodzą nimbusy, poduszka pod stopami Dzieciątka, naturalizm w układzie, a zwłaszcza wyraz Madonny i jéj położenie, dodając, że rzeźbę wykonał zapewne Robbia dla Medyceuszów. — P. Leonard Lepszy zdał sprawę z podróży po Niemczech i Włoszech w celu dalszych poszukiwań za pracami Jakóba del Caraglio. Rycin jego posiadają muzea zagraniczne znaczną ilość, po Wiedniu najwięcéj gabinet rycin w Dreźnie, najrzadsze zaś okazy mieszczą się w muzeum Corsinich w Rzymie, poczém idą zbiory we florenckich Uffiziach, w gabinecie rycin w nowém muzeum w Berlinie, w Monachium i w Peszcie, wreszcie w Wrocławiu, Weronie, Bolonii i Wenecyi. Berliński gabinet monet i medali posiada medal Aleksandra Pessenti, dworzanina królowéj Bony i muzyka, rylca Caraglia, a jeszcze piękniejsze jego egzemplarze są w muzeach Padwy i Wenecyi. Odnalezienie i porównanie tego medalu z medalem Zygmunta I-go ze zbiorów paryskich pozwala już niewątpliwie stwierdzić słuszność przypuszczenia prof. M. Sokołowskiego, który go również Caragliowi przypisywał. Następnie referent przedłożył fotografię nadesłaną mu z Gdańska przez p. I. Heisego, która przedstawia Zesłanie Ducha św., w srebrze, *au repoussé*, i uchodzi za dzieło Caraglia. W Padwie w *Museo Civico* znajduje się wielki, bardzo pięk-

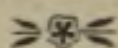
ny arras, z Polski pochodzący. A. Meneghelli w swych listach wydanych w Padwie r. 1843 pisze, że arras ten został przywieziony w XVII wieku przez Włocha z rodziny Grompo z Warszawy i darowany do kościoła św. Antoniego w Padwie i że może pochodził ze zbiorów królów polskich. Arras jest flandryjski i przedstawia oblężenie jednego z miast środkowéj lub północnéj Europy z pierwszych dziesiątków wieku XVI-go. — W końcu p. Karol Potkański złożył ręko pis z wypisam z archiwum konsystorskiego w Krakowie, zawierający wyjątki z wizytacyi dekanatu Nowo-Tarskiego z początku wieku XVII z interesującemi szczegółami co do drewnianych kościołów wiejskich.

— Wydział matematyczno-przyrodniczy Akademii Umiejętności odbył posiedzenie 6 czerwca r. b., na którém prof. Browicz odczytał swą pracę, p. t. „Sztuczna krystalizacya hematoidyny w komórce mięsaka barwikowego"; następnie prof. Karliński zdał sprawę z pracy prof. S. Kępińskiego: „O peryodach całek hypereliptycznych", a prof. Rostafiński — z pracy p. R. Mereckiego, p. t. „Nieokresowa zmienność temperatur powietrza w Polsce". — Dnia 13 czerwca odbyło się posiedzenie Wydziału filologicznego. Przedstawił na niém p. Jan Czubek treść swojéj pracy, p. t. „Jan Chryzostom z Gosławic Pasek w oświetleniu archiwalném (1667 — 1701)". Autor znalazł w archiwum aktów grodzkich i ziemskich krakowskiém około 90 aktów, zawierających liczne szczegóły o Pasku z czasów jego pobytu w województwach krakowskiém i sandomierskiém; dotyczą one między innemi dziesięciu spraw, nie zaznaczonych w „Pamiętnikach" żadną wzmianką. Cały ten nowy materyał biograficzny nie podnosi wcale dobréj sławy pamiętnikarza; przyczynić się on może jedynie do utwierdzenia naszéj ustalonéj już i tak opinii o krewkości Paska i jego skłonności do pieniactwa. Większość wydobytych obecnie na jaw szczegółów rzuca na charakter autora „Pamiętników" światło o wiele bardziéj niekorzystne, aniżeli treść jego własnych wspomnień i wyznań. — Dnia 20 czerwca wreszcie odbył swoje miesięczne posiedzenie Wydział historyczno-filozoficzny. Mówił na niém prof. A. Lewicki: „O przymierzu Zygmunta, w. księcia litewskiego, z królem rzymskim Albrechtem". Dzieje rokowań o to przymierze nie były dotąd wcale znane; autor opiéra się przeważnie na nowych materyałach rękopiśmiennych. Okazuje się z nich, że Zygmunt, wyniesiony na tron wielko-książęcy przeciw zbuntowanemu Swidrygielle, zająwszy jego miejsce, sam nosi się z myślą zrzucenia zwierzchnictwa polskiego i w tym celu szukał poparcia króla rzymskiego i czesko-węgierskiego, Albrechta. — Drugi prelegent, dr. Wiktor Czermak, podał: „Przyczynek do dziejów skarbowości polskiéj w XVII

wieku". Autorowi chodziło szczególnie o stwierdzenie, jak znaczną mogła być wydatność podatkowa ludności polskiéj w XVII-ym wieku. Na podstawie nielicznie drukowanych i liczniejszych rękopiśmiennych materyałów stwierdził mianowicie, że najwyższa dotąd znana cyfra podatków, wpłacanych do skarbu Rzeczypospolitéj, przypada na rok 1663 i wynosi przeszło 19 milionów złp. Gdyby zaś wziąć przeciętną wszystkich znanych cyfr wpłaconych podatków w trzeciéj ćwierci XVII w., okazałoby się, że ludność Rzeczypospolitéj płaciła w tym okresie przeciętnie 5—7 milionów złp. Dr. Czermak nie sądzi, aby cyfry te mogły dać właściwe pojęcie o wydatności podatkowéj ludności Polski w powyższym czasie; trzeba bowiem pamiętać o tém, że w Rzeczypospolitéj XVII-go wieku skarbowość była podwójna, a raczéj rozbita na wiele odrębnych wydziałów; że istniały osobne skarby wojewódzkie i osobne królewskie nadwórne, z których liczby wobec sejmów w rachunkach podskarbińskich, nie zdawano.



KRONIKA MIESIĘCZNA.



Mieszkańcom Warszawy przybył nowy temat do narzekań, a tematem tym jest drożyzna. Różni się on tém od tematów innych, że nie wywołuje różnicy zdań. Wszyscy, co zabiérają głos, stwierdzają jednomyślnie, że w Warszawie coraz trudniéj wyżyć, nie będąc milionerem, i że trzeba coś poradzić na to, jeżeli niema być jeszcze gorzéj. Tak mówi każdy, kto płaci za mieszkanie, kto kupuje mięso i chléb. A ci, co na tém zarabiają? Ci milczą i wolą się nie przyznawać, że im z tém dobrze. Oburzenie na drożyznę dochodzi nas zewsząd; obrony jéj nie słyszymy nigdzie.

Między głosami, które ten stan rzeczy wywołał, zdarzyło się nam słyszéć pytanie, czy utrudnione warunki bytu nie położą tamy nieustannemu prądowi, niosącemu coraz nowe fale ludności do Warszawy? Byłby to w istocie zwrot ważny w życiu społeczném naszego kraju. Od lat trzydziestu wzrasta Warszawa z pośpiechem zdumiewającym. Od lat trzydziestu ściąga w swe mury najrozmaitsze żywioły, idące niekiedy ślepym pędem w ślad za innemi i nie wiedzące naprawdę, czego w wielkiém mieście szukają. Wrobiła się już w umysłach legenda, że komu wszędzie jest źle, temu w Warszawie będzie znośniéj niż gdzieindziéj. Wierzą w to ślepo i ci, co dopiéro rozpoczynają życie, i ci, co już szukają wypoczynku. Każdy powiada sobie, że tam, gdzie już tylu się pomieściło, znajdzie się miejsce i dla niego. To téż każdy dzień przysparza miastu nowych przybyszów. Do biur i kantorów pukają o marny zarobek ludzie, którym zdawało się, że na prowincyi mieli za mało. Na ciasnych, zatęchłych, promieniem słońca nie

oświetlonych podwórkach miejskich bawią się gromady dzieci, którym zdrowiéjby było na błoniach nad Prosną, Bystrzycą lub Narwią. Kto tylko miał sposobność przypatrzenia się, choćby przez chwilę, nędzy warszawskiéj, ten widział całe rodziny przymiérające głodem, a nie umiejące jasno zdać sobie sprawy z tego, co je właściwie do Warszawy zagnało.

Nie jest to bynajmniéj zjawisko, znane tylko u nas. Zauważyć je można wszędzie; gdzieniegdzie w rozmiarach daleko większych. Każdy pociąg wysadza na bruk paryski mieszkańców prowincyi, szukających pracy i chleba. Każdy taki transport powiększa w mieście liczbę rozczarowanych i zniechęconych. Ci, co nie znaleźli czego szukali, nie chcą zrazu wyznać nawet sami przed sobą, że się zawiedli. Zwolna zaczynają powiadać to sobie w skrytości, następnie przyznają się już do tego półgłosem, w końcu skarżą się w głos. Ale mimo to wszystko wyrwać im się z miasta nie sposób. Jedni wiedzą, że powróciwszy w strony rodzinne nie znajdą już zarobku, który porzucili lekkomyślnie. Innym niepodobna zdobyć sobie środków na ponowne przenosiny. Są i tacy, którym wstyd powracać tam, skąd wyjeżdżali z wiarą w przyszłość i niezachwianą pewnością siebie, a nie brak wreszcie takich, którzy poprostu nie są już w stanie żyć bez téj atmosfery wielkomiejskiéj, która upaja, wycieńcza, niekiedy zatruwa, ale dla tych, którzy jéj zakosztowali, staje się niezbędna, jak nikotyna, alkohol lub haszysz.

Ta niemożność odwyknięcia od turkotu ulicznego, od płomieni gazowych i lamp łukowych, od dymu kawiarnianego i wiecznie zmieniającéj się panoramy ludzkiéj, jest jednym z wybitniejszych rysów współczesnéj neurastenii tłumów. Wyleczyć z niéj możnaby ludzkość, przesiedliwszy ją na świeże powietrze, nad zimną wodę bieżącą, gdzie rosną drzewa, niezasadzone ręką ludzką i kwitną kwiaty niepodlewane z wodociągu. Kuracya udałaby się może, gdyby chory chciał i mógł jéj się poddać.

Nie wątpię, że nadejdzie kiedyś pora reakcyi przeciw skupianiu całego życia po wielkich miastach. Po fazie ruchu dośrodkowego nastąpi faza odśrodkowa. Doczekamy się okresu, w którym chorego odsyłać się będzie nie na drugą ulicę do szpitala, lecz w lasy i góry na świéże powietrze i posilną żywność. Młodzież rozwijać sobie będzie płuca i wzmacniać nerwy w zakładach naukowych w wybornem górskiém powietrzu, a w przerwie między lekcyami zamiast tłoczyć się na ciasny i duszny karytarz szkolny, biegać będzie po przyległym lesie. W Szwajcaryi i w Niemczech zakładów takich jest już wiele. W słynném uzdrowisku Davos istnieje osobne gimnazyum dla wątłych lub piersiowych chłopców; teraz właśnie donoszą dzienniki, że coś podobne-

go powstaje w tym roku w Zakopaném. Są to dopiero początki. To, co dziś jest wyjątkiem, stanie się kiedyś regułą. Stosować się ona będzie nietylko do męskiéj, lecz i do żeńskiéj młodzieży. Jedyny w Królestwie zakład panny Plater w Chyliczkach liczy kilkadziesiąt uczennic, a równocześnie mamy w Warszawie tysiące młodych dziewcząt, zjeżdżających się z najdalszych krańców. Publiczność widzi je codzień, jak parami długim rzędem przeciągają przez ogród Saski i podziwia wzorowy porządek, krok miarowy i blednicę. Stosunek ten zmienić się musi i zmieni się. My oczywiście uwierzymy w konieczność zmiany, gdy zaprowadzą ją u siebie wszyscy nasi sąsiedzi do koła. Wówczas znajdą się i u nas reformatorowie, którzy nie omieszkają przypatrzéć się temu, co już znane będzie w całym świecie i opowiadać nam o tém, jako o rzeczy dla nas nowéj.

Nim nadejdzie wiek, w którym wieś upomni się znowu o swe prawa, musimy deptać bruki miejskie, litować się nad blednicą, neurastenią, suchotami naszéj młodzieży i cieszyć się, że ją możemy wywozić lub wysyłać na parę miesięcy letnich. Potrzebę wyjazdu uczuwa dziś nawet najzapaleńszy wielbiciel rozkoszy miejskich. Wyjeżdża każdy: ci do Interlaken, owi do Otwocka, tamci do dworków w ogrodzie Mokotowskim a w obrębie rogatek nie chce pozostać nikt. I wszystko byłoby dobrze, gdyby co roku nie rozbrzmiéwała po Warszawie coraz głośniéj skarga, że niema dokąd jechać. Mimo nieustannych narzekań na ciężkie czasy i brak gotówki, stal śmy się wybredni i wymagający. Nie lubimy, gdy nas na letniém mieszkaniu budzi deszczyk lipcowy, zsyłając nam przez dziurę w dachu kroplę po kropli na łóżko; woń gnojówki nie ma już dla nas uroku; zachciéwa nam się zdrowéj wody, świeżego mięsa i wygodnéj komunikacyi ze światem. Kto ma takie gusta, ten krzywi się na wzmiankę o zamieszkaniu w chałupie chłopskiéj pod Warszawą. Do Szwajcaryi, Francyi, Belgii—daleko; nie każdego stać a to. Do niedawna tłumy podróżnych naszych wyjeżdżały latem do Niemiec; dzisiaj każdy, kogo stan zdrowia do tego nie zmusza, woli zastanowić się przed wyjazdem, czy nie możnaby skierować kroków w inną stronę. W takiéj sytuacyi wypływa znowu na porządek dzienny kwestya odwieczna, a zmartwychwstająca nieustannie, kwestya krajowych zdrojowisk i stacyi letnich.

— Czemu nie jeździcie do wód polskich? — pytają ich obrońcy.
— Bo tam brudno, drogo i niewygodnie — odpowiada publiczność. Dyalog ten toczy się od niepamiętnych czasów, a do końca jeszcze daleko. Nie ma już między nami tych, których Dietl w Krakowie zaczynał przekonywać o konieczności popierania zdrojowisk swojskich. Dorosło już od lat owych pokolenie trzecie, a tym, którzy walczą

w imię téj idei, opadają ręce. Kiedy zaczynano niegdyś tę kampanię, wyobrażano sobie, że po upływie lat kilkudziesięciu wody krajowe dojdą nareszcie do takiego stanu, iż nie będą się lękać porównania z drugo lub trzecio-rzędnemi zakładami zagranicą. Tymczasem ile razy dyskusya o tym przedmiocie zacznie się na seryo, tyle razy wysłuchać trzeba najpierw skarg i jęków nietylko z głębi serca płynących, lecz, co gorsza uzasadnionych. I teraz znowu, gdy Niemcy robią wszystko, co mogą, by gości polskich do wód swoich zrazić, nadarza się zakładom krajowym świetna sposobność pozyskania nowych gości i powiększenia dochodów. Czy skorzystają z niéj? W pismach codziennych czytujemy od jakiegoś czasu artykuły o tém, czego wodom naszym niedostaje. Jeżeli właściciele i dyrektorowie zakładów chcą się dopiero z gazet o tych niedostatkach dowiedziéć, i dopiero po wyczytaniu wszystkich rad i wskazówek pomyśléć o reformach, to się trochę spóźnią. Zbieg okoliczności jest dziś dla zdrojowisk krajowych wyjątkowo pomyślny. Nie trzeba tylko łudzić się nadzieją, że publiczność nasza gotowa jest popierać miejscowości lecznicze w kraju za każdą cenę. O nie, jest ona na to zbyt praktyczna. Pojmuje ona, że nie może miéć w kraju wszystkiego, czém ją raczą cudzoziemcy u siebie, ale nie przestanie domagać się tego, co uważa za niezbędne. Nie sądzimy, żeby prasa usiłowała jéj to wybić z głowy. Mamy na szczęście ważniéjsze zadania na warsztacie.

Zgubą byłoby zaś dla przyszłości naszych zakładów zdrojowych, gdyby budzący się wstręt do wód niemieckich zechciały zdyskontować odrazu w postaci gotówki i gdyby wielką reformę zaczęły od podwyższenia cen. Jeżeliby nas nawet dochodziły podobne wieści, nie dalibyśmy im wiary.

Warszawa jest dobroczynna. Myśli ona i o tych, którzy nie mają za co wyjechać. Już w roku przeszłym wysłano z górą dwa tysiące ubogich dzieci na kolonie letnie. Jest to i wiele i mało. Wiele — jeżeli uwzględnimy ogrom zabiegów, starania, kłopotów, połączony z tém przedsięwzięciem dobroczynném; mało — jeżeli porównamy tę liczbę z liczbą tych biednych istot, wynędzniałych, karłowatych, skrofulicznych, które w imię miłosierdzia, w imię przyszłości społeczeństwa wydobyćby trzeba z piwnic miejskich i wynieść na światło słoneczne. Wszak wysłano zaledwie połowę dzieci, które zapisano na liście, a zapisywano tylko te, które bardziéj od innych potrzebowały wyjazdu.

Jest więc znowu jedna z niezaspokojonych potrzeb. A nie jest to potrzeba przemijająca. Wysyłanie dzieci na lato, nie jest wyłącznie osładzaniem dziatwie tych kilku tygodni. Powietrze i nabiał chronią tę gromadkę od zupełnego zwyrodnienia cielesnego, które w prze-

rażających rozmiarach spostrzegać się daje między pospólstwem warszawskiém. Lekarze Towarzystwa kolonii letnich zbadali kilkanaście tysięcy dzieci warszawskich i doszli do wyników rozpaczliwych. Dzieci rodziców zamożnych przedstawiają się stosunkowo dobrze i nie bywają wątlejsze, niż dziatwa narodów, szczycących się zdrowiem. Nie pytajmy natomiast o malcow, którym pierwsze lata upływają w nędzy. Tych nie można żadną miarą porównywać z dziatwą plemienia sąsiedniego, z dziatwą niemiecką. Szczupłe i niewyrośnięte, o cieniutkich kosteczkach i wiotkich mięśniach, przypominają one rozmiarami i wagą znane wszystkim hygienistom statystyczne wykazy miast włoskich. Ubóstwo warszawskie można kłaść tylko na jednym poziomie z nędzą proletaryatu włoskiego.

Kolonie letnie gospodarzą oszczędnie. Utrzymanie malca przez czas czterotygodniowego pobytu kosztowało w roku przeszłym rs. 11 kop. 57. Taniej utrzymać dziecka nie można. {Ażeby atoli wysyłać wszystkie dzieci warszawskie, których zdrowie tego wymaga, potrzeba na to miéć fundusze, jakiemi Towarzystwo nieprędko rozporządzać będzie. Czyż wobec tego nie możnaby użyć w Warszawie sposobu, używanego z powodzeniem w innych miastach i pomyśléć o dostarczaniu świeżego powietrza dzieciom, które muszą spędzać lato w mieście?

Organizacya jest bardzo prosta. Grupa dzieci, umieszczonych na spisie, zgromadza się w każdy pogodny dzień o téj saméj godzinie w miejscu oznaczoném i wyrusza pod rozkazami zwierzchnika przez najbliższą rogatkę na przeznaczony do tego plac za miastem, gdzie znajduje gimnastykę, zimną kąpiel natryskową i skromny posiłek. Rezultaty bywają nadzwyczajne, a koszt stosunkowo mały. Wykieganie się przy zabawie w czystém polu, szklanka prawdziwego niezbiéranego mléka i kromka chleba z masłem działają cudownie na organizmy dziecięce. Wyszukanie odpowiedniego miejsca na zabawy przedstawiałoby w Warszawie pewne trudności; być nawet może, iż z powodu odległości niektórych dzielnic od krańców miasta niepodobieństwem byłoby wyprowadzać z nich codzień dziatwę za rogatki. Czyż jednak dlatego, iż jakiegoś zbawiennego środka nie można zastosować wszędzie, nie należy go używać wcale? Z całéj olbrzymiéj rzeszy biédnych dzieci warszawskich kolonie letnie przygarniają dwa tysiące. Czyż to, że nie mogą przygarnąć wszystkich, przynosi im ujmę? Niechby na placach podmiejskich bawiło się codzień pięćset chłopców i dziewczynek, byłoby to już dobrodziejstwem dla ludności ubogiéj.

Ale parę godzin, spędzonych w ten sposób wpływa nietylko na cielesny rozwój dziecka. Malec oswaja się z myślą, że kto chce brać udział w zabawie, powinien przedtém w domu umyć się i uczesać.

Oswaja się z tém, iż zachowywać się trzeba przyzwoicie, bo kto sobie pozwala na nieprzyzwoite słowa lub giesta, tego jutro za miasto nie wezmą. Jestto także szkoła, a dziś gdy w całym świecie narzekają na zdziczenie ludności miejskiéj, szkoła taka przyda się bardzo. Wszyscy bolejemy nad okropnym objawem, jak rozpowszechnione dzisiaj w Warszawie, a nieznane tutaj przed laty bójki na noże. Wstydzimy się za lud nasz, który rozwija się niezaprzeczenie, ale równocześnie popada w te barbarzyńskie nałogi. Chcąc go uzdrowić, nie dosyć jest myśléć o dozorze policyjnym, o areszcie i odstawianiu do miejsca urodzenia. Jeżeli te krwawe dramaty mają kiedyś ustać to pomyśléć trzeba o wychowaniu młodego pokolenia. Czytać umié dziś prawie każde dziecko warszawskie i kiedyś w życiu weźmie przynajmniéj jedną książkę do ręki, ale jak wymagać od tego dziecka, wytarzanego w rynsztoku, osłuchanego ze złorzeczenia i przekleństwami, wychowanego w podziwie dla zamaszystéj energii stróża i dla dosadnego dowcipu żebraków, ażeby wiedziało, że w zabawie trzeba także zachować przyzwoitość, że wesołość nie powinna prowadzić do bijatyki i że szukając jakiéjś chluby na zebraniu towarzyskiém, nie trzeba zaraz szukać jéj w sile pięści. To wszystko może wiedziéć dziecko wiejskie wychowane w chałupie zamożnego gospodarza, dziecko przejęte bezwiednie zasadami konserwatyzmu chłopskiego i przyjmujące ze czcią w puściźnie wszystkie zwyczaje i obyczaje przodków wraz z całym tradycyjnym ceremoniałem. Ale skąd ma o tém wiedziéć łobuz warszawski?

Zabawy będzie on kiedyś potrzebował po pracy. Chcąc zaś, żeby umiał się bawić, trzeba go tego nauczyć. Nauka pod gołém niebem wśród gier i śpiewek pójdzie łatwo i składnie. Pragnęlibyśmy, by mogły ją w ten sposób pobiérać dzieci, które nie zdołały uzyskać pomieszczenia na koloniach.

Tadeusz Smarzewski.

Wydawca: ***W. Spasowicz.***

Za Redakt.: ***W. Spasowicz*** i ***Stanisław Wydżga.***

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Іюня 1898 г. — Druk Jana Cotty.

Nowe książki nadesłane do Redakcyi „Ateneum“.

1. *Stanisław Belza.* **W górach olbrzymich.** Wydanie drugie, z fotodrukami. Kraków, Gebethner i Sp., 1898, str. 188.
2. **Z życia ludzi i zwierząt.** Książeczka pierwsza (Wydawnictwo Komitetu Damskiego przy Warszawskim Oddziale Tow. op. nad zwierz., nr. V). Warsz., 1898, str. 72, z obrazkami (cena kop. 10).
3. *Henryk Heine.* **Niemcy.** Baśń zimowa. Z niemieckiego przełożył wierszem *Kazimierz Filip Wize.* Kraków, nakł. tłómacza, 1897, str. 102.
4. **Obraz literatury polskiéj** w streszczeniach i celniejszych wyjątkach ułożył *Piotr Chmielowski* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, zaszyt 15 (str. 80).
5. **Die Landwirtschaft im Kreise vom Slupca im XIX Jahrhundert.** Erster Teil. Von *Stefan Heine* aus Jablonka im Königreiche Polen. Breslau, 1898, str. 77.
6. **Czém jest posąg?** Napisał *Feliks Piotrowski.* Warsz., skład gł. w księgarni Kolińskiego, 1898, str. 12 (cena 5 kop.).
7. Dr. *Józef Zawadzki.* **Pogotowie ratunkowe** w Warszawie i zagranicą. Warsz., nakł. Towarzystwa doraźnéj pomocy lekarskiéj, 1898, str. 47, z sześciu rysunkami (cena kop. 30).
8. *Julian Ochorowicz.* **Bezwiedne tradycye ludzkości.** Studyum z psychologii historyi. Warsz., druk K. Kowalewskiego, 1898, str. 230.
9. Studya nad współczesnym dramatem niemieckim. I. **Gerhart Hauptmann.** Napisał *Józef Flach* Kraków, 1898, 8-vo, str. 270.
10. **III Sprawozdanie** dyrekcyi prywatnego gimnazyum polskiego z prawem publiczności w Cieszynie. Cieszyn, nakład Towarzystwa „Macierz szkolna dla Księstwa Cieszyńskiego“, 1898, str. 39.
11. **Pamiętniki Anny hr. Potockiéj** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.* Dwa tomy. („Bibl. dzieł wybor.“, N. 32 i 33). Warsz., 1898 (cena tomu 25 kop.).
12. **Pamiętniki Seglasa** *Fryderyka hr. Skarbka*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego* („Bibl. dzieł wybor.“, N. 37).
13. **Podróż do bieguna północnego** *Fridtjofa Nansena*, w przekładzie i z przedmową *Stanisława Janiszewskiego.* Dwa tomy z ilustracyami („Bibl. dzieł wybor.“, N. 38 i 39). Warsz., 1898 (cena tomu 25 kop.).
14. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci** *Wiktora Hugo*, z przedmową *J. A. Święcickiego.* Dwa tomy („Bibl. dzieł wybor.“, N. 40 i 41).
15. *S. Orgelbranda* **Encyklopedya powszechna** z ilustracyami i mapami. Zesz. XXXVIII. Warsz., 1898 (cena kop. 20).
16. **Żydowski humor** (ludowy). Żydowscy dowcipnisie ludowi. Zebrał *H. Lew.* Warsz., nakł. Heronima Cohna, 1898, str. 70 i II (cena kop. 40).
17. *Plato v. Reussnera* **Samouczek** polsko-niemiecki. Warsz., nakł. autora, 1898, 8-vo, str. 184 i XXXVI (cena kop. 60).
18. *Tegoż* **Samouczek** polsko-ruski, zesz. I-szy, str. 16 (cena 10 kop.).
19. **Lucyan Malinowski** (1838—1898). Wspomnienie pośmiertne. Przez *Hieronima Łopacińskiego.* Warsz., 1898, str. 43 z portretem.
20. **Encyklopedya ilustrowana** wiadomości pożytecznych. Warsz., nakł. Michała Arcta, zesz. 29—31 (cena zesz. 25 kop.).
21. **Sprawozdanie szesnaste** z czynności Komitetu zarządzającego Kasą pomocy imienia d-ra Józ. Mianowskiego. Warsz., 1898, 8-vo, str. 101.
22. **Wspomnienie pośmiertne** o członkach komitetu kasy Mianowskiego (A. Okolski i A. Ślósarski). Warsz., 1898, str. 22.
23. **Biblioteka** najcelniejszych utworów literatury europejskiéj, tom 292. Warsz., nakł. S. Lewentala.
24. **Sprawozdanie** z czynności wydziału towarzystwa czytelni dla kobiét w Poznaniu za rok 1897/98, str. 14.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.